

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600

DEXTERA DOMINI FECIT VIRTUTEM



3

(71) 2012

Będzie beatyfikacja Ojca Rafała ♦ O najkrwawszej niedzieli na Wołyniu ♦ O pomocy z Kalifornii dla Rodaków ♦ Prof. Nicieja o Chodorowie ♦ O wycieczce studentów w Karpaty ♦ S. Wasylewski o Bursztynie i Rittnerze ♦ Sylwetki: Z. Pręgowski, Z. Stahl, Rosa Bailly ♦ Rozmowa z Romaną Żukową

To jest Polska właśnie

Taki mamy rok. Najpierw upały, jakich najstarsi nie pamiętają, potem zimno i ulewy, burze, nawet huragany nieznanne dotąd na naszej spokojnej, polskiej ziemi – spokojnej od strony meteorologii, oczywiście. Coś się więc zmienia w tej dziedzinie, ale nie będziemy głębiej rozważać spraw pogodowych, zresztą niewiele tu wymyślimy. Tak jak i w światowej ekonomii czy polityce. Zostawmy te problemy innym i zejdźmy do bliższych nam tematów, z których wiele trzeba rozpoznać i zastanowić się.

Oto w sprawach, które nas bardzo interesują – a myślimy naturalnie o tzw. Kresach, czyli po prostu o Ziemiach, które trudno odciąć od naszej pamięci we wszystkich jej przejawach – zauważamy dziś dwie dość sprzeczne tendencje ze strony liczących się obecnie sił. Zwróćmy na to uwagę.

Zacznijmy od najgorszego. Po stronie władz państwowych notujemy coraz mniejsze, a bywa że nieprzyjazne nastawienie (i niewiedzę) wobec niezwyklej, wielostronnej wartości utraconej części kraju, wobec jej historyczno-kulturowej polskości i wobec tamtejszych Polaków. Co może być tego przyczyną?

Najpierw nad częścią sfer polskich zawisła polityczna doktryna Giedroycia, a poddając się jej kolejne (bez wyjątku!) rządy III RP. Przyjęto mianowicie, że państwa położone między nami a Rosją należy bezwzględnie popierać. Sprawy to ogólnie znane, warto jednak przypomnieć, że ustępując wschodnim sąsiadom – przede wszystkim Ukrainie i Litwie – w wielu istotnych problemach liczono na ich życzliwość i obopólną lojalność. Idea w dziedzinie politycznej zapewne słuszna, jednak w praktyce owo poparcie z czasem stało się za szerokie i zbyt daleko idące, kosztem naszych interesów państwowych i narodowych. Po paru latach można było zauważyć, że umizgi Polski spotykają się nie tylko z obojętnością, ale nawet z nieprzyjaźnią¹. Oczekiwano wszak korzyści dwustronnych, te jednak zawiodły (nie mówimy tu o sprawach gospodarczych), zaistniały natomiast różne antypolskie posunięcia, nie spotykając wcale odpowiedników z naszej strony. Polskie czynniki rządowe nie znalazły dotąd koncepcji, jak reagować, a powodowane strachem wolą ustępować w każdej niemal sytuacji.

Tak więc przykładowo – wszystko co dotyczyłoby naszej bezinteresownej pamięci narodowej o tragicznej stracie ilościowej i jakościowej wobec stanu Polski sprzed II wojny światowej – jest źle widziane. Powołanie do życia Instytutu czy Muzeum Kresowego od dziesięciolecia jest ignorowane – bo mogłoby być potraktowane jako rewizjonizm, a to musi skutkować coraz większą ignorancją w polskim społeczeństwie (pomaga w tym krajowe szkolnictwo). Ostatnio słyszymy o zamierzonym ograniczeniu dotacji dla szkolnictwa i polskich instytucji kulturalnych w krajach po wschodniej i północnej stronie jałtańskiego kordonu, co tłumaczone jest kryzysem (a przecież miało go nie być!). Nie da się ukryć, że może to doprowadzić do katastrofy polskości po tamtej stronie.

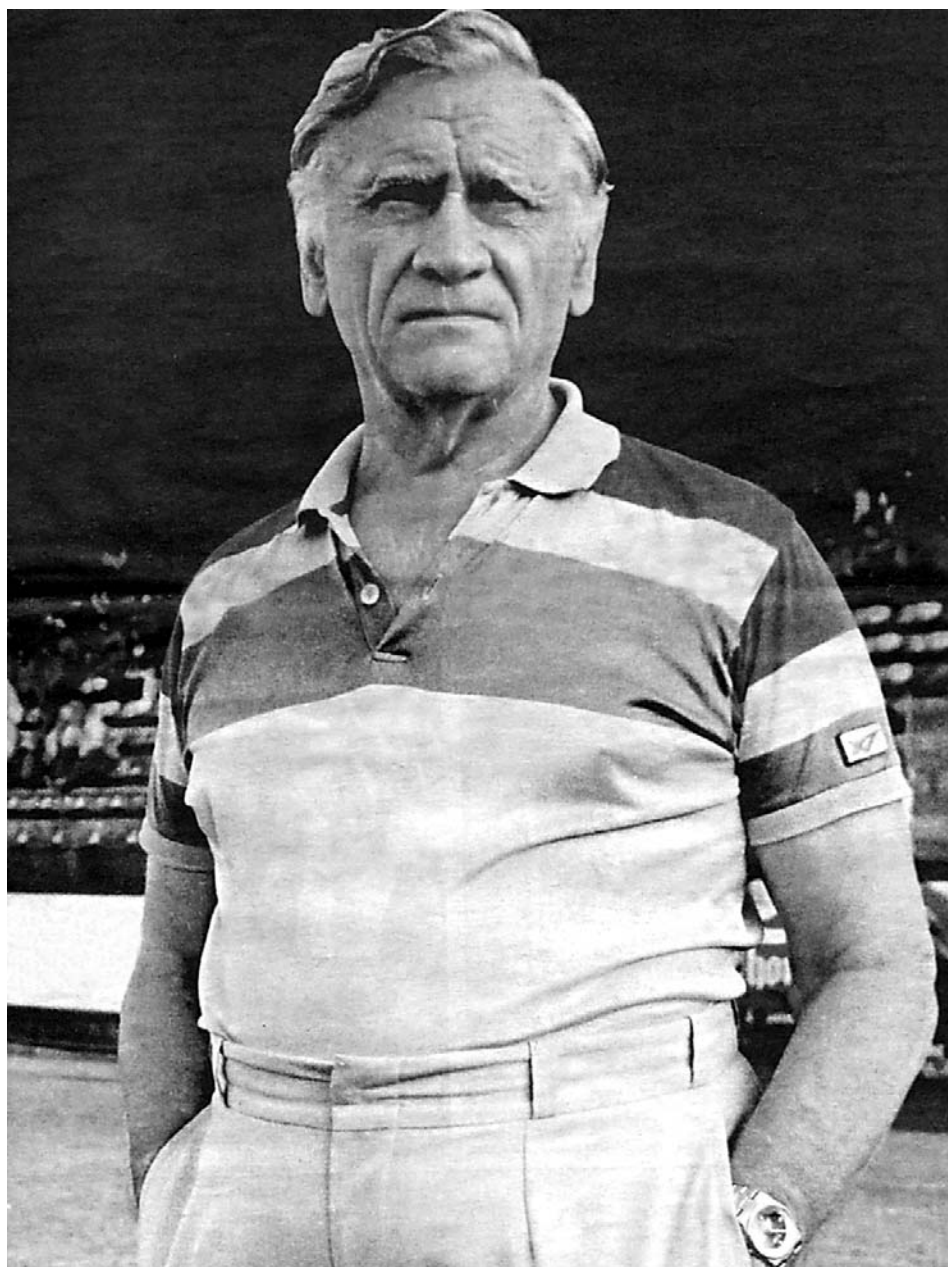
Jakże inaczej wygląda to na szczeblu społecznym – gdzie nie władze, lecz instytucje samorządowe, akademickie czy wydawnicze (te nie uzależnione) przedstawiają samodzielnie inicjatywy działania w swoich domenach. Na uczelnianych wydziałach historycznych spotykamy niemało profesorów, którzy patronują pracom naukowo-badawczym młodych naukowców zainteresowanych ziemiami wschodnimi. Prace te trafiają do odbiorców w formie indywidualnej bądź w wydaniach zbiorowych. Do tego dodajmy licznych niezależnych autorów, których twórczość naukowa bądź literacka wypełnia ogromne braki w całokształcie obrazu polskiego tysiącletniego dorobku. Platformą osobistych kontaktów

dokończenie na III s. okładki

Na I s. okładki:

BITWA POD KLUSZYNYEM 1610 r. Obraz z kolegiaty św. Wawrzyńca w Żółkwi, mal. Szymon Boguszowicz (6 x 7 m)

Leopolis ubique praesens



Fot. Dariusz Górski

KAZIMIERZ GÓRSKI

Sejm RP przyjął przez aklamację uchwałę, by Stadion Narodowy w Warszawie nosił odtąd imię najwybitniejszego trenera polskiej piłki nożnej wszechczasów – Kazimierza Górskiego.

Stanisław Dzedzic

O. RAFAŁ KIERNICKI

Inauguracja procesu beatyfikacyjnego we Lwowie

4 maja 2012 r., nazajutrz po świętowanej wśród społeczności katolickiej Lwowa 100. rocznicy urodzin O. Rafała Kiernickiego OFM Conv., w tamtejszej archikatedrze łacińskiej odbyła się oficjalna inauguracja jego procesu beatyfikacyjnego. Uroczystą sesję, połączoną z zaprzysiężeniem Trybunału, otworzył arcybiskup metropolita lwowski ks. Mieczysław Mokrzycki w obecności postulatora o. Sławomira Zielińskiego OFM Conv. oraz prowincjała krakowskiej prowincji Franciszkanów, o. Jarosława Zachariasza.

Uroczystą sesję otwarcia procesu i zaprzysiężenia Trybunału poprzedziły wygłoszone w katedrze dwa referaty, przygotowane przez profesorów Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II z Krakowa – ks. Józefa Wołczańskiego nt. sytuacji Kościoła katolickiego na sowieckiej Ukrainie po II wojnie światowej oraz o. Zdzisława Gogoli OFM Conv., poświęcony osobie i działalności o. Rafała Kiernickiego. W wypełnionych po brzegi nawach archikatedry dominowali bez wątpienia ludzie, którzy znali osobiście o. Rafała, uczestniczyli we mszach św. i nabożeństwach przez niego odprawianych, korzystali z jego posług sakramentalnych. Był w żywej, serdecznej i wdzięcznej ich pamięci, zmarł przecież u początków ukraińskiej państwowości, przed zaledwie 17 laty. W odniesieniu do otwieranego procesu beatyfikacyjnego przypadek to nieczęsty.

W okresie 56-letniej posługi kapłańskiej o. Rafała Kiernickiego tylko pierwsze miesiące i kilka ostatnich lat były czasami, kiedy mógł swoje powinności wypełniać bez systemowych ograniczeń, bez konieczności poszukiwania skutecznych dróg działania w konspiracji. Przez całe dziesięciolecie kapłańskiej posługi w sowieckim Lwowie, znaczone raz po raz ciężkimi represjami, bezustannie inwigilowany, służył niezmor-

dowanie, mimo coraz dotkliwszych chorób, postępującego wieku, nie tylko katolikom-łacinnikom, ale i znacznie liczniejszym społecznościom greckokatolickim, które po delegalizacji Kościoła unickiego w 1946 r. pozbawione zostały cerkwi i opieki duszpasterskiej po odmowie przejścia na prawosławie. Lwowska archikatedra, która przez większość lat powojennych była na sowieckiej Ukrainie jednym z kilkunastu zaledwie czynnych kościołów, pełniła w tym czasie funkcje kościoła – cerkwi greckokatolickiej, sam zaś o. Rafał nie tylko dyskretnie sprawował opiekę nad unitami, narażając się na ogromne niebezpieczeństwa, błogosławił ich małżeństwa, chrzcił, spowiadał, sprawował inne liczne posługi, wspomagał jak mógł pozbawionych środków życia kapłanów unickich, z wielkim narażaniem dopuszczał ich do konfesjonatów.

W liście pasterskim arcybiskupa Mieczysława Mokrzyckiego z 18 kwietnia br., poświęconym o. Rafałowi Kiernickiemu, który po odnowieniu we Lwowie biskupstwa i prowincji kościelnej został ustanowiony biskupem pomocniczym, zawarte zostały znamienne w tym względzie słowa igumena klasztoru lwowskich bazylianów:

Umarł ekscelencja Rafał, Bogiem dany nam poratunek. To ręka dana tonącemu. Gdzie bez niego znaleźlibyśmy spowiednika dla chorych, księdza dla ochrzczenia dziecka, dla błogosławienia małżeństwa itd. On może dla nas droższy był niż dla Polaków.

Posługa kapłańska o. Rafała trwała w katedrze każdego dnia od bardzo wczesnych godzin rannych do późnej nocy, bo codziennie setki osób obu obrządków czekało na niego przy konfesjonale czy z prośbą udzielenia sakramentu chorych. Choć swoje powinności kapłańskie mógł wypełniać wyłącznie w murach katedry, z posługą sakramentalną spieszył skrycie do mieszkań obłożnie chorych umierających wiernych obu obrządków, także daleko poza Lwów.

Był bardzo chory. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Od szóstej był już w konfesjonale, spowiadał cały czas. A mimo tego wieczorem jeździł po chorych daleko poza Lwów – wspomina Mieczysław Hellen, obecny na otwarciu procesu beatyfikacyjnego.

Był na tych uroczystościach biskup łucki Marcjjan Trofimiak, biskup pomocniczy odległej diecezji charkowsko-zaporoskiej ks. Jan Sobiło, a z mukaczewskiej eparchii greckokatolickiej na Zakarpaciu (sui iuris) – władca Milan Szaszik.

Dotkliwie brakowało hierarchów Cerkwi greckokatolickiej, tej, której z najwyższym zagrożeniem służył przez kilka dziesięcioleci o. Rafał Kiernicki, za pomoc której przyszło mu płacić najciężej. Nie przybył na te uroczystości „świętojurski władca” – metropolita Ihor Woźniak, ani żaden z biskupów greckokatolickiej prowincji cerkiewnej Lwowa czy Stanisławowa. Metropolitę Woźniaka reprezentował jakiś bliżej niezwany duchowny, obecny był też igumen lwowskich bazylianów. Bolesna, bo jednoznacznie odczytywana była ta nieobecność greckokatolickich hierarchów. Słowa arcybiskupa Mieczysława Mokrzyckiego wypowiedziane podczas tych uroczystości w tym właśnie kontekście: *Najkrótszą pamięć ma wdzięczność* – oddawały tę sytuację najpełniej. Niezwykły był klimat tej uroczystości, oczekiwanej w głębokim przeświadczeniu o heroiczności cnót świętobliwego i bohaterskiego zakonnika, a w ostatnich latach życia – biskupa pomocniczego Lwowa, który jako jeden z nielicznych kapłanów katolickich zapewnił Kościołowi na *nie ludzkiej ziemi* ciągłość, wprawdzie nie episkopalną, ale ciągłość funkcjonowania.

Kim był i jaka była rola Rafała Kiernickiego jako katolickiego kapłana i opiekuna lwowskiej archikatedry, pojmowana w kategoriach jego kapłańskiej posługi, ale i symbolu niezłomnego trwania i świadectwa?

* * *

Sługa Boży Rafał Kiernicki (imię chrzestne Władysław) urodził się 3 maja 1912 r. w miejscowości Kułaczkowce koło Kołomyi



w rodzinie rzemieślniczo-rolniczej. Po ukończeniu w Gwoźdźcu szkoły powszechnej naukę kontynuował w Małym Seminarium oo. Franciszkanów w Krakowie (1927–30). W 1930 r. wstąpił do zakonu oo. Franciszkanów Konwentualnych we Lwowie. Roczny nowicjat odbył w klasztorze w Łagiewnikach koło Łodzi, po czym w 1931 r. złożył pierwsze śluby zakonne. Maturę uzyskał w X Państwowym Gimnazjum we Lwowie. Studia teologiczne, rozpoczęte we franciszkańskim Studium Domescianum w Krakowie, ukończył na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu im. Jana Kazimierza, uzyskując tytuł magistra teologii.

Po otrzymaniu święceń kapłańskich (29 czerwca 1939 r.) wykładał teodyceę i teologię w seminarium zakonnym we Lwowie oraz był wychowawcą kleryków. Aresztowany w 1941 r. przez NKWD, zbiegł z więzienia i kontynuował wykłady w seminarium zakonnym, pełnił też obowiązki kapelana Związku Harcerstwa Polskiego i szpitali lwowskich. Związany był również z działalnością konspiracyjną Armii Krajowej – w 1944 r. otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami. W tymże

roku aresztowany przez władze sowieckie, przeszedł następnie przez obozy w Charkowie, Riazaniu i Griazowcu. W 1948 r. powrócił do Lwowa, po czym objął funkcję proboszcza bazyliki katedralnej, którą pełnił przez kilkadziesiąt lat w warunkach skrajnie trudnych, bezustannie inwigilowany. Pracę duszpasterską i charytatywną mógł prowadzić, przy licznych narzucanych na co dzień ograniczeniach, tylko na terenie świątyni. Wiedział, że jest wciąż śledzony, że każdy pretekst władze gotowe są wykorzystać jako powód do aresztowania czy zastosowania zwyczajnych dla państwa totalitarnego represji. W przypadkach, które uznawał za konieczne, spieszył z usługami duszpasterskimi i pomocą wbrew zakazom, mimo pogroźek i represji, daleko poza Lwów, zyskując miano duszpasterza Lwowa i całej Ukrainy. Kiedy w kwietniu 1958 r. poświęcił grekokatolikom palmy wielkanocne, władze sowieckie dowiedziawszy się o tym zabroniły mu sprawowania posługi duszpasterskiej w katedrze i gdziekolwiek.

Aby móc nadal przebywać we Lwowie i konspiracyjnie służyć wiernym obu ob rządów: łacińskiego i grekokatolickiego, zatrudnił się jako stróż w Parku Stryjskim, a następnie jako stróż nocny w szpitalu w Hołosku, położonym na przedmieściach Lwowa. Nie mogąc wypełniać posług kapłańskich w katedrze, odprawiał msze święte po kryjomu w mieszkaniach, tam też spowiadał, odwiedzał chorych, niosąc im posługi sakramentalne.

W 1964 r. otrzymał zgodę władz sowieckich na powrót do pracy duszpasterskiej w katedrze lwowskiej. Mimo coraz poważniejszych problemów związanych ze stanem zdrowia każdego dnia służył wiernym posługami kapłańskimi od wczesnych godzin rannych do późnych wieczornych, nierzadko nocnych. Dzięki niemu i jego heroicznej postawie katedra lwowska, choć pozbawiona arcybiskupa, była w ciężkich sowieckich czasach symbolem trwania Kościoła, obecności Polaków we Lwowie i na Kresach. Należał do kilkunastu zaledwie duchownych katolickich, a z czasem już tylko kilku, którym udało się przetrwać na rozległych zachodnich rubieżach sowieckiej Ukrainy.

O. Rafał, podobnie jak pozostali księża, schorowany, przepracowany i utrudzony warunkami, w jakich mu przychodziło funk-

cjonować, miał dramatyczne obawy o brak następców, tak bardzo tam oczekiwanych. Podczas pogrzebu ks. Zygmunta Hałuniewicza w 1974 r. wypowiedział nad trumną przyjaciela słowa, które parę lat wcześniej wypowiedział w podobnych warunkach wędrowny duszpasterz – o. Serafin Kaszuba: *A któż mnie pochowa?* Obaj jednak wierzyli w „wiosnę Kościoła”, choć naówczas nie było pewnie widać jeszcze jej zwiastunów. W 1974 r., w warunkach odwilży politycznej, władze kościelne, za zgodą władz rządowych, mianowały o. Rafała wikariuszem generalnym archidiecezji lwowskiej. Dokonał on restauracji wnętrza katedry, zyskując uznanie Jana Pawła II, który 3 czerwca 1991 r. w Lubaczowie nazwał go *wiernym stróżem znaku tożsamości Kościoła, jakim jest prastara lwowska katedra łacińska*. W styczniu 1991 r. mianowany został biskupem pomocniczym odrodzonej archidiecezji lwowskiej. W swoim herbie biskupim umieścił słowa, które były zasadniczym przesłaniem i treścią jego życia, wbrew panującemu ideologicznemu terrorowi: *Służba Bogu i ludziom, a jako dewizę słowa św. Pawła Apostoła – Być wszystkim dla wszystkich*.

W okresie transformacji ustrojowej, u progu ukraińskiej niepodległości odegrał znaczącą rolę w organizowaniu struktur kościelnych, odbudowie instytucji archidiecezjalnych, tworzeniu relacji międzywyznaniowych – zwłaszcza z Cerkwią prawosławną i wychodzącą z podziemia Cerkwią grekokatolicką. Zmarł 23 listopada 1995 r. Pochowany został w krypcie katedralnej pod kaplicą bł. Jakuba Strepy, patrona diecezji lwowskiej. Nieustraszonego kapłana, który był dla wielu nadzieją zwycięstwa i wiosny Kościoła, żegnały tłumy wiernych obu ob rządów, ponad dwustu księży i kilku hierarchów, przybyłych także z zagranicy, głównie z Polski. Podczas uroczystości arcybiskup metropolita lwowski Marian Jaworski powiedział m.in.: *Był więźniem konfesjonatu, wiernym naśladowcą św. Jana Vianneya. W konfesjonale prowadził dusze do świętości, a emerytowany zwierzchnik Cerkwi grekokatolickiej na Ukrainie abp Włodzimierz Sterniuk podziękował o. Rafałowi za wieloletnią troskę i opiekę nad duchownymi i wiernymi unickimi, represjonowanymi przez władze sowieckie*.

Teresa i Feliks Budziszowie

11 LIPCA 1943

**Z myślą o 70. rocznicy
najkrwawszej niedzieli**

Stało się już tradycją, że 11 lipca, w rocznicę największego nasilenia mordów ludności polskiej na Wołyniu w 1943 r., w środowiskach z kresowym rodowodem są organizowane żałobne uroczystości i nabożeństwa w intencji pomordowanych Polaków i poległych żołnierzy samoobrony, którzy w nierównych, desperackich walkach bronili ludności przed zagładą. Dzień 11 lipca, nazywany Dniem Pamięci Męczeństwa Kresów, gromadzi na żałobnych uroczystościach nie tylko Kresowian; uczestniczą w nich również ci, którym nie są obojętne losy Rodaków z Kresów.

Zbrodni ludobójstwa na ludności polskiej na Kresach Południowo-Wschodnich II Rzeczypospolitej dokonały Organizacja Ukraińskich Nationalistów (OUN) i jej formacje: tzw. Ukraińska Powstańcza Armia (UPA), służba bezpieczeństwa (SB) oraz miejscowi rezuni z tzw. samoobronnych kuszczowych widdłów (SKW). Tylko na Wołyniu i południowym Polesiu formacje te w latach 1943–44 wymordowały około 60 tys. ludności polskiej, głównie dzieci, kobiet i starców. W 1944 r. rzezie objęły następane województwa: tarnopolskie, stanisławowskie i lwowskie oraz wschodnie powiaty Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny.

Polskie władze podziemne, jak i miejscowa ludność liczyły początkowo, że katastrofie można zapobiec albo ją przynajmniej odwlec drogą negocjacji z OUN-UPA, ale liczne próby rozmów na różnych szczeblach dramatycznie zawiodły. Wystąpił z Kowla przez Delegata Rządu – Kazimierza Banacha, parlamentariusze: Zygmunt Rumel, komendant BCh na Wołyń, i jego oficer do zleceń specjalnych, Krzysztof Markiewicz, wraz z przewodnikiem Witoldem Dobrowolskim, zostali zamordowani 10 lipca 1943 r. przez rozerwanie końmi.

W latach 1943–44 nie znajdzie się na Wołyniu dnia, w którym OUN-UPA-SB-SKW nie dokonałyby mordów na bezbronnej ludności, a były dni, kiedy zamordowały tysiące. Tak było 10, 11, 12, 13 lipca czy w kilku dniach pod koniec sierpnia.

Na 11 lipca, niedzielę, przypada apogeum zbrodni. Była to najkrwawsza niedziela w naszej historii. Pod względem zasięgu terytorialnego, ilości ofiar i barbarzyństwa oprawców – zbrodnie dokonane w tę niedzielę przewyższają wszystkie inne dokonane kiedykolwiek na ludności polskiej w ciągu jednego dnia. W 167 miejscowościach Wołynia, w powiatach włodzimierskim, horochowskim, kowelskim i innych, w tę niedzielę i sąsiednich dniach najbardziej wyrafinowanymi sposobami zamordowano wiele tysięcy osób. W kilku wołyńskich kościołach OUN-UPA-SB-SKW zabiły blisko tysiąc wiernych, nie oszczędzając księży przy ołtarzach. W kościele w Porycku podczas mszy upowcy obrzucili granatami wiernych i otworzyli do nich ogień z broni ręcznej i maszynowej. Rannych dobijali strzałami w głowę. Zabili ponad 220 osób. Ksiądz Bolesław Szawłowski, odprawiający mszę, został dwukrotnie ranny, schronił się u miejscowego popa, ale po kilku dniach został zamordowany przez banderowców. Podpalony przez nich kościół ugasiła ulewa.

W kościele w Kisielinie wierni podjęli desperacką obronę, dzięki której część z nich ocalała, wśród nich ranny ojciec kompozytora Krzesimira Dębskiego. Zabito 90 osób. W kaplicy w Krymnie upowcy z miejscowymi rezunami zamordowali 40 osób, w Zabłoźcach około 150 i ks. Józefa Aleksandrowicza. Opis mordu w kaplicy w Chrynowie przekazał Zygmunt Abramowski, mieszkaniec Chrynowa: *W kaplicy było około 200 osób, przeważnie kobiety i dzieci. Po podniesieniu zauważyłem, stojąc obok drzwi, podejrzany ruch. Zobaczyłem, że kilku banderowców ustawiło ręczny karabin maszynowy typu diechtariewa. Zaczęli strzelać do ludzi seriami i z ręcznych karabinów, rzucili również dwa granaty, które nie wybuchły. Schowałem się z kolegą za grube drzwi kaplicy. W świątyni wybuchł popłoch i krzyk rannych. Ludzie zaczęli uciekać drzwiami bocznymi obok zakrystii i chóru. Kaplica jednak otoczona była szczelnie i bez przerwy rozlegały się strzały. W świątyni, gęsto ostrzeliwanej*

z rkm-u i broni pojedynczej, trwał krzyk i rozdzierający uszy pisk dzieci. Zamordowano około 150 osób.

W tę najkrwawszą niedzielę banderowcy wymordowali ludność polską wielu wsi. W Dominopolu zabili 250 osób, ocalało zaledwie kilka, które dopadli w innych miejscowościach. W Orzeszynie zabili ponad 300. Mord w Gucinie opisał Józef Murmanowski, były mieszkaniec tej wsi:

Była to niedziela, 11 lipca 1943, około godz. 8. Padał drobny deszcz. Kolonię Gucin koło Myszkowa, pow. włodzimierski, otoczyli upowcy i zaczęli wyganiać jej mieszkańców z domów, pędząc do środka kolonii, gdzie stała stara nieużywana kuźnia. Kto się ociągał i nie chciał iść, był bity lub rąbany siekierą. Ponieważ kolonia składała się z trzech ulic, to na drugiej ludność została spędzona do stodoły, a na trzeciej mieszkały tylko dwie rodziny Polaków, to ich postrzelano w mieszkaniach. Po spędzeniu wszystkich do kuźni i stodoły obalano budynki benzyną i podpalamo. Kiedy dym zaczął dusić, ludzie zaczęli uciekać. Wtedy z ustawionego karabinu maszynowego strzelano do uciekających i palących się budynków. Ogółem w Gucinie zginęło z rąk banderowców 140 osób.

O masowym mordzie w Teresinie wspomina Marian Świstowski: ... do Teresina o świącie przyjechała banda UPA i zamordowała 80 osób. Z naszej bliskiej i dalszej rodziny – 18 osób, między innymi zamor-

dowali moją babcię Amelię, jej męża Jana i ciocię Kazimierę, obu wujów: Stanisława Umańskiego i Michała Bojkę, nie przepuścili nawet dwuletnim Krysi i Tamarce.

Przerażająco długa jest lista miejscowości, w których tej niedzieli dokonano potwornych, masowych zbrodni na ludności polskiej. Kto ocalał, starał się dotrzeć do bezpieczniejszych miejsc, klucząc głównie nocą po zbożach, lasach, bezdrożach. W powiecie włodzimierskim większość uciekających kierowała się do Włodzimierza, gdzie był silny garnizon niemiecki, dający pewne bezpieczeństwo uciekinierom. Co tam się działo, wspomina komandor Józef Czerwiński, wówczas piętnastolatek: *W nocy 11 lipca wokół Włodzimierza stanęły tony. Od rana miasto zaczęło zapełniać się uciekinierami, którzy cudem uniknęli śmierci. Zrozpaczeni ludzie, niekiedy ranni lub okaleczeni, opowiadali o faktach niesłychanego bestialstwa nacjonalistycznych bandytów.*

Ucieczka do Generalnego Gubernatorstwa była niezwykle utrudniona, gdyż granicy na Bugu strzegł Grenzschutz. Przekroczyć ją można było tylko za solidną łapówkę, najskuteczniej w złocie. Zresztą samo dotarcie do Bugu było wręcz niemożliwe ze względu na liczne patrole UPA i miejscowych reżymów, którzy polowali na uciekinierów. Ocalała ludność powiatu horochowskiego uciekała na południe do miasteczek województwa lwowskiego, gdzie masowe rzezie rozpoczęły się dopiero w roku 1944.



Lipniki na Wołyniu, 26 marca 1943 r. Tej nocy ginie 179 Polaków, czworo ukrywanych Żydów i Rosjan-ka. Z życiem uchodzi około 500 osób, w tym 2-letni Miroslaw Hermaszewski, późniejszy kosmonauta, wyniesiony na rękach matki
wg Dymitr Bagiński „Masakra w Lipnikach”

Zajadłe ściganie uciekających z pożogi i jeszcze bardziej okrutne ich mordy zadają kłam twierdzeniu ounowskich historyków, również w Polsce, że celem OUN-UPA było tylko wypędzenie ludności polskiej z terenów traktowanych przez banderowców jako tereny etnicznie ukraińskie. Ich celem było fizyczne wyniszczenie obecności polskiej, by nigdy już tam nie powróciła. Po masowych, lipcowych rzeziach nie było komu grzebać pomordowanych, którzy leżeli w domach, obejściach, ogrodach, polach, lasach na skwarze przez wiele dni. *Straszny widok ukazał się naszym oczom* – relacjonował naoczny świadek. – *W łózkach, bo działo się to w nocy, pełno trupów, wszystko we krwi – ściany, podłogi, pościel. W oknach i drzwiach dzieci ponabijane na widły, łopaty, kosy.* Inny naoczny świadek, wysłany samochodem z niemiecką obstawą do wsi po zboże na chleb dla głodujących we Włodzimierzu uciekinierów, ujrzał wstrząsający widok rozkładających się ciał, nad którymi krążyły wrony i unosily się chmary much. Przerażeni strasznym widokiem i trupim odorem, również niemieccy żołnierze, wrócili z niczym, bez zwłoki, do garnizonu.

Na Wołyniu w apokaliptycznym 1943 r., a w następnym na całych Kresach Południowo-Wschodnich, nie było wsi, w której ludność polska, pozbawiona zbrojnej osłony, pozostałaby przy życiu. W miastach i miasteczkach ochronę zapewniały – nie zawsze skuteczną – garnizony niemieckie i węgierskie. Na wsiach ludność polską ochraniały samoobrony i oddziały AK, na Lubelszczyźnie również BCh. Rzezie na Wołyniu i południowym Polesiu trwały z różnym natężeniem do wkroczenia tam Armii Czerwonej, w Małopolsce Wschodniej i wschodnich powiatach Lubelszczyzny i Rzeszowszczyzny mordy o znacznie mniejszym natężeniu miały miejsce do połowy 1947 r.

Liczne prace naukowe, oparte głównie na relacjach świadków eksterminacji, świadczą, że była ona przygotowywana ideologicznie i propagandowo przez wiele lat oraz realizowana z dużym organizacyjnym zaangażowaniem wszystkich szczebli OUN-UPA-SB, od najwyższych do najniższych, terenowych. To przywódcy i dowódcy tych formacji, wywodzący się z inteligencji ukraińskiej, głównie galicyjskiej, są odpowiedzialni za ludobójstwo ludności polskiej, mordy na własnej –

ukraińskiej, a także na Żydach, Rosjanach, Czechach. Ponad 250 tys. zbrodniarzy, również z dywizji SS – „Galizien” i innych militarnych i paramilitarnych formacji, będących na usługach Niemiec hitlerowskich, uciekło na Zachód i wielu z nich żyje tam w całkowitej bezkarności. Mieszkał w USA bezkarny główny ideolog i organizator ludobójstwa na Kresach Mykoła Łebed „Ruban”, zastępca S. Bandery, sponsorowany przez tamtejsze władze jako działacz kultury (!). Pośmiertnie doczekał się skandalicznego panegiryku w „Przeglądzie Historycznym” paryskiej „Kultury”, autorstwa B. Osadczyka, który z kolei został wyróżniony (za co?) najwyższymi polskimi odznaczeniami (!). Warto również wiedzieć, że pierwsze pomniki ludobójców stanęły w USA: R. Szuchewycza w Buffalo (1968), S. Bandery w Nowym Jorku (1983) i co trzeba mocno podkreślić: przy milczeniu Polonii, chociaż wówczas wiedziano i tam, że honorowani pomnikami są winni ludobójstwa na ludności polskiej. Postawienie pomników na pewno wymagało odpowiednich uzasadnień. Ciekawe, jakimi kryminalnymi łgarstwami uzasadniono zasługi ludobójców, okłamując władze municypalne, a może i stanowe? Warto też wiedzieć, że pod naciskiem ounowskiej diaspory ukraińskiej w USA i Kanadzie E. Moskał, prezes Polonii Amerykańskiej, zakazał polonijnej prasie poruszania eksterminacji ludności polskiej przez OUN-UPA.

W warunkach bezkarności wokół ludobójstwa na Kresach narosło na Zachodzie i na Ukrainie wiele propagandowych kłamstw. Banderowscy „pamiętnikarze”, wśród nich wspomniany „Ruban”, stworzyli obszerną, wielojęzyczną literaturę, w której wybielają, nobilitują i heroizują zbrodniarzy, przerzucając winę z oprawcy na ofiarę. Pomagają im w tych oskarżeniach apologety OUN-UPA i w Polsce. Skandalem jest np. książka R. Drozda pod wymownym tytułem „UPA”, gloryfikująca tę zbrodniczą formację i szkalująca polskiego żołnierza.

Wyjątkowo nagannym jest kult OUN-UPA, którego wyrazem są między innymi liczne pomniki i tablice chwały, fundowane na Zachodniej Ukrainie, ale również w Polsce, na terenach zroszonych krwią Ofiar tej formacji. Mamy więc i u nas sytuację nienormalną, niemal surrealistyczną, bo owe pomniki postawiono bez pozwolenia polskich władz i wbrew zdecydowanej opinii społeczności

lokalnych. Sytuacja przypomina gloryfikację mordercy w domu ofiary. Taka etyczna degrengolada ma swoje główne źródło w linii ideologicznej „Gazety Wyborczej” i podobnych jej pism, zwłaszcza „Naszego Słowa”. Ta pierwsza swego czasu zbulwersowała Kresowian tezą, że *UPA to cześć i duma Ukrainy*, a kto jest innego zdania, ma coś wspólnego z KGB! A więc kilka milionów Polaków z kresowym rodowodem to agenci tej przestępczej organizacji. W taki sposób „GW” potraktowała Kresowian, którzy przeszli przez piekło banderowskiego terroru, zostawiając na Kresach groby najbliższych i cały swój wielopokoleniowy dorobek. A już trudno inaczej jak niegodziwością wobec Ofiar OUN-UPA nazwać przemilczanie ludobójstwa i eksponowanie wyolbrzymionych albo urojonych krzywd Ukraińców, na przykład na uroczystości w Pawłokomiu czy któryś z kolei raz w rocznicę operacji „Wisła”. Taka postawa naszych elit wobec największej tragedii własnego Narodu i niewyobrażalnych krzywd, jakich doznał ze strony OUN-UPA w latach wojny i okupacji, a również w pierwszych latach powojennych, musi rodzić u Kresowian rozgoryczenie i uzasadnione przekonanie, że są dyskryminowani jak żadna społeczność w Polsce.

Rażącym przykładem takiej dyskryminacji była chociażby odmowa zajęcia się przez byłych rzeźników praw obywatelskich ofiarami OUN-UPA, które w banderowskich, krwawych pogromach zostały ciężko ranne czy doznały silnych traum psychicznych, utrudniających całe późniejsze życie. Przejście przez krwawy banderowski terror, nawet w bazach samoobronnych, miało nieraz podobnie traumatyczny wpływ na zdrowie jak pobyt w okupacyjnych miejscach odosobnienia. Krzywdą – w odczuciu Kresowian – jest lekceważenie i obstrukcja ich prawa do rekompensat za mienie pozostawione na Kresach. Upokarzają ich władze stołeczne nie zezwalając na postawienie Pomnika Ofiar OUN-UPA w stolicy pomordowanych, którzy kochali ją i marzyli, by ją kiedyś zobaczyć. Kochali ją może bardziej niż ci, co złożyli podpisy na liście protestu przeciwko pomnikowi. Jest wyjście z sytuacji: sygnatariusze tej niechlubnej listy powinni wystąpić do władz stołecznych z prośbą o realizację nowej wersji pomnika autorstwa wybitnego artysty prof. M. Koniecznego, któ-

ra czeka już od kilku lat. Przywracanie historycznej pamięci o kresowej tragedii ludności polskiej jest świętym, patriotycznym obowiązkiem również władz stolicy.

Niektórzyounofilscy historycy i publicyści, również w Polsce, mają Kresowianom za złe, że mówią i piszą o swoich tragicznych losach, przeżyciach podczas banderowskiego ludobójstwa, nazywają ich szowinistami, ukraiñożercami, uniemożliwiającymi polsko-ukraińskie porozumienie i przyjaźń. Jest to stanowisko wysoce amoralne, prymitywnie pokrętnie choćby wobec obłądnego kultu OUN-UPA. Niedoszłe ofiary tej ludobójczej formacji mają nie tylko prawo, ale i moralny obowiązek pamiętać i mówić ku przestrodze o swoich tragicznych, kresowych losach, o bestialsko pomordowanych rodzicach, rodzeństwie, sąsiadach, znajomych. Nasi politycy i publicyści obrażają się na prezydenta USA, i słusznie, że nazywa obóz w Auschwitzu polskim obozem, ale sami popełniają rażące, kompromitujące błędy, np. „Rzeczpospolita” z 31 V br. pisze, że 11 lipca 1943 r. OUN-UPA dopiero rozpoczęła rzeź ludności polskiej. Tego dnia, w niedzielę, było ich największe nasilenie, a pogeum zbrodni, a nie początek.

Nasz parlament uczcił pamięć i złożył należyty hołd Ofiarom Katyńskim, Ofiarom Holokaustu, więźniom obozów koncentracyjnych i łagrów, wszystkim Ofiarom zbrodni wojennych i okupacyjnych, a nawet Ofiarom Wielkiego Głodu na Ukrainie. Tylko Ofiary banderowskiego ludobójstwa musiały długo czekać na stanowisko Sejmu. Dopiero pod desperackim już naciskiem organizacji kresowych Sejm przyjął 11 lipca 2009 r. eufemistyczną uchwałę używając określenia *znamiona ludobójstwa* zamiast – ludobójstwa okrutnego (*genocidium atrox*), jakim eksterminacja w istocie była. Ważne jednak w uchwale sejmowej, poprzedzonej uchwałą Sejmiku Dolnośląskiego z 30 IX 2008 – było złożenie hołdu Ofiarom UPA i kresowym Samoobronom oraz oddziałom AK i BCh, które w dramatycznych bitwach obroniły przed zagładą tysiące polskiej ludności. Uchwała zobowiązała wszystkie władze publiczne do przywrócenia historycznej pamięci o kresowej tragedii ludności polskiej. Uchwała ta, mimo że została wsparta podobnymi uchwałami sejmików: Opolskiego (27 X 2009), Podkar-

packiego (28 XII 2009), Lubuskiego (23 II 2010), Lubelskiego (7 XII 2010), Małopolskiego (27 IX 2010), Mazowieckiego (11 VII 2011) – pozostaje martwa. Jej realizacja natrafia na niezrozumiały opór ze strony elit samorządowych i rządowych, zwłaszcza w szkolnictwie i w większości mediów. Tymczasem media nagłośniają jako wielką krzywdę przesiedlenie (wymuszone przez terror OUN-UPA) ludności z wypalonych Bieszczadów na tereny o wysokim standardzie cywilizacyjnym. Właśnie ta akcja przesiedleńcza położyła kres dalszemu rozlewowi krwi, rozpętanemu przez OUN-UPA już w 1942 r. – pozbawiając banderowców bazy aprowizacyjnej, kwaterekowej, rekrutacyjnej, informacyjnej. Mając wymuszone terrorem wsparcie u miejscowej ludności, zdesperowani banderowcy, w obawie przed karą za zbrodnie, trzymaliby się tam jeszcze wiele lat mordując nieprzychylną im ludność, paląc jej obejścia. Upowiec Omelan Płeczeń przesiedlał w bieszczadzkiem bunkrze 9 lat, co uwiecznił we wspomnieniach, ale o tym milczą ounofilscy historycy i publicyści.

Żywimy nadzieję, że przed 70. rocznicą banderowskiego ludobójstwa pozostałe sejmiki podejmą odpowiednie uchwały, w których uczczą pamięć Ofiar OUN-UPA i złożą hołd bohaterskim Kresowym Samoobronom oraz oddziałom AK i BCh, które w desperackich walkach obroniły przed całkowitą zagładą setki tysięcy polskiej ludności, że w obchody tej tragicznej rocznicy włączą się władze państwowe i samorządowe. Mamy głęboką nadzieję, że tym razem władze stołeczne poważnie i ze zrozumieniem potraktują sprawę Pomnika Ofiar OUN-UPA i uroczyste, centralne obchody 70. rocznicy banderowskiego ludobójstwa odbędą się przy tym pomniku z udziałem najwyższych władz. Spodziewamy się, że nasz parlament ustanowi 11 lipca Dniem Pamięci Męczeństwa Kresowian, co obiecał Kresowianom prezydent Bronisław Komorowski, a dewizą żałobnych obchodów tej tragicznej rocznicy będą słowa premiera Donalda Tuska, wypowiedziane 10 maja 2008 r. w Stutthofie: *Polacy muszą dbać o prawdziwy obraz historii, tak aby nikt w Europie i na świecie nie zdołał jej zakłamać. Prawda jest fundamentem, na którym może powstać autentyczna przyjaźń i zrozumienie w tej części świata.*

Martytui viventes obliant

Wanda Majchrzycka

Łagier Nowa Iwanowka, stacja kolejowa Maryńsk

Zostałam aresztowana 8 lutego 1940 roku przez lwowskie NKWD za przynależność do organizacji wojskowej. Pierwsze dwa miesiące przesiedziałam w więzieniu śledczym przy Zamarstynowskiej, a po rozprawie sądowej, która odbyła się w Hotelu Krakowskim w dniach 11–12 kwietnia 1940, całą naszą grupę przeniesiono do Brygidek.

13 kwietnia nastąpiła wielka wywózka w głąb Rosji, kiedy to wywieziono moich rodziców i młodszą siostrę oraz ciotkę Izę, emerytowaną nauczycielkę, ponieważ wywożono rodziny aresztowanych, inteligencję, rodziny wojskowych, policjantów itd.

Z Brygidek olbrzymim transportem więziennym wieziono nas we wrześniu przez Charków, Czelabińsk za Ural. Podróż trwała około miesiąca. Za Nowosybirskiem, w Maryńsku, znajdował się łagier rozdzielczy, skąd rozsyłano więźniarki po okolicznych łagrach. Tam rozdzielono naszą grupę, zostałam z Olgą Banzel, którą znałam z konspiracji. Olga była studentką medycyny, we wrześniu 1939 r. miała „przydział” kontaktowania się z gen. Spiechowiczem. Generał ukrywał się w klinice. Aresztowano ją w październiku '39. Z Maryńska ciężarówkami przewieziono nas do łagru Nowa Iwanowka, gdzie było tzw. „sielskie chazajstwo”, czyli łagier rolniczy.

Przydzielono nas z Olgą do jednego baraku. Cały łagier nie był duży – trzy baraki i dwie ziemianki, razem około 500 kobiet; wszystkie siedziały za „kontrewolucję”. Były też tam Polki – obywatelki sowieckie, które aresztowano w 1937 r. Przeważnie miały wyroki po 10 lat. Jak nabrały do nas zaufania, opowiadały, że w 1937 roku miała być wojna polsko-bolszewicka i Stalin kazał aresztować wszystkich Polaków.

Tam też spędziłyśmy pierwsze, ale i ostatnie – chwała Bogu – święta Bożego Narodzenia. Dzień ten nie różnił się niczym od zwykłych smutnych dni. Smutnych, bo żadna z Polek nie miała wiadomości od

swoich najbliższych, nie wiedzieliśmy, co się dzieje na świecie. W tym baraku, gdzie mieszkaliśmy, było kilka Polek z naszego transportu. Składałyśmy sobie życzenia, łamiąc się czarnym, ciężkim chlebem, życząc sobie zdrowia i szybkiego powrotu na wolność, wiadomości od najbliższych. I pomimo przygnębienia i smutku nie wierzyłyśmy, że miałybyśmy odsiedzieć cały wyrok. Odwiedziłyśmy też inne Polki z naszego transportu w innych barakach. Pocięszaliśmy się nawzajem, któraś pamiętała proroctwa z Tęgoborzy, miałyśmy nadzieję, że może coś się sprawdzi. I rzeczywiście, 31 sierpnia 1941, po tzw. amnestii, wyszłyśmy na wolność.

1941 TIKI BUŁAK – URDŻAR

Po zwolnieniu w administracji łagru dostałyśmy dokumenty, 3 kg chleba, 1 kg ryby i 60 rubli oraz bilet kolejowy docelowy.

Miałam adres rodziców, więc zdecydowałam, że do nich pojadę. Olga też prawie w ostatniej chwili dostała adres matki i siostr. Ojciec jej, pastor Wojsk Polskich w randze kapitana, również był aresztowany, ale ślad po nim zaginął.

Jechałyśmy razem z Olgą do Semipałałyńska chyba trzy dni. Ona tam wysiadła, bo tam była jej rodzina. Ja pojechałam dalej, może dwa dni dłużej, już nie pamiętam, do stacji Ajaguz, a stamtąd na fermę Tas Bułak, gdzie byli moi rodzice i siostra. Muszę dodać, że byłam pierwszą osobą przybywającą z łagru do tego sowchozu. Jesienią wszyscy Polacy uciekali z tego sowchozu do miasteczka powiatowego – Urdżar. Tam powstała polska delegatura i czuło się jakąś opiekę polskich władz. My też tam się przenieśliśmy. Tam była nasza wigilia.

Mieszkaliśmy u Rosjanki – matki z córką Tasią, której mąż był na froncie, w jednym pokoju, bo cała ta chata – lepianka – miała tylko przedsionek, w którym było palenisko do pieca stojącego w jedynym pokoju; pokój ten był wszystkim: i kuchnią, i jadalnią, i sypialnią. Nasze gospodynie dorabiały w ten sposób, przyjmując lokatorów do swego ciasnego domu.

Przytaczam tu wspomnienia mojej siostry Ali:

Wigilia z opłatkiem, zaoszczędzonym z któregoś z listów sprzed roku, ze Lwowa... Jak strasznie dawno! Już w minionej

epoce: przed wojną między naszymi ościennymi sąsiadami!

Czekał na nas stół wigilijny: autentyczny stół! Życzenia składane sobie i przesyłane myślami i sercem wszystkim naszym. Serdeczna modlitwa o przetrwanie, o życie, o powrót i spotkania, o pokój. Zadumanie: Co u nich wszystkich? Jak z nimi? Pod każdym względem... Gdzie są, z kim...? To samo o Cioci Izie, która pozostała w Tas Bułaku, samotna... Jak ciężko...

Jak szczególnie odczuwa się nostalgię i bezdenny niepokój w te rodzinne święta. Ile wspomnień! Przytłaczają i równocześnie zdają się podierać nas swym istnieniem, wzmacniać w uścisłej woli przetrwania.

Usiedliśmy przy stole (jak nigdy), bo to święto. Była ta namiastka tradycji: pierogi. I wrzątek. I ten nastrój... Zaczęłyśmy z Wandą śpiewać kolędy. Rodzice dołączyli, a chociaż mizernie to wypadło, nawet babuszka rozumiała, a i Tasia się domyślała powagi chwili: oto Polacy obchodzą Święta.

KHANAQUIN

W maju 1942 roku wstąpiłyśmy z siostrą do Pomocniczej Służby Kobiet w Guzar, w Uzbekistanie. W sierpniu była ewakuacja wojska do Iranu. Następnym miejscem postoju był Irak i tam zastały nas Święta Bożego Narodzenia.

Moja siostra dostała przydział do saperów w Kizyl Ribat jako świetliczanka, a ja do szefostwa Budownictwa i Kwaterunku w Khanaquin. Pracowało nas tam cztery ochotniczki – zaprowiantowane byłyśmy w kasynie oficerskim i tam byłyśmy na wigilii. Już nawet nie pamiętam menu, ale chyba był barszcz i ryba. Dzieliłiśmy się opłatkiem, życząc sobie szybkiego powrotu do kraju... Najbardziej pamiętam pasterkę o północy. Na pustyni był ustawiony ołtarz polowy przybrany nie choinkami, ale palmami. Nad nami ciemne niebo, gwiazdy, a palące się na ołtarzu świece migały na wietrze. Śpiewaliśmy kolędy, ale myślami każdy był daleko. Takiej pasterki i takiego otoczenia się nie zapomina...

WANDA MAJCHRZYCKA z d. Bober (1918 Lwów – 2006 Kraków). Życiorys napisany przez jej siostrę Alicję zamieściliśmy w CL 2/07, zaś zdjęcie obu siostr z Palestyny (po opuszczeniu Związku Sowieckiego) w CL 3/06.

Zbigniew Wawszczak

JAK POLACY Z KALIFORNII POMAGALI RODAKOM NA KRESACH WSCHODNICH

Choć Franciszek Kosowicz nie działał sam, kontynuowane przez ponad 20 lat dzieło pomocy Polakom na Wschodzie kojarzy się jednak z jego nazwiskiem. Trudno by było inaczej, skoro od początku od 1989 r. aż do końca w 2010 r. stał on na czele społecznej organizacji – Komitetu Pomocy Polakom na Wschodzie (KPPnW) w Los Angeles.

Zanim jednak zajmiemy się efektami pracy organizacji, z której dumni są Polonusi z Los Angeles – opowiemy, skąd pochodzi i kim jest człowiek, który tak wiele zrobił dla Polaków zamieszkujących na dawnych Kresach Wschodnich.

Urodził się na Kresach Północno-Wschodnich w miasteczku Raków (woj. wileńskie), dziś Białoruś, położonym tuż nad ówczesną granicą Polski ze Związkiem Sowieckim, na starym trakcie komunikacyjnym z Wilna do Mińska. Świetny literacki portret Rakowa lat dwudziestych stworzył pisarz Sergiusz Piasecki w swej pierwszej, najbardziej znanej książce pt. *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*.

Franek wyrastał w niezbyt zamożnej rodzinie, w której kultywowane były tradycje patriotyczne. Chłopak marzył o karierze wojskowej, do czego w zdecydowany sposób przyczynił się najstarszy z braci Jan, zawodowy wojskowy. Imponował Franciszkowi mundur i szlify oficerskie. Ale marzeń nie udało się spełnić, przeszkodziła w tym wojna. Po kampanii wrześniowej brat, kapitan Jan Kosowicz, szczęśliwie wrócił do Rakowa i był jednym z pierwszych, którzy rozpoczęli tworzenie struktur konspiracyjnych.

Latem 1941 r., po zajęciu Ziemi Wschodnich przez wojska Trzeciej Rzeszy, następuje rozwój organizacji niepodległościowych. Coraz częściej do przekazywania meldunków, rozkazów, dokumentów używany jest sprytny chłopak, Franek. Łatwiej mu przemknąć przez rozmaite posterunki kontrolne władz okupacyjnych. Z czasem Franek Kosowicz przewozi niebezpieczne przesyłki wozem zaprzężonym w konie na dalsze dystanse.

Od początku 1944 r. Franciszek ps. „Maciejka” jest w leśnym oddziale partyzanckim AK, którym dowodzi cichociemny por. Adolf Pilch ps. „Góra”. „Maciejka” służy w jednostce zwiadu konnego, pełni funkcję łącznika. Od tam będzie dzielił trudy partyzanckiego życia, niemal do końca 1945 r.

Sytuacja oddziałów akowskich na Kresach komplikuje się wraz ze zbliżaniem się frontu. Ze względu na napięte stosunki z sowieckimi partyzantami Zgrupowanie Stołpecko-Nalibockie AK okręgu Nowogródek, w którym służył ułan „Maciejka”, na rozkaz dowództwa 27 lipca opuszcza Kresy i po paru tygodniach dociera w pobliże Warszawy, w której wybuchło powstanie. Przybyłszy z dalekich Kresów, zorganizowani w pułk AK Palmiry Młociny w grupie Kampinos, biorą udział w ciężkich walkach, których celem było przebicie się do walczącej Warszawy. Próby te jednak zakończyły się niepowodzeniem. Partyzanckie oddziały poniosły znaczne straty. Franek Kosowicz należał do tych, którzy wyszli z tych ciężkich potyczek obronną ręką.

29 września wojska niemieckie rozbijają grupę Kampinos pod Jaktorowem koło Żyrardowa. Wraz z grupą ułanów „Maciejka” przebił się z okrążenia i na wolności doczekał nadejścia Sowietów w połowie stycznia 1945 r.

Teraz wydarzenia następują po sobie szybko niczym w filmie akcji. „Maciejka”, aresztowany przez NKWD, ucieka z transportu jadącego na Sybir (staje się to w czasie przeładunku więźniów w Brześciu nad Bugiem) i dociera do Wilna. Udaje mu się nawiązać kontakt z placówką wywiadu AK „Pralnia”. Zaopatrzony w dokumenty 30 marca opuszcza Wilno w ramach tzw. repatriacji. Przybywa do Lublina, gdzie



W drodze na lotnisko (2007)



spotyka brata Jana Kosowicza, który kieruje komórką łączności „Cerownia” i organizuje Oddział Osłony Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. Od 5 kwietnia 1945 r. Franciszek Kosowicz zostaje członkiem tego oddziału. Po rozwiązaniu Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj 6 sierpnia 1945 r. płk Jan Rzepecki tworzy 2 września organizację „Wolność i Niezawisłość”. Prezesa WiN osłania 12-osobowy oddział zbrojny pod dowództwem kpt. Jana Kosowicza, zakonspirowany, wyposażony w dokumenty, broń i samochody Ludowego Wojska Polskiego. Oddział ten odnotowuje kilka brawurowych akcji, m.in. dosłownie w ostatniej chwili wywozi z Podkowy Leśnej płk. Rzepeckiego. Dom, w którym kwateruje prezes Rzepecki, niepostrzeżenie otaczają oddziały bezpieczeństwa i wojska. Ludzie kpt. Kosowicza są jednak szybsi, tym razem prezes WiN wychodzi cało z zastawionej pułapki. Bezpieka zaczyna jednak deptać oddziałowi osłony po piętach, jego członkowie muszą ratować się ucieczką za granicę.

Franciszek Kosowicz opuszcza kraj 27 listopada 1945 r. W kwietniu dociera do Włoch, wstępuje do II korpusu i wraz z nim w czerwcu 1946 r. przeniesiony zostaje do Anglii. Po paru latach emigruje do USA. Jednak jego przygoda z wojskiem jeszcze się nie zakończyła. W 1951 r. zostaje powołany do służby wojskowej w armii amerykańskiej i dwa najbliższe lata spędzi w Berlinie. Zdemobilizowany 10 IX 1953 r. w stopniu kaprała wraca już na stałe do Ameryki. W mieście Rochester w stanie Nowy Jork rozpoczyna pracę i wieczorowe kształcanie w instytucie technicznym, by po kilku latach (w 1957 r.) przenieść się do Kalifornii. Czeka tam na niego praca w koncernie lotniczym Rohr Aircraft.

Jako człowiek stateczny, który wiele przeżył i wyszedł obronną ręką z licznych niebezpieczeństw, myślący poważnie o przyszłości rodziny, którą założył, z czasem nabywa w Los Angeles dom wraz ze sporym ogrodem. Janina i Franciszek wychowali córkę, która jest bibliotekarką. Choć przez pierwsze dziesięciolecie pochłaniała ich praca zawodowa, Franciszek angażował się w społeczne pro-

blemy środowiska polskich emigrantów. Już wcześniej, podczas pobytu w Rochester, stał się aktywnym członkiem organizacji polonijnych. Na jeszcze większe zaangażowanie nadszedł czas, kiedy jego rodzina osiągnęła stabilizację.

Tymczasem następują poważne zmiany w świecie, na komunistycznym imperium pojawiają się rysy. Polacy z kraju częściej wybierają się na dawne Kresy, starają się pomagać pozostałym tam rodakom. Widocznie Franciszek Kosowicz zaczyna wybijać się w polonijnym środowisku, skoro zwraca się do niego Grażyna Lipińska, autorka głośnej książki *Jeśli zapomnę o nich*, w której opisała tragiczne losy Polaków w sowieckich łagrach, opierając się na własnych doświadczeniach. Lipińska prosi swego podkomendnego z czasów okupacji o zorganizowanie wśród Polonii amerykańskiej pomocy dla Polaków na Kresach. „Maciejka”, jako syn kresowej ziemi wileńskiej, doskonale rozumiał, że pomoc jest potrzebna i chociaż zdawał sobie sprawę, że podejmując się niełatwego zadania, nie odmówi.

W czerwcu 1989 r. na dorocznym walnym zebraniu Kongresu Polonii Amerykańskiej w Południowej Kalifornii Kosowicz występuje z propozycją utworzenia Komitetu Pomocy Polakom na Wschodzie. Propozycja spotyka się z przychylnym przyjęciem. W skład zarządu wchodzi oprócz Kosowicza między innymi prof. Michał Zawadzki, Józef Łądowicz, Mieczysław Dutkowski. Nie wiem, czy ktokolwiek z założycieli zdawał sobie sprawę, czy mógł przypuszczać, że nowo powołana organizacja społeczna przetrwa tyle lat i zrobi tak dużo dobrego dla naszych rodaków na wschodzie. Myślę, iż to, że tak się stało, jest wielką zasługą dawnego mieszkańca miasteczka Raków Franciszka Kosowicza. Jego uporu, wytrzymałości i zdecydowania.

W jaki sposób Komitet Pomocy gromadził środki, przeznaczone na świadczenia dla Polaków na dalekich Kresach? Konsekwentnie przez lata robiono imprezy dochodowe, wieczory braterstwa z rodakami na wschodzie, pikniki, loterie, koncerty. Stopniowo zdobywali doświadczenie, nawiązywali nowe kontakty, pozyskiwali dla szlachetnej idei wpływowe osoby. Po upadku Związku Sowieckiego w 1991 r. pojawiły się większe możliwości docierania do środowisk polskich na dawnych Kresach. Wspierano odradzające się parafie,

nowo powstające organizacje polskie, szkoły, dostarczano książki, pomoce naukowe, telewizory, komputery. Dzięki ogromnemu zaangażowaniu Kosowicza, inż. Romana Liwaka, Janusza Wilczaka i wielu innych udało się dostarczyć szkołom polskim na Litwie, Łotwie, Białorusi i Ukrainie ponad 600 zestawów komputerowych. A np. na prośbę szkoły średniej w Bujwidach na Litwie zebrano w szybkim tempie sumę niezbędną na zakup mikrobusa. Pojazd ten doskonale służy młodzieży i mieszkańcom. Nieco większy mikrobusem ufundowano dla domu dziecka w Solecznikach.

Od wielu lat komitet pomaga nauczycielom polskim. Kierownictwo KPPnW nie działa na oślep. W miarę docierania do rozmaitych środowisk i organizacji mniejszości polskiej na dawnych Kresach – coraz lepiej poznało potrzeby rodaków. Ci z kolei, kiedy przekonali się, że w dalekiej Kalifornii funkcjonuje organizacja społeczna, która postawiła sobie za cel niesienie pomocy, występowali pod jej adresem z konkretnymi prośbami. Tak było np. z niektórymi szkołami polskimi na Litwie, które stanęły wobec groźby likwidacji, gdyż nie były w stanie zorganizować klas komputerowych. Musimy jednak pamiętać, że Komitet dysponował jedynie takimi środkami, jakie udało się zgromadzić, a te jak zwykle były zbyt małe, by zaspokoić ogromne zapotrzebowanie. Próbowano temu zaradzić, kiedy do organizacji trafił specjalista od budowy komputerów, inż. Roman Liwak. Przez parę lat w czasie wolnym od pracy składał komputery z części, a każdy składak był znacznie tańszy od gotowego produktu, chociaż odrobinę niższej jakości.

Podobnie wyglądała sprawa stypendiów dla młodzieży polskiej ze Wschodu. Ubiegających się o nie było zawsze znacznie więcej niż możliwości ich zaspokojenia. Zbierał się zarząd, zastanawiano się, komu pomóc, a kogo niestety należy załatwić odmownie. Najbardziej zaangażowani działacze Komitetu wyjeżdżali z darami na Litwę, Białoruś, Ukrainę. Były problemy na granicach, niekiedy nie do pokonania, wysokie opłaty celne i niezapomniane przeżycia na spotkaniach z rodakami. Takie odwiedziny utwierdzały przybyszów z Ameryki, że trzeba jak najdłużej podtrzymać działalność organizacji, aby choć w drobnej części zaspokoić potrzeby kresowian. Zawsze jednak dobroczyńcy z USA pokrywali koszty wyjazdu na dawne ziemie wschodnie z własnej kieszeni, tak aby ani jeden dolar

zgrupowany na koncie Komitetu nie został wykorzystany niezgodnie z wolą ofiarodawców. Bo jak napisali Janina i Franciszek Kosowiczowie: *Komitet przez 20 lat swego istnienia nabierał z każdym rokiem większego rozmachu, a tylko dlatego, że w społeczności znalazł zrozumienie, zaufanie i wielkie oparcie dla swej działalności. Dzięki tej ofiarności Darczyńców Komitet mógł rozwijać się, przetrwać i nieść pomoc.*

O rozmaitych przedsięwzięciach KPPnW w Kalifornii można by jeszcze wiele powiedzieć. Np. o materialnym wkładzie w budowę Centrum Metodycznego Zrzeszenia Nauczycieli Polskich w Drohobyczu, o zakupieniu 73 maszyn do pisania z polską czcionką w zakładach Łucznicz, których egzemplarze dotarły nawet do Kazachstanu.

W miarę jak zmieniał się świat – zmieniały się formy pomocy. Maszyny do pisania zastąpiły komputery z monitorami, telewizory, mikrobusy, itp.

Od 1989 r. do maja 2009 r. KPPnW w Los Angeles udzielił pomocy na sumę 581 900 dolarów. Suma imponująca. Nie wiem, czy da się ustalić, do ilu organizacji społecznych, instytucji religijnych, szkół, a także indywidualnych osób dotarła pomoc od „dobrych wujków” z Ameryki. Działalność „zbiórkowa” Komitetu objęła niemal całe USA, a wspierali go ludzie z różnych stanów tego ogromnego kraju i różnych środowisk – również Polacy nie mający bezpośrednich związków z Kresami Wschodnimi, a także sporadycznie Amerykanie niepolskiego pochodzenia.

Komitet działał ponad 20 lat, w tym czasie wielu aktywnych członków odeszło na drugi brzeg. Prezes Kosowicz przekazał mi listę zmarłych. Jest na niej 147 nazwisk. Garstka pozostała wierna tej szlachetnej organizacji

Pan Franciszek Kosowicz (po lewej), pani dyrektor Łucja Kowalska (po prawej) i młodzież lwowskiej Szkoły nr 24 – na otwarciu klasy komputerowej



do końca, między innymi uczestniczka powstania warszawskiego Hanka Gutkowska, sybiracy Zofia Adamowicz, Henryka i Kazimierz Cybulscy oraz Kazimierz Dutkowski, Zbigniew Petryka, Grażyna Dąbrowska, śp. Józef Landowicz, Janina Kosowicz, no i oczywiście Franciszek Kosowicz, który przez 20 lat wytrwale stał na czele kalifornijskiego Komitetu Pomocy Polakom na Wschodzie. Oddany pięknej idei, wymagającej samozaparcia, poświęcenia, bezinteresowności.

Dla postronnego obserwatora osiągnięcia prezesa Kosowicza i kierowanej przez niego organizacji stanowić mogą zaprzeczenie popularnej tezy o „śłomianym zapale Polaków”. Jednak nieubłagany czas zrobił swoje. Postarzeli się, wielu odeszło na wieczną wartę, inni nie mają już sił, by prowadzić dalej pracę, którą kontynuowali przez ponad dwa dziesięciolecia. Niestety nie udało się przekazać pałeczki reprezentantom młodszych generacji. Pokolenie Kosowicza pamięta jeszcze ludzi i kresowe krajobrazy. Dla młodych, pochłoniętych pracą, wychowujących własne dzieci – kresowe dziedzictwo jest niestety sprawą odległą.

W 2010 r. działalność polonijnej organizacji spieszącej z pomocą dla rodaków na dawnych polskich ziemiach wschodnich dobiegła końca.

Skromnych, ofiarnych i niezwykle skutecznych wygnańców z rodzinnych stron pokonał czas. Któż potrafił mu się oprzeć? Ale dzieło, któremu poświęcili tyle czasu, nie powinno zostać zapomniane.

Łukasz Heyman

LWOWSKA SZKOŁA ARCHITEKTURY

Sztuka budowania jest przekazem szczególnym, czytelnym i zrozumiałym dla wielu pokoleń. Składają się na nią przecież nie tylko dzieła, ale i formacja dobrej uczelni – wykłady, seminaria, dyskusje – której tradycje krzewią jej wychowankowie. A to zależy od profesorów: Politechnika Lwowska kadre miała świetną. Podolała ona sytuacjom najtrudniejszym, z dała od „bardzo przyjemnego miasta”, odbudowując ośrodki akademickie Śląska czy Wybrzeża.

STO LAT

– bez mała – politechniki to niewiele wobec monumentalnej tradycji uniwersytetu. Obowiązuje tu jednak miara oceny inicjatywy obrony suwerenności kulturalnej narodu. Bowiem właśnie w przysłowiowej biednej Galicji XIX wieku powstawały nowe zakłady naukowe na europejskim poziomie. Tak więc założeniu w 1811 r. – jednej z dwu tamtejszych – lwowskiej szkoły realnej od razu towarzyszyły starania o specjalizację inżynierską, co uzyskano jednak dopiero po roku 1844. Do reformy 1871 r. – zajęć nie przerwano nawet po zbombardowaniu miasta w 1848, odbywały się na ratuszu – wykłady i egzaminy prowadzono po niemiecku: dotkliwy trybut za kształcenie rodzimych kadr. Znamienny jest więc fakt, że wraz z polonizacją nauczania stworzono m.in. Wydział Architektury i Zakład ten w 1939 – gdy uczelnia była dobrze znana w Europie – osiągnął piękny wiek, określający skalę dziedzictwa.

Zyskało ono ceną monografię w postaci wystawy zorganizowanej [w 1986 r.] przez Wrocławskie Muzeum Architektury wedle scenariusza Zofii Gunarys (fotogramy – S. Klimek). Zespół 75 plansz – efekt benedyktyńskiego trudu dokumentacji i kwerend – przypomniał sprawy raczej zaniedbane

Prezes Komitetu Pomocy Pol. na Wschodzie otwiera klasę komputerową



SZKOŁA ŚREDNIA NR 24 im. Marii Konopnickiej
79005 m. Lwów, ul. Konyshoho, 4, tel. 75-66-62

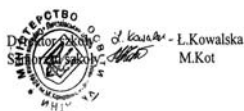
Lwów, dn. 5.09.2010 r.

Komitet Pomocy Polakom
na Wschodzie
Sz. Pan Prezes
Franciszek Kosowicz

Dyrekcja Szkoły Średniej nr 24 im. M. Konopnickiej z językiem polskim nauczania we Lwowie wyraża najserdeczniejsze podziękowania za sprzęt komputerowy (12 komputerów, drukarkę, urządzenie sterujące, drukarkę, skaner) przekazany w darze dla szkoły. Cieszymy się bardzo, że dzięki Waszej pomocy możemy kształcić młodzież polskiego pochodzenia we współczesnych warunkach.

Serdeczne Bóg zapłać.

Z wyrazami wdzięczności i
uszanowania



w badaniach XX-wiecznej kultury polskiej i dlatego ekspozycję tę odnotować należy, mimo że [...] pokazana była tylko w jednym ośrodku.

Obszerny materiał wymagał dokonania wyboru, trafny był więc zamysł ukazania dorobku Wydziału poprzez prezentację prac wybitnych pedagogów. Działalność każdego z profesorów godna jest zresztą monografii. A byli to: Tadeusz Obmiński (pracujący na Wydziale Architektury Politechniki Lwowskiej od 1897, dziekan i rektor), Marian Osiński (na WAPL od 1910), Władysław Sadłowski (na Wydziale 1911–1934), Ignacy Drexler (na WAPL w latach 1913–1930), Władysław Klimczak (profesor od 1920), Jan Bagieński (na Wydziale w latach '20, do 1967 szef katedry projektowania w lwowskim IP), Witold Minkiewicz (wykładowca w latach 1920–1939, dziekan i rektor), Zbigniew Wardzała (na WAPL w latach 1921–1931 i od 1937), Władysław Derdacki (na Wydziale w latach 1920–1939) oraz Adolf Szyszko-Bohusz, związany z WAPL od 1908 r. Generacja ta – architektów urodzonych w ostatniej tercji XIX i u progu XX w. – wychowała cały legion projektantów pracujących do dziś. Z prac studenckich zaś eksponowane były rysunki Krystyny Tołoczko i Heleny Wundrash.

Niewątpliwie wczesna działalność owego pokolenia architektów lwowskich określona była wpływem środowiska wiedeńskiego, ale przecież w ogólności – dobrym wzorcem politechnik kręgu niemieckiego, m.in. „facyńskiego” Monachium. To, że sytuację tę – pracując w liberalnej monarchii – wykorzystano dla stworzenia ośrodka polskiej sztuki budowania (bez popadania w partykularizm), jest zasługą ludzi skupionych na WAPL. I jeżeli uświadomimy sobie, że eklektyczny gmach Wydziału zaprojektował w 1873 Julian Lwigród-Zachariewicz, absolwent Wiednia – to przyjęcie w 1908 r. doktoratu T. Obmińskiego *Geneza budownictwa drewnianego w Polsce* wymownie świadczy o dynamice środowiska. W ciągu jednego pokolenia wykształcono własną kadrę i ugruntowano markę wydziału: tu realizował od 1908 r. swą *Prix de Rome* Adolf Szyszko-Bohusz, przyszły konserwator Wawelu, porzucając dla Lwowa renomowaną Akademię petersburską.

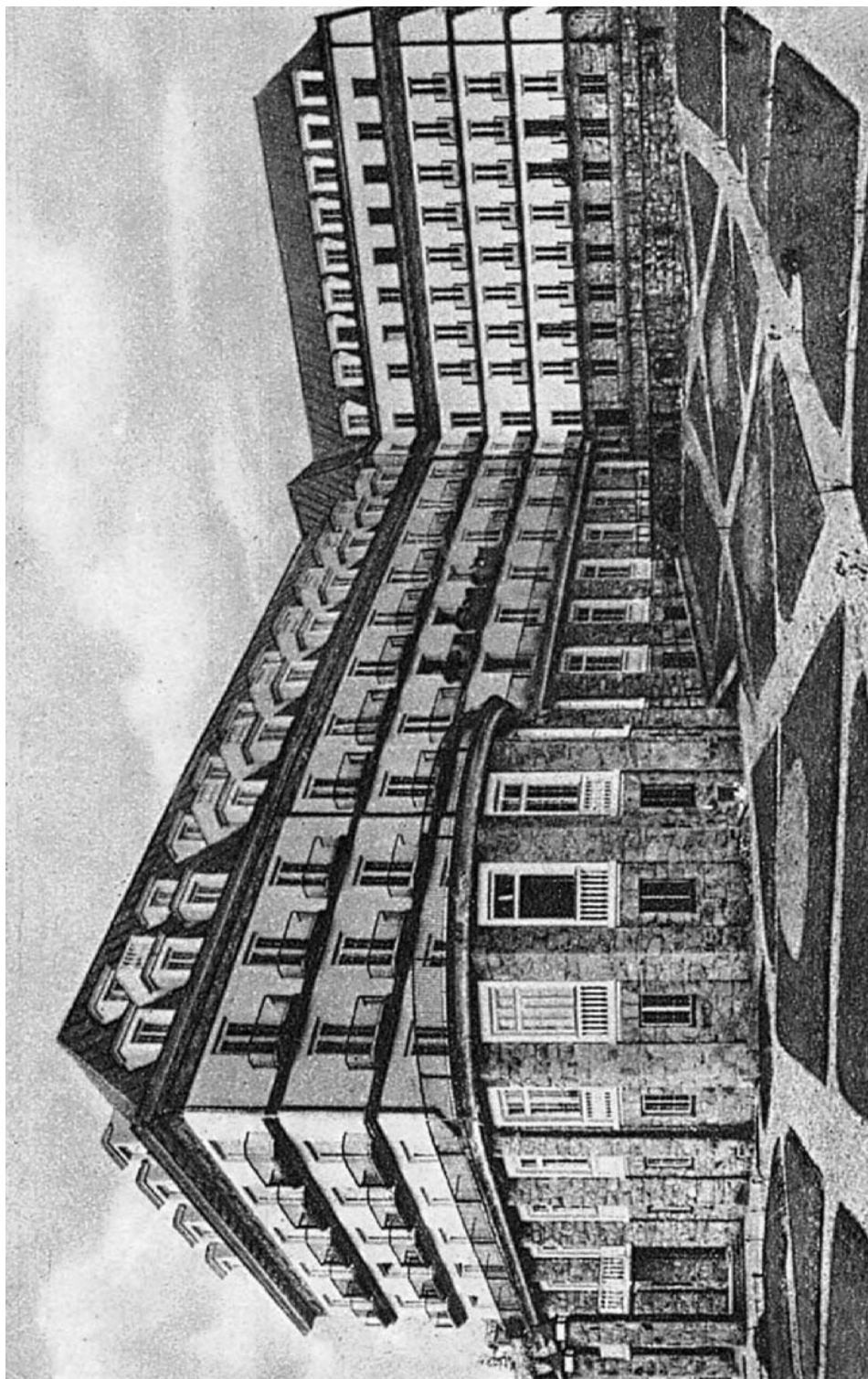
ABSOLWENCI POLITECHNIKI

obejmowali pracę na Wydziale jako doświadczeni projektanci, inicjując nowatorskie kierunki badań i teorii. I tak Drexler w wieku 32 lat opracowuje plan Wielkiego Krakowa (1910), a w 1913 tworzy na WAPL katedrę budowy miast, plan Wielkiego Lwowa jego autorstwa (1917) stał się zaś normą dla rozwiązań w innych miastach. Obmiński natomiast podejmuje pionierskie prace nad dokumentacją architektury Małopolski Wschodniej, w grazdach huculskich i skitach unickich dostrzegając – w latach triumfu „zakopiańszczyzny” – wartość świadectwa dziejów pogranicza wielkich kręgów kulturowych. Inna sprawa, że pierwsze próby zastosowania tych poszukiwań były nieco naiwne, jak np. neoromantyczna willa w Mikuliczynie (T. Obmiński, 1904), w której kompozycji malowniczo splatają się motywy podhalańskie i czarnohorskie.

Z drugiej strony – architekci z WAPL doskonale opanowali aktualne nurty secesji. Przykładem piękny Dworzec Główny we Lwowie (W. Sadłowski, 1904) czy dom Segalów przy Chorążczyźnie (T. Obmiński, 1908) – dziś reprodukowane w wielu opracowaniach historii architektury. W 30 lat później J. Bagieński i Z. Wardzała z równą maestrią zastosowali rozwiązania funkcjonalistyczne w projekcie pensjonatu „Wiktor” (Żegiestów, 1937). Zarazem wprowadzili rozwiązania przełamujące – co godne podkreślenia – konwencję „pudełkową”, jak np. w formach małej architektury i rustyce potężnych murów oporowych. Obmiński natomiast w opracowaniu bazyliki Matki Boskiej Ostrobramskiej na Łyczakowie (ukończona po 1935) podjął próbę odnowy architektury sakralnej, tworząc śmiałą syntezę wzorców starochrześcijańskich.

Wobec takiej rozpiętości postaw krytyk-purysta i postępowiec mógłby stwierdzić, że WAPL szkolił sprawnych eklektyków. Błąd – coś takiego jak „konsekwentny światopogląd artystyczny” to abstrakcja do sześcianu, nie do zastosowania w ocenie architektury. Absolwenci Wydziału byli po prostu świętymi fachowcami, wiedzącymi, iż z klientem należy mądrze współpracować, a nie druzgotać go pouczeniami. Podjąć mogli każdy istotny temat, jak choćby mieszkalnictwo – profesor Klimczak kładł szczególny nacisk na umiejętność projektowania tego typu. Znamienne

Sanatorium „Lwigród” w Krynicy. Arch. Eugeniusz Czerwiński



Te ilustracje dedykujemy organizatorom wystawy ARCHITEKTURA POLSKI NIEPODLEGŁEJ w Muzeum Niepodległości w Warszawie, maj–grudzień 2012



Sanatorium „Wiktor” w Żegestowie. Arch. J. Bagieński i Z. Wardzawa, 1937



jest zaś, że na WAPL wpajano studentom, iż architektura jest sztuką znaczeń i właśnie funkcje symboliczne odróżniają ją od budownictwa. Stąd liczne prace nad jej dziejami, szczególnie nad obszarami przenikania się kultur, nad tamtejszym toposem i *genius loci*, m.in. wydawane przez W. Klimczaka studenckie *Materiały do architektury polskiej: Domy wołyńskie czy Lewocza...* Stąd zainteresowanie osadnictwem Górnych Węgier i Śląska – przy czym nie pomijano współczesnych dokonań słowackich czy wrocławskiej Wohnungsaktion – a także gruntowne studia konserwatorskie i zabytkoznawcze, których ukoronowaniem była makieta XVIII-wiecznego Lwowa (J. Witwicki, 1929–45).

W 1929 r. utworzono – pod kierunkiem M. Osińskiego – Katedrę Architektury Polskiej; program placówki podsumowywał doświadczenia wspomnianych badań, inspirujących zresztą od lat praktykę. Przykładem Wieża Wodna w Ciechocinku, zaprojektowana w konwencji uproszczonego historyzmu przez W. Klimczaka i będąca niejako odpowiedzią na poznańską Wasserturm z 1910 r. (obecnie na terenie MTP) autorstwa znanego modernisty Hansa Poelziga, profesora wrocławskiej Akademii. Prace Katedry AP stanowiły jednak również podstawę do poszukiwań architektury nowej, inspirowanej wszelako dziedzictwem środkowoeuropejskich agrarnych kręgów kulturowych, m.in. regionalnymi odmianami wielkich stylów. Od

1937 wykłady z budownictwa wiejskiego objął Z. Wardzała, przedstawiciel kierunków nowatorskich – niewykluczone, że ta nominacja wiązała się z potrzebą szkolenia kadr dla dynamicznie rozwijających się od 1934 organizacji planowania regionalnego, m.in. Karpát.

NA WAPL UWAGNIE OBSERWOWANO NOWE KIERUNKI

To we Lwowie zorganizowano pierwszy w kraju (1926) konkurs koncepcyjny na tanie mieszkania, nagradzając zresztą stołecznych awangardzistów: Bogdana Lacherta, Lecha Niemojewskiego i Józefa Szanajcę. To Witold Minkiewicz założył – wydawane w Warszawie – czasopismo „Architektura i Budownictwo”, lansując funkcjonalizm. A przecież, nie stroniąc od nowatorstwa – por. wille projektu Z. Wardzały przy ul. Grochowskiej – architekci lwowscy szczególnie wiele dzieł zrealizowali w stylu późnych lat '30. Formacja ta krytycznie oceniała ideologię zbawczej „maszyny do mieszkania” Le Corbusiera i Gropiusa, a nie negując praktycznych osiągnięć awangardy, przywracała architekturze walor warsztatu i symbolikę, podejmując sprawy rozwoju historycznych form czy nawet zagadnienia specyfiki krajobrazu kulturowego.

Wczesnym przykładem tego kierunku jest gmach sądów w Przemyślu (W. Minkiewicz, 1935), a szczególnie efektownym – Nowy Dom Zdrojowy w Krynicy (tenże, 1939). Jest to rozwiązanie nie tylko architektoniczne, ale i urbanistyczne oraz komunikujące – oznaka centrum „bram uzdrowiska” i jego symbol – zarazem sprzężone z miejscem dziedzictwa w reminiscencjach historycznych. Kompozycja nawiązywała bowiem do charakteru krajobrazu Krynicy, określonego m.in. przez wielką kolumnadę Nowych Łazienek Mineralnych (W. Klimczak, 1924–1926).

Ów wątek związku z tradycją, z tożsamością kulturową i poszukiwanie syntezy – nader dobitnie zostały wyeksponowane w omawianej dokumentacji. I tu uwaga krytyczna: szkoda, że zabrakło materiału porównawczego, tj. choćby projektów autorstwa innych lwowiaków – myślę o neo-regionalistycznych schroniskach karpaccich (Kostrzyca, proj. J. Żukowski, 1936) czy o pracach architektów ukraińskich, doskonałe dyskонтujący nowe kierunki.

Dorobek WAPL owocuje do dziś. Opracowanie kościoła na warszawskim Ursynowie (proj. M. Budzyński i P. Wicha, 1980) podejmuje – mimo różnicy skali – zasadę kompozycji pięknej świątyni w Rudniku nad Sanem (proj. J. Bagieński, 1923) o fasadach stylu romantycznego neobaroku dominujących nad prostym korpusem nawowym. Rozwiązania zaś pod znakiem postmodernizmu – styl dzisiejszy – bliskie są doskonałemu kościołowi w Polance Karol (obecnie Krosno III) projektu M. Osińskiego z 1925 r.: obiekt jest przykładem *art déco*, ale też impresją na kanwie wzorców średniowiecznych, nie tylko polskich, bo i zapewne wielkowiegierskich.

Czy z kolei podjęte zostaną wartości dziedzictwa lat '30 – trudno orzec. W tamtym bowiem okresie refleksja architektoniczna obejmowała tyle spraw – od tożsamości kulturowej Środkowej Europy do ochrony krajobrazu – iż dziś owa rozległość horyzontów przyprawić może o zawrót głowy nie tylko projektantów, ale i ich sponsorów. Jak również fakt, że w owych latach profesorem i organizatorem katedry akademickiej bywało się około czterdziestki. A po wszelkich strasznych przejściach okupacyjnych pozostawała jeszcze energia na tworzenie wydziałów architektury: we Wrocławiu – Zbigniewowi Wardzale, w Gliwicach – Władysławowi Derdackiemu, w Gdańsku (wraz z odbudową Starego Miasta) – Witoldowi Minkiewiczowi. Czas najwyższy napisać monografię tego środowiska. Ta wystawa przynosi zaszczyt wrocławskiemu Muzeum Architektury.

Powyższy tekst został opublikowany w „Tygodniku Powszechnym” 35/1986 i przedrukowany w CL za zgodą Autora oraz redakcji „Tygodnika Powszechnego”. Redakcja CL dokonała aktualizacji dat oraz uzupełniła artykuł zdjęciami.



Remigiusz Węgrzynowicz

Kresowa pamięć

Kamienie Ziemi Kresowej „mówią”...! Zachowane w strukturach – budowlach, świątyniach, pomnikach – są nośnikami pamięci narodowej, trwałym kapitałem kultury wieloetnicznej tworzonej przez wieki oraz są świadectwem koegzystencji i twórczości naszych przodków.

Zachowana historia świątyni, a wśród nich kościoła św. Anny we Lwowie, przypomniana przez Jurija Smirnowa (w „Kurierze Galicyjskim”), wywołała reminiscencje niezapisane na kartach historii tej skromnej barokowej świątyni, znajdującej się u zbiegu trzech ruchliwych ulic: Gródeckiej, Janowskiej i Kazimierzowskiej...

W roku 1507 w miejscu obecnej świątyni członkowie cechu krawieckiego zbudowali drewnianą kapliczkę. Po pożarze w 1509 roku odbudowana częściowo z kamienia, częściowo z drewna.

W późniejszych latach dwukrotnie spalona i odbudowana w stylu barokowej świątyni. W 1730 roku powstały (obok) zabudowania klasztorne oo. Augustianów. Biblioteka klasztorna, licząca 3916 tomów, była jedną z najlepszych wówczas we Lwowie.

Po drugiej wojnie światowej kościół zamknięto. Przeznaczono na kasy biletowe, a później komis meblowy. Wyposażenie zażytkowe zniszczono. Zegar z wieży złomowano, organy sprzedano na Litwę...

W roku 1992 kościół wraz z budynkiem parafialnym (poklasztornym) przekazano cerkwi greckokatolickiej.

* * *

W tej świątyni brat mój (Artur, 1921) i ja (1922) otrzymaliśmy sakrament chrztu. Przez wiele lat nie odwiedzaliśmy tej świątyni, dopiero w czasie okupacji niemieckiej wykorzystywaliśmy ją w celach niesakralnych... Była miejscem spotkań (w czasie wieczornych nabożeństw) w celu przeka-



Kościół św. Anny we Lwowie



zywania podrobionych dokumentów „aryjskich” oraz dzieci żydowskich i dorosłych uciekinierów z obozu janowskiego i getta umówionym osobom. Sprzyjające warunki pozwalały „zgubić się” (po zdjęciu opaski z gwiazdą Dawida) wśród licznych przechodniów, m.in. również udających się na wieczorne nabożeństwo.

W sąsiedztwie kościoła przy ul. Jachowicza brat mój urządził mieszkanie, a w nim podwójną ścianę w łazience z zamaskowanym wejściem, gdzie w razie potrzeby można było ukryć parę osób. Mieszkanie służyło głównie na krótki pobyt osób przyprowadzonych z kościoła i odpowiednie przygotowanie wyglądu do podróży w umówione uprzednio, często odległe, miejscowości, m.in. do Warszawy, jak również do leśnej partyzantki w górach, w której pośredniczył ksiądz-partyzant (po wojnie sędzia w kurii rzymskokat. we Wrocławiu).

W tej świątyni przekazywano w opiekę umówionym osobom dzieci żydowskie. W akcjach tej działalności humanitarnej zaangażowanych było wiele osób. Wielu ocalałym tą drogą udało się przeżyć okupację (wśród nich dziewczynka przechowana w naszej rodzinie).

W działalności tej wiele zawdzięczaliśmy księdzu Rokickiemu – proboszczowi kościoła św. Anny, oraz wikariuszowi-katechecie szkolnemu, księdzu Florkowi. Kapłani orientowali się w działalności. Brat mój otrzymał od nich blankiety metryk, które wypełniał i (dzięki zdolnościom manualnym)

dorabiał pieczętki z różnych parafii w kraju.

Nowe blankiety poddawane były procesowi „postarzania” w prymitywny sposób nad płomieniem lampy naftowej. Inne dokumenty (zaświadczenia pracy, dowody zameldowania z okresu przedwojennego i okupacji sowieckiej), do których dorabiał brat odpowiednie pieczętki, wypisywane były na różnych maszynach (wedle potrzeby w językach polskim, niemieckim i rosyjskim) przez kierowniczkę szkoły maszynopisania (przy ul. Zybliekiewicza), dyspozycyjną w potrzebie o każdej porze dnia. Rola moja była

marginalna – pomocnicza przy działalności brata. Mieszkanie moje służyło za skrzynkę poczty konspiracyjnej. Kontakty z przychodzącymi z getta, a niekiedy udzielenie noclegu uciekinierom przed dalszą podróżą w bezpieczne miejsce.

Niestety...! Po pewnym okresie działalność nasza została zagrożona. Zdażyliśmy opuścić nasze mieszkania i miasto. W dniu następnym gestapo aresztowało w moim mieszkaniu koleżankę studentkę (późniejszą profesor Akademii Rolniczej w Lublinie) i krewnego, którzy przyszli z zamiarem zabrania niektórych moich rzeczy. Na szczęście po dwóch tygodniach zostali zwolnieni z więzienia...!

Ja, zacierając ślady, wyjechałem do Sołowa k. Rzeszowa, gdzie przebywałem do czasu wkroczenia armii sowieckiej jako student-praktykant u lekarza weterynarii.

Brat mój wyjechał do Warszawy, gdzie spełniał obowiązki żołnierza Armii Krajowej. Opiekował się nadal „podopiecznymi”, których konwojował ze Lwowa i umieszczał w bezpiecznym miejscu. Zorganizował bimbrownię, która dostarczała środki na działalność konspiracyjną, jak również potrzebującym podopiecznym. Jako plutonowy podchorąży brat czynny udział w powstaniu, m.in. w zdobywaniu znanego budynku „Pasty”.

Po wojnie, aresztowany w czasie nielegalnego przekraczania granicy, po ucieczce z więzienia, zacierając działalność konspiracyjną, powrócił do swojego nazwiska, ukończył studia (architekturę) i opuścił kraj przy okazji wycieczki do Kopenhagi na statku „Batory”. Przez trzydzieści lat pracował w USA. Wrócił do kraju w złym stanie zdrowotnym. Nie zdążył odwiedzić rodzinnego miasta, gdzie kamienie „mówią”... z mogił przodków: ojca – obrońcy Lwowa 1918 r. – na cmentarzu Janowskim, z kaplicy pradiadka radcy namiestnictwa ck we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim, z murów szkół, uczelni, świątyń... tak dobrze znanych, w których „skumulowana energia” zdarzeń osobistych i świadectwo koegzystencji wieloetnicznej na Kresach...! W 2002 roku przyjęła go ziemia krakowska* – skromnie, bez zaszczytów, należnych odznaczeń i ostatniej posługi kapłańskiej...

* * *

dokończenie na s. 47

Z Romaną Żukową

rozmawia Janusz M. Paluch



Dlaczego Pani rodzina nie wyjechała po II wojnie światowej ze Lwowa?

Jestem ze Lwowa, ze Słonecznej na Zamarstynowie. Chcieliśmy wyjechać, ale jak to w życiu bywa, wszystko się pokomplikowało. Ojciec, Stanisław Kozłowski, pracował w restauracji. I jak przyszli ruscy, to chcieli, żeby on zajmował się donoszeniem. Twierdzili, że jest między ludźmi, słyszy, co mówią, i że taki człowiek by się im przydał. Ojciec się nie zgodził, został aresztowany na parę miesięcy. W końcu zwolnili go, ale pod warunkiem, że podejmiemy współpracę. Wtedy cała rodzina zdecydowała się na opuszczenie Lwowa, ale ojciec musiał to zrobić natychmiast. We Wrocławiu znaleźli pracę i mieszkanie. Mama, starsza siostra i ja zostałyśmy we Lwowie. Mama likwidowała mieszkanie, sprzedawała, co się dało sprzedać, inne przedmioty rozdawała. Niebezpieczeństwo nie miało, a nasz wyjazd się wciąż odciągał. Tuż po wojnie NKWD często chodziło po domach i sprawdzało paszporty mieszkańców. Mama strasznie się bała, że będą szukać ojca, jego nie znajdą, a nas wywiozą na Sybir. Dozorcą w naszej kamienicy był Ukrainiec, który miał żonę Polkę. Trzy razy ostrzegał mamę, że będą kontrolować naszą kamienicę. Zamykałyśmy

się w mieszkaniu, a dozorca z zewnątrz zamykał nas jeszcze na kłódkę. Dzięki tej kłódce nasza nieobecność nie wzbudzała podejrzeń. Jednak za trzecim razem nie ukrywali zdziwienia, że znowu nas nie ma w domu. Wtedy dozorca powiedział im, że mieszka tu stara i biedna kobieta z dwiema córkami, opuszczona przez męża, i ciągle z dziećmi siedzi u rodziny na wsi, bo tam ją nakarmią, a do miasta rzadko przyjeżdża. Obok nas mieszkała rodzina ukraińska. Podobno byli podejrzani o związki z banderowcami i podczas takiej kontroli zostali wywiezieni. A nas, być może, uratował od Sybiru ten ukraiński dozorca. Mama bała się wyruszyć sama. Od sióstr ojca dochodziły niepokojące wiadomości o stanie zdrowia taty. On cały czas chorował. Kiedy w końcu zdecydowała się na wyjazd, stan ojca się pogorszył i zmarł na zapalenie płuc u siostry w Zielonej Górze. Tam został pochowany. To był 1950 r. Wtedy mama podjęła decyzję, że zostajemy we Lwowie. Nie odważyła się na wyjazd w nieznaną. Wszystko trzeba było odkręcać! Na nasze mieszkanie już był wypisany przydział. To nie było rewelacyjne mieszkanie, ale ruskich było we Lwowie tyle, że na każde mieszkanie było wtedy wielu chętnych. Chciał tam mieszkać jakiś rosyjski wojskowy, a kierowniczką „domouprawy”, Żydówką, już sobie nawet przydział na to nasze mieszkanie wypisała. Mama wpadła w rozpacz, bo mogliśmy za chwilę znaleźć się na ulicy bez dachu nad głową. W naszej kamienicy mieszkał też rosyjski pułkownik. Mama zaznajomiła się z jego żoną. Któregoś dnia siedziała przed naszym mieszkaniem na spakowanym kufrze i płakała, tak strasznie płakała. I ten pułkownik zainteresował się nią, zapytał, co się stało? Kiedy mama opowiedziała mu naszą historię, obiecał, że pomoże. Zaczął pisać pisma, chodził po urzędach i uratował nam mieszkanie. Dzięki bezinteresownej pomocy Rosjanina znowu miałyśmy gdzie mieszkać. I tak, pod opieką mamy, dorastałyśmy we Lwowie...

Co się stało z resztą rodziny, wszyscy wyjechali?

Dziadków ze strony mamy w ogóle nie znam. Mama była sierotą od ósmego roku życia. Jej rodzice zmarli w ciągu pół roku – jedno po drugim, na „hiszpankę”. Mama wychowywała się w sierocińcu u sióstr za-

Aktorki Teatru Polskiego we Lwowie, na Kaiserwaldzie:
Lidka Chrzanowska (Ilkówa), Roma Kozłowska (Zukowal),
Jola Martynowicz. Koniec lat 60.



konnych, poza Lwowem. Sama niewiele wiedziała o swojej przeszłości. Miała rodzeństwo, siostrę i brata. Nie znała ich losów. Natomiast rodzice mojego taty pochodzili z Podola. Dziadek miał chyba w Grzymalowie lub Żurowie niewielki dworek. Dziadkowie też zmarli przed wojną.

Z czasów wojny chyba niewiele Pani pamięta... Była Pani wtedy małą dziewczynką...
Pamiętam tylko bombardowanie, niedawno nas była gazownia...

Przejdźmy zatem do czasów, które pamięta Pani jako dziewczynka i uczennica, a w końcu dorosła kobieta. Lwów na dobre – choć wraca Pani tam jako turystka każdego roku – opuściła Pani z całą rodziną w roku 1981! My na tamte czasy patrzymy przez pryzmat PRL-u, już nieco z dystansu i z przymrużeniem oka.

Wychowywałam się w domu. O sowieckim żłobku czy przedszkolu matka nie chciała słyszeć. Do szkoły zaczęłam uczęszczać w 1947 r. Była to szkoła polska nr 30 przy ul. Krasickich, dzisiaj już nie istnieje. Mama pracowała w różnych miejscach: w młynie, skąd przynosiła mąkę, szyła – czego nauczyła się w sierocińcu. Nie miała wykształcenia, więc często zmieniała pracę. Przez jakiś czas pracowała nawet w bibliotece naszej szkoły, gdzie zatrudnił ją pan dyrektor Węgier. A dzieciństwo było sielskie anielskie, choć nie było nam łatwo. Nie żyło nam się dostatnio, ale dzięki zaradności mamy nie

było też biednie. Choć przecież jako dziecko nie bardzo zdawałam sobie sprawę z tego, co się wokół dzieje. Bawiliśmy się wszyscy razem. Ja mieszkałam w dużej kamienicy. Było tam 47 mieszkań, w których mieszkali Polacy, Ukraińcy, Ormianie, Żydzi czy w końcu Rosjanie. Dzieci różnych nacji bawiły się i doskonale porozumiewały... Byliśmy jedyną rodziną polską, która w tej kamienicy pozostała po 1945 r. Mimo że w czasie wojny Niemcy i Rosjanie wymordowali, wywieźli i wypędzili tylu ludzi, to Lwów nadal był i jest wielonarodowym miastem.

W jakim języku porozumieliście się na podwórku?

Rozmawialiśmy po rosyjsku, po ukraińsku też się w końcu nauczyłam. Ale po 1946 r., kiedy skończyła się ekspatriacja. Dzieci zawsze się między sobą dogadają.

Ale w domu to chyba po polsku?

W domu tylko po polsku. I muszę przyznać, że matka bardzo tego przestrzegała. Z domu wyniosłyśmy wychowanie w duchu patriotycznym i religijnym.

Jak było w szkole? Pamięta Pani swoich nauczycieli?

W pierwszych klasach uczył nas pan Paradowski. On szybko wyjechał. Były też panie – dwie siostry – Gajdacz, niezastąpiona pani Zabłocka, polonistka, którą już po przejściu na emeryturę często odwiedzaliśmy. Parzyła dobrą herbatę, piekła pyszne kapuśniaczki, opowiadała o literaturze, czytała interesujące książki i wiersze. To był pierwszy „salon herbaciany”, z jakim się zetknęłam. Miała willę na Łyczakowie. Była samotna... Nie przyjęła na mieszkanie nikogo z Polaków, to po jej śmierci dom przejęli Rosjanie. Teraz to jest ruina. Z czasem w szkole zmieniało się na gorsze. Odszedł polski dyrektor, pan Węgier. Zastąpił go Ukrainiec – Kowalyszyn, a po nim Wawryk. Był łysy, uczniowie mówili na niego „Globus”. Kiedyś, po dzwonku, na trzecim piętrze goniliśmy jeszcze po korytarzach i ktoś krzyknął: „Globus” idzie! Wawryk przyszedł do naszej klasy rozwścieczony i zapytał: *Kto to powiedział?! Oczywiście nikt się nie przyznał. Wtedy zwymyślał nas: Polska swotocz, polskie świni...* On nas nienawdził!

Bardzo niemiło wspominałam czas, kiedy namawiali nas do wstąpienia do pionierów,

a potem do komsomołu. Staralam się godnie przetrwać ten okres. To nie było takie łatwe. Zmuszali nas, namawiali opornych na różne sposoby. Ja nie należałam...

Czyli nawet w ZSRR można było powiedzieć: nie!

Można było. Wprawdzie z trudem to przychodziło, ale nielicznym to się udało. Trzeba pamiętać, że mieliśmy pracujących rodziców i taka postawa na nich się odbijała. W siódmej klasie – to schyłek pionierów – mieliśmy nauczycielkę matematyki Żydówkę. To był bardzo ważny przedmiot – algebra, geometria, trygonometria, a nam bardzo zależało, żeby mieć bardzo dobre oceny. Ona obiecywała piątki, starała się nam przypodobać, prosiła, żebyśmy się zapisali do pionierów. Mówiła: *Nie musicie wierzyć, tylko ten czerwony krawat ubierzcie*. Sama chciała wyjechać do Izraela, bo Ruscy prześladowali jednak Żydów. Przyszłam kiedyś ze szkoły i mówię do mamy, że dla dobra tej pani może bym się jednak zapisała? To był nie lada problem. Matka też się bała powiedzieć nam cokolwiek. Gdyby wyszło na jaw, że matka nie pozwala wstąpić do pionierów, to byłby Sybir! Nawet w późniejszych latach. Mama odpowiedziała mi dyplomatycznie: *Wiesz, czego was uczyłam i czego was uczę, a postępuj jak chcesz*. Oczywiście nie wpisałam się. Czasami zamykali nas – osoby, które nie chciały się zapisać do pionierów – w szkole na 3–4 godziny. Trzymali nas, wytrzymamy czy nie wytrzymamy. Przychodzili na lekcje wychowawcze z komitetu pionierów i z komsomołu, pytali się: *Dlaczego nie chcesz się zapisać? Mama ci nie pozwala? Mama pozwala – odpowiadałam. – No to dlaczego nie chcesz się zapisać? No to wymyślałam: Nie jestem godna, bo dwójkę dostałam, a Lenin mówił, że trzeba się uczyć, uczyć i uczyć! (śmiech)* No to pytali dalej: *Czy wierzysz w Boga? Czy chodzisz do kościoła?* A ponieważ my uczyliśmy się religii i wiedzieliśmy, że nie wolno się wyrzekać wiary katolickiej, to poszliśmy z tym problemem do ojca Rafała Kiernickiego, po poradę. – *Co mamy powiedzieć?* – pytaliśmy. On się uśmiechał i z pełną powagą tłumaczył: *Jak was zapytają, czy wierzysz w Boga, powiedz, że wierzysz. Ty możesz wierzyć i do tego mama cię nie zmusza. A jak zapytają, czy chodzisz do kościoła, to*

powiedz, że nie chodzisz. Bo do kościoła to już rodzice prowadzą i można to zinterpretować, że was do tego zmuszają. No i takimi wykrętami udało się przejść przez szkołę, nie zapisując się do tych organizacji! Było nas wprawdzie niewiele takich niezależnych, ale kilka osób jednak było.

To, że nie byłam ani pionierką ani komsomołką, przeplaciłam studiami. Wybrałam historię, zdałam egzaminy, miałam odpowiednią ilość punktów, ale i tak nie zostałam przyjęta. Podczas rozmowy z dziekanem zapytano mnie, jak mam zamiar uczyć dzieci, jeśli jestem „ideologicznie niepodkuta”? Tłumaczyłam, że nie chcę uczyć w szkole, że mnie bardziej praca naukowa interesuje. Na nic się to zdało. Nie przyjęli mnie. Tak mnie to dotknęło i zraziło, że nie podjęłam już żadnych studiów. Na inne kierunki – chociażby medycynę, miałabym szansę się dostać.

Co zatem robiła Pani po skończeniu szkoły?

Miałam trochę szczęścia, bo szybko udało mi się znaleźć pracę w Archiwum Wojewódzkim. Najpierw trafiłam do biblioteki, a potem przeszłam już na etat archiwalny. Pracowałam tam przez 20 lat! To była ciekawa praca. Mieliśmy dostęp do różnych dokumentów historycznych i współczesnych. Wtedy trafiłam też do innego „herbacianego salonu” u pani Marii Jarosiewicz, na Na-



Na wycieczce, od lewej: Bożena Sokółowska, pani Maria Jarosiewicz, Romana Kozłowska, ok. 1962 r.

bielaka. Miała tam swój dom. Na parter kogoś jej wcisnęli, a ona zajmowała całe piętro. Pani Jarosiewicz to znana wśród Polaków we Lwowie postać, nasza wspaniała nauczycielka geografii. Kiedy przeszła na emeryturę, zaczęła organizować „herbatki”. Przychodziło grono młodych, oczywiście zaufanych, osób. Spotykaliśmy się tam z takimi znanymi osobami, jak pani Janina Zamojska, siostry Zappe, małżeństwo Nikodemowiczów – znany kompozytor, który teraz mieszka w Lublinie. Spotkania były prawie konspiracyjne, że to niby spotkanie imienninowe... Urodziny odpadały, bo to mogli zawsze sprawdzić, a na imienninach to oni się nie znali. Zawsze były kanapki, herbatka – pełny, ale sympatyczny kamuflaż! W tamtych warunkach taka konspiracja była koniecznością. Zawiadomienia, oczywiście tylko ustne, trafiały do grona zaufanych osób. A na spotkaniach opowieści o historii Obrońców Lwowa, o sowieckiej zbrodni w Katyniu, wojnie polsko-bolszewickiej. Ale nie tylko. Pamiętam ostatnie spotkanie z panem Nikodemowiczem, przed jego wyjazdem do Polski. To był pokaz przeźroczy z naszej lwowskiej katedry. Tyle lat chodziliśmy do tego kościoła, na msze święte, na modlitwy, a dopiero te jego przeźrocza otworzyły nam oczy na piękno naszej świątyni. Dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę z tego, czym jest ta świątynia dla Lwowa i dla Polski.

Z grona pedagogów naszej szkoły trzeba też przypomnieć nauczyciela fizyki i astronomii Chrystoforowa, czyli tak naprawdę Krzysztofowicza. Był chyba Ormianinem. Organizował dla nas wycieczki po Kresach, na Podole – aż po Kamieniec Podolski. W tych wyprawach uczestniczyła tylko zaufana mło-

dzież. Tam mówiło się o prawdziwej historii Polski. W szkole nie bardzo lubiliśmy go, szczególnie w młodszych klasach, kiedy nie mieliśmy z nim bliższego kontaktu. Był powolny, oschły i ostry. Nazywaliśmy go „Lolo”. Jak byłam w 10. klasie, wybuchła sensacja. Ktoś z nas był w zakrystii katedry i spotkał tam Chrystoforowa. Na drugi dzień powtarzaliśmy w tajemnicy sensacyjną wiadomość: *Wiecie, że „Lolo” w katedrze kupował opłatek?!* W jednej chwili zyskał w naszych oczach. Od razu go polubiliśmy. Skoro kupował opłatek, to wiadomo, że jest Polakiem wierzącym i praktykującym. Nasze wycieczki z nim skończyły się dość dramatycznie. Złożono na niego doniesienie. W katedrze była wtyczka. Jakiś chłopak na jednej z wycieczek miał magnetofon i chyba wszystko nagrywał. A przecież „Lolo” opowiadał nam prawdziwą historię Rzeczypospolitej! Został wtedy wyrzucony z pracy. Po skończeniu szkoły kontakt z „Lolem” się nie urwał. Pracowałam wtedy już w Domu Nauczyciela. W pokoju siedziałam sama. Odwiedził mnie i powiedział, że wyjeżdża do znajomych na Kaukaz i prosił, żebyśmy nie szukali z nim kontaktu. Kiedy wróci, to sam się z nami skontaktuje. Dostawał wezwania, nie odbierał ich i nie stawiał się na przesłuchania. Musiał zatem zniknąć. Musiał się ukrywać. I to niejednokrotnie. Kiedy dewastowali Cmentarz Obrońców Lwowa, Chrystoforow ze znajomymi zrobili zdjęcia i wysłali je do Kanady, gdzie zostały opublikowane. W chwili zagrożenia przyszedł do nas z tymi fotografiami oraz plikiem innych dokumentów. Mieliśmy wtedy piec kaflowe ogrzewane gazem. Do jednego z tych pieców schowaliśmy dokumenty przyniesione przez Chrystoforowa. Zapytał też, czy mamy rodzinę na wsi, czy ktoś przyjeżdża do nas w nocy... Uspokoił się, gdy dowiedział się, że nie. Powiedział: *Schowajcie te dokumenty do pieca, ale jeżeli w środku nocy ktoś zadzwoni do drzwi, zapalajcie palnik; zanim ktoś otworzy drzwi, dokumenty muszą już płonąć.* Dzięki Bogu nic takiego się nie wydarzyło, a jak Chrystoforow poczuł się bezpiecznie, to je zabrał. W latach sześćdziesiątych, kiedy już mogliśmy na urlop do Polski wyjeżdżać, na prośbę wielu starszych osób dostarczałyśmy listy do ich rodzin w Polsce. Kiedyś Chrystoforow poprosił nas o dostarczenie informacji do wielu



osób w Polsce związanych z AK oraz harcerstwem. Podał zaufane adresy, gdzie miałyśmy dotrzeć. Zakazał zapisywać te adresy, miałyśmy je zapamiętać. To była ciężka sprawa. Wzięliśmy się na sposób. Jak Pan może pamiętać, w Rosji kanapki zawijało się wtedy w gazety... Na mocno zadrukowanej stronie gazety, między linijkami, ołoweczkiem cieniusieńko wpisywałyśmy te adresy! Kanapki, choćby z tego względu, miałyśmy dużo. Jeden adres umieszczony był na osobnym skrawku gazety. Kiedy przyjechałyśmy do Przemysła, od razu odwijałyśmy kanapki, żeby te adresy się nie zataryły... A informacja była krótka: *Nie kontaktujcie się z Chrystoforowem, jesteście w niebezpieczeństwie...*

Przez długi czas występowała Pani na scenie Teatru Polskiego we Lwowie.

Z teatrem związana byłam od 1958 r. Pierwsze próby, w których uczestniczyłam, odbywały się jeszcze pod kierunkiem pana Piotra Hausvatera. I występowałam dość długo, bo jeszcze w 1970 r. – już w stanie błogosławionym – byłam na scenie! (*śmiech*) Grałam wtedy w *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego i nagle spódnica mi pękła! (*śmiech*) To były bardzo miłe czasy, prezentowaliśmy głównie polskie spektakle, jeździliśmy po Kresach do Polaków. Po premierze *Wesela* mieliśmy jechać do Rzeszowa na Festiwal Kultury Polskiej. Było już zezwolenie z Kijowa na nasz wyjazd, wydrukowane afisze czekały w paczkach, a władze lwowskie nas nie puściły. Przykro nam było, ale zawsze rekompensowała nam to nasza lwowska publiczność. Prof. Adam Kuryłto i jego żona zawsze siedzieli w pierwszym rzędzie. Rzucił się w oczy, bo był łysym i postawnym mężczyzną. Po jednym z występów odwiedził nas w archiwum z żoną i służącą, gratulując nam i wręczając naręczce pięknych kwiatów. To było dla nas wielkim wyróżnieniem! A występowałam wtedy z Lidią Chrzanowską – siostrą naszego



Próba Teatru Polskiego we Lwowie w mieszkaniu prof. Piotra Hausvatera. Siedzą od lewej: Profesor, jego córka Anna Hausvater; prof. Dudek, nauczyciel ze Szkoły nr 24. Stoją od lewej: Władysław Łokietko, polonista ze Szkoły nr 24; Romana Kozłowska (Żukowa), Stanisław Derewienko; Nowak; Jolanta Martynowicz.

reżysera Zbigniewa Chrzanowskiego, oraz niezapomnianą Jolą Martynowicz – gwiazdą naszego teatru. Prof. Adam Kuryłto z Politechniki Lwowskiej bojkotował wszystkie imprezy państwowe we Lwowie. Miał też kiedyś powiedzieć, że nigdy do teatru nie będzie chodził. A Teatr Polski we Lwowie był jedynym, do którego przychodził regularnie. Nasza sala była niewielka, zaledwie 150 miejsc, ale zawsze była wypełniona i to przez jakich gości!

Czy w związku z pracą w teatrze spotykali się państwo z jakimiś szikanami ze strony władz lub pracodawców?

Raczej nie. Tyle, że repertuar musieliśmy mieć mieszany. Trzeba było czasem pokazać jakąś współczesną sztukę teatralną. Ale w realizacji tego, co przepuściła cenzura, nie przeszkadzali nam. Dopiero w 1980 r., jak w Polsce „Solidarność” wybuchła, zaczęły się problemy. Wtedy już nie grałam i tylko koleżanki opowiadały czasem, co w teatrze się dzieje. Tradycją w naszym teatrze było, że po premierze szliśmy z kwiatami pod pomnik Adama Mickiewicza. Tak było też w 1981 r. A na drugi dzień rozpoczęła się nagonka, że aktorzy z Teatru Polskiego manifestowali pod pomnikiem Adama Mickiewicza i wykrzykiwali antypaństwowe hasła przeciw Związkowi Radzieckiemu, popierając oczywiście „Solidarność”. Najbardziej ucierpiał nasz reżyser Zbigniew Chrzanowski, który

stracił pracę w telewizji lwowskiej i musiał wyjechać ze Lwowa. Ale dzięki temu, że związany z teatrem Walerij Bortiakow – Rosjanin zakochany w Polsce, Polakach i teatrze, poprowadził teatr przez ten trudny okres, Teatr Polski we Lwowie przetrwał do dziś. Wiele zawdzięczamy też Larisie Swierdlik – Ukraince z Winnicy, dyrektorce Domu Nauczyciela, gdzie teatr wciąż ma swą siedzibę. Nie wszyscy byli tacy jak ona...

Lwów zawsze przesiąknięty był patriotyzmem. Zawsze świętował hucznie narodowe święta, a Polacy mieszkający w tym mieście mocno związani byli ze świętami religijnymi. Co z tego zostało we Lwowie powojennym?

Nie obchodziliśmy oficjalnie świąt narodowych. W listopadzie spotykaliśmy się u pani Jarosiewicz, ale to już w późniejszym okresie. Kiedy Cmentarz Orłąt był już zdewastowany, to nasz nauczyciel, Krzysztofowicz, mobilizował nas i szliśmy oczyścić cmentarz. Rosjanie siali specjalnie jakąś dziwną trawę, która rosła wysoko, była wyższa od człowieka, i bardzo twarda. Ścinałmy ją odsłaniając groby. To było zanim na cmentarzu wysypisko śmieci zrobili. Potem, na 1 listopada, trzeba było oświetlić. Ale nie było nas stać, żeby znicze kupować. W archiwum zarabiałam wtedy 40 rubli. To było bardzo mało. Zawsze po ratunek szliśmy do katedry. Tam zbierali dla nas ogarki świec. Czasem dostaliśmy też kwiaty, najczęściej były to chryzantemy. Wtedy po jednym kwiatuszku i ten ogarek świecy na prawie każdej mogile się znalazł.

A na grobie Nieznanego Żołnierza zapalaliśmy lampiony z białej tekturki, z wyciętymi krzyżami zaklejonymi czerwoną bibułą. Na tych lampionach były wypisane wszystkie miejsca kaźni Polaków, zarówno Katyń, jak i Auschwitz. Lampiony przygotowywaliśmy w magazynach archiwum z Lidką Chrzanowską, Jolą Martynowicz i Waldkiem Przyszlakiem. W początku lat siedemdziesiątych nasi koledzy zorganizowali niesamowitą akcję. Do dużej puszki włożyli galgany nasączone ropą. Do puszki przymocowali linę, którą też nasączymy łatwopalnym płynem. Przerzucili sznur przez wysoki pylon na cmentarzu i osadzili tę puszkę na szczycie pylonu. Potem podpaliли linę nasączoną ropą, która przeniosła ogień do puszki. A my pobiegliśmy na górę powstańców, skąd patrzyliśmy na pięknie oświetlony cmentarz! Taka piękna luna powstała nad Cmentarzem Orłąt! Dzisiaj to by się nazywało happeningiem... Wtedy nie było żartów, jakby ich złapali, mieliby potworne kłopoty. Oczywiście było dochodzenie, poszukiwanie sprawców, których na szczęście nie udało się zidentyfikować. A mama mówiła do mnie tak: *Nie wywieźli nas Ruscy w 1944, to teraz przez ciebie jeszcze na tej Syberii wyląduję...* A ja jej wtedy zadawałam pytanie: *A kto mnie tego nauczył?* Mama wtedy patrzyła na mnie i mówiła: *Ale ja ci nie kazałam tam chodzić...* (śmiech) Nie kazała, ale uczyła. Mama w 1953 r. ciężko zachorowała. Miała problemy z tarczycą i musiała poddać się operacji. Bała się, że umrze. Miałam 13 lat, a siostra 16. Tego dnia, kiedy mama szła do szpitala, przed naszym wyjściem do szkoły usiadła w kuchni na taborecie, posadziła nas sobie na kolanach i powiedziała: *Śluchajcie, nie wiem, co będzie, co się stanie. Jeśli umrę, a was ktoś weźmie na wychowanie, to róbcie, co chcecie, róbcie, co wam każą, tylko o jedno dbajcie, żebyście się nie dali przepisać ani na Ukraińców, ani na Ruskich. Nawet nazwisko możecie zmienić, tylko żebyście się nigdy nie wyrzekły narodowości polskiej. Mówię, bo was będę straszyć!* (śmiech) Na każdym kroku wpajała nam polskość, tak jak potrafiła. To siedziało w nas, zawsze o tym, że jesteśmy Polkami, pamiętałyśmy i pamiętamy. Taki duch przekory siedział we mnie zawsze... A wcześniej edukacja patriotyczna odbywała się tylko w domu. Mama zawsze prowadziła nas na Cmentarz Orłąt i opowia-



Śledziówka u pana Jarka Stankiewicza, śledzia trzyma p. Stankiewicz. Obok po prawej Bogdan Hałas (śpiewał w *Wesołej Lwowskiej Fali*), obok Marian Fedorcio i Roma Kozłowska (Zukowa), a z prawej uśmiecha się Teresa Kulikowicz (Dutkiewicz). Początek lat 60.

dała o polskich świętach narodowych. Uczyla nas patriotycznych pieśni. W szkole obchodzono tylko święto pracy 1 maja i kolejne rocznice rewolucji październikowej. Jeśli coś organizowano, to tylko w ukryciu, w zaciszu domowym. Przykładem mogą być jasełka dla dzieci u państwa Adamskich. Ale tylko dla zaprzyjaźnionych. Jasełka organizowały także panie Zappe, a aktorami były nie tylko dzieci, ale i dorośli.

Panie Zappe uczyły też religii...

Tak. Ale nie tylko one. Ja naukę religii zaczęłam w 1950 r. u o. Kiernickiego. Pamiętam dwie lekcje przez niego prowadzone. Odbywały się w katedrze pod amboną. Trzecie spotkanie już się nie odbyło, ponieważ władze zakazały księdzu prowadzenia pracy duszpasterskiej. To spowodowało, że mieliśmy roczną przerwę w nauce religii. A potem, przez znajomych, trafiłam do pani Władzi, która mieszkała na Zamarstynowie. Chodziliśmy do niej niewielką grupką. Moja starsza siostra uczęszczała na religię jeszcze do kościoła Maryi Śnieżnej. Pamiętam, jak jechałyśmy tramwajem na moją pierwszą komunię świętą do katedry. Byłam ubrana w białą sukienkę i welon. Rosjanki mówiły o mojej mamie, że taka stara, głupia baba, takie dziecko do ślubu wiezie (*śmiech*). Myślały, że ja za mąż wychodzę!

Mój siostrzeniec uczył się religii u pani Ireny Zappe. A moje dzieci przez panie Zappe odesłane zostały do „dziewczyny”, które były w katedrze. One uczą religii – powiedziały mi. Co to były za „dziewczyny”, to jeszcze nie wiedzieliśmy. Ale skoro panie Zappe je poleciły... Później okazało się, że to były siostry zakonne! One przychodziły do domów dzieci. I powtarzała się historia jak z tymi herbatkami. W jednym domu spotykało się dwanaścioro dzieci i były to oczywiście urodziny lub imieniny... W jednym miejscu takie lekcje odbywały się dwadzieścia trzy razy. Potem lekcje przechodziły do następnego miejsca. W jednym pokoju dzieci uczyły się z „dziewczyną” religii, a rodzice w kuchni przygotowywali herbatę i kanapki. Zawsze gotowi na tłumaczenie się, że to dziecięca uroczystość imieninowa. Na uroczystość pierwszej komunii świętej ubrania naszych dzieci wieźliśmy w torbie i w zakryciu dzieci były przebierane. Taka manifestacja, jaką zafundowała sobie ze mną

mama, mogła skończyć się nieprzyjemnie, przede wszystkim dla rodziców. Ludzie się bali. Moja siostra pracowała w urzędzie statystycznym; kiedy w pracy się dowiedzieli, że brała ślub kościelny, musiała się zwolnić z pracy. Ja w archiwum na szczęście nie miałam takich problemów. Ludzie byli tam bardziej tolerancyjni. Chciałam wysłać do rodziny, do Polski, zaproszenie na ślub, choć i tak wiadomo, że nikt by nie przyjechał. Oni bardzo się bali kontaktów z nami. Pochodzili z Podola i tam pozostawili cały swój dobytek uciekając przed Ukraińcami. Na drzwiach znaleźli od banderowców kartki, że mają 24 godziny na opuszczenie domów. Uciekli do Lwowa, a stamtąd do Polski. Oni się potwornie bali. Nikt do nas do 1981 r. z Polski nie przyjechał. Wracając do mego ślubu. W archiwum mieliśmy maszyny do pisania z łańciską czcionką, więc w czasie przerwy obiadowej chciałam te zaproszenia wypisać. Zauważyła to zastępczyni dyrektorki. Zapytała, co ja tam robię, czemu nie jestem na przerwie. Myślała, że dorabiam sobie do pensji przepisyując jakieś dokumenty. I zajrzała mi przez ramię... Zmartwiałam. Nic mi nie powiedziała, ale w katedrze na ślubie była – z inną koleżanką, Rosjanką, kierowniczką czytelnicy w archiwum. Ta kierowniczka musiała pochodzić z jakiejś grafskiej rodziny, była taka dystygnowana, lubiła Polaków, lubiła z nami rozmawiać. Jak odeszliśmy od ołtarza, podeszły do nas z życzeniami. Ja, zamiast się cieszyć, już przygotowywałam się na to, że będę musiała opuścić pracę. Ale nic takiego się nie stało.

Widocznie były normalnymi, rozumnymi i dobrze życzącymi Pani i mężowi, kobietami...

Widzi Pan, ludzie byli naprawdę bardzo różni. Jak Pan wie, archiwum mieści się w klasztorze dominikanów. Pracowałam w jednym z magazynów z Rosjanką, która była tak zaciętą komunistką, że to było coś strasznego! Była biedna jak mysz kościelna, a tak strasznie kochała i wierzyła w tę komunę!

Ale zdarzyło się kiedyś w Wielką Sobotę, kiedy jak zawsze był organizowany tzw. „subotnik”, czyli w polskich realiach czyn społeczny. Wtedy były już wolne soboty, a władze sowieckie zawsze starały się zakłócić nam święta wielkanocne. Z Katią zawsze razem wracałyśmy po pracy w jednym kie-

runku. Ona mieszkała nieco dalej ode mnie, na Kleparowie. Tym razem zamierzałam się z nią pożegnać nieco wcześniej. – *A ty co, nie idziesz do domu?* – zapytała. – *Nie, bo idę na Boże Groby.* Ja nigdy w życiu nie kryłam się ze swoją wiarą. *A co to są te Boże Groby?* – zapytała Katia. *Przecież wiesz, że jutro mamy święto, Wielkanoc.* – odpowiadam – *W Wielką Sobotę zawsze trzeba nawiedzić Boży Grób.* – *To ja pójdę z tobą, można?* No i poszła. Boży Grób w katedrze zawsze robił niesamowite wrażenie. Umieszczony był w ogromnej kaplicy, tam zawsze w absolutnej ciszy ptaszki śpiewały. Uklękałam, żeby się modlić. Ona uklękała przy mnie. Nie wiem, co ona tam sobie myślała. Długą chwilę spędziłyśmy w katedrze. Kiedy szliśmy do domu, od Katedry do Teatru Wielkiego milczałyśmy. Nie odezwała się ani słowem. W końcu zebrała się po tych przemyśleniach i mówi: – *To jest nieprawdopodobne!* – Ta zacięta komunistka, miała dwóch synów, których też w takim duchu wychowywała. – *To jest takie przeżycie! Ja się wam teraz nie dziwię, że wy wierzycie w tego Boga i że wy do kościoła chodzicie. Ty wiesz, co ja zaraz zrobię? Pójdę do domu, wezmę Kolkę i Saszkę i zaciągnę ich do kościoła, żeby zobaczyli, jak przeżywacie święta!*

Jak się Polacy we Lwowie bawili?

Musiał pan słyszeć o Jarku Stankiewiczu. Miał piękny olbrzymi dom przy drodze prowadzącej na Wysoki Zamek. On zawsze urządzał zabawy sylwestrowe, karnawałowe dla Polaków. Dla nas te spotkania u pana Jarka były zawsze wspaniałym i niepowtarzalnym przeżyciem. Później popsuta się atmosfera, bo przecież nasi panowie poženili się z Rosjankami i Ukrainkami i zaczęli z nimi przychodzić. W końcu pan Jarek przestał organizować te zabawy. Tam się potrafiło i sto osób bawić! We Lwowie święta Bożego Narodzenia inaczej były wtedy zorganizowane niż w Polsce. Najpierw, na siódmą, szliśmy na pasterkę, dopiero potem zasiadaliśmy do wieczery wigilijnej. Atmosfera pasterki z kolędami przenosiła się do domu, ta wieczera była taka uświęcona. Nastrój był taki podniosły. A potem mogliśmy się odwiedzać i biesiadować radując się ze świąt. Swoją pierwszą pasterkę w Polsce przeżywałam we Wrocławiu. I zapamiętałam jakiegoś pijaka,

od którego cuchnęło alkoholem, a w dodatku tak ryczał śpiewając kolędy... Dla mnie to był szok, makabra! Tam, we Lwowie, nikt po pijaku nie ośmieliłby się pójść na pasterkę! No mówię Panu, nie ma jak we Lwowie! Przy okazji pasterki, bo po mszy to się przecież prawie cały polski Lwów w katedrze spotykał, składaliśmy sobie życzenia i umawialiśmy się na zabawę sylwestrową u pana Jarka. Potem, 31 grudnia, szliśmy do kościoła na zakończenie starego roku, pan Jarek też był z nami, i po zakończeniu, z torbami – każdy przynosił prowiant, panie coś do jedzenia, a panowie alkohol – szliśmy do pana Jarka! A tam wszystko wypakowywaliśmy na stoły i dalej bawić się! Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co to znaczy „szwedzki stół”, ale już stosowaliśmy go u pana Jarka i nazywaliśmy go „bufetem”. A w bufecie pojawiały się przygotowane w domu kanapki, pączki, chrust i inne smakołyki. Tańczyliśmy przy magnetofonie, grała nam moja ulubiona orkiestra Glenna Millera. Pan Jarek był pasjonatem muzyki i fotografii. Miał lampę błyskową, co na tamte czasy było luksusem, i robił nam zdjęcia. U pana Jarka było zawsze strasznie zimno, on nie ogrzewał domu, bo to przecież kosztowało. I miał taką zasadę, że choinki nie rozbierał aż do Wielkanocy! Te choinki były specyficzne, bo nie ubierał je w świecidełka, a otulał watą. Choinka była w pokoju, w którym tańczyliśmy, a nad drzwiami do bufetu – czyli drugiego pokoju – wisiała też ogromna gałąź choiny. To były obowiązkowo jodły! Nie było krzesel, tylko pniaczki brzożowe. Były też zabawy karnawałowe i oczywiście zapusty! Przed środą popielcową była śledziówka u pana Jarka. Kiedyś przyszedliśmy i nie było śledzia! Taka była tradycja, że na lampie, na sznurku o północy wieszano się śledzia. Prawie cały Lwów za tym śledziem zbiegaliśmy! Dopiero koło dziewiątej wieczorem w jakimś gastronomie udało się nam kupić jakiegoś wędzonego śledzia. No i spokojnie bawiliśmy się do północy! Wtedy wieszaliśmy śledzia i koniec zabawy. Szliśmy do domów, a śledź tam wisiał aż do zakończenia postu.

Katedra lwowska przez całe lata kojarzyła się z osobą o. Rafała Kiernickiego. Czy ma Pani jakieś wspomnienia związane z jego osobą?

Z księżmi nie było takiego kontaktu jak w Polsce. Dla nas ksiądz to był Bóg, często

nieprzystępny. Zawsze chodziłam na majowe nabożeństwa, nosiłam chorągwie, należałam do Bractwa. Kiedyś ksiądz Kiernicki zabrał nas, miałam wtedy chyba 16 lat, na Czartowską Skalę, na wycieczkę. Dla nas było to wielkim wyróżnieniem, bo rozmawiał z nami, opowiadał nam ciekawe rzeczy, śpiewaliśmy pieśni. W pewnym momencie wyjął duży worek cukierków czekoladowych i po dwa cukierki nam rozdał.

Ks. Kiernicki udzielał też komunii świętej mojemu synowi. Moje dzieci chodziły do jednej klasy z synem pani, która opiekowała się ks. Kiernickim. On miał na nogach okropne rany i wymagał stałej pielęgniarskiej opieki. Byłam też wtajemniczona przez siostry Pankówny w ich sekret. Niewiele osób wiedziało, że o. Rafał u nich mieszkał. Przy katedrze był pokój, gdzie zazwyczaj ks. Kiernicki mieszkał. Raz nawet się w tym pokoju spowiadałam. Kiedyś został napadnięty, pobity i bardzo długo chorował. Wtedy nie wychodził do konfesjonału, ale przyjmował w swoim pokoju. Jedną z sióstr była po konserwatorium i grała na fortepianie, chodziłyśmy do niej na naukę śpiewu. Panie Pankówny miały dwa pokoje, a z kuchni było wejście do jeszcze jednego pokoju. Któregoś dnia jedna z sióstr powiedziała mi, żebym tam zaglądnęła i potem powiedziała, co tam zobaczyłam. Nic ciekawego w tym pokoju nie było. Łóżko, klęcznik i stół przerzucona przez klęcznik, brewiarz, różaniec. – *Pokazałam ci ten pokój, żebyś wiedziała, że ojciec Rafał tutaj mieszka* – powiedziała.

Przed samym wyjazdem do Polski wylądowałam na operacji. Opierałam się, byłam wystraszona. Już żegnałam się z życiem. Musiałam się wypowiadać, ale to nie było u nas takie proste. Pielęgniarka o. Kiernickiego pomogła mi po znajomości wypowiadać się. Dopiero o dziewiątej wieczorem mógł mnie przyjąć, jak wrócił z wizyty u chorych w szpitalu. Wpuścili mnie do katedry drzwiami od zakrystii i poszłam do jego konfesjonału, tuż przy kaplicy z Najświętszym Sakramentem. Wypowiadał mnie i pocieszył. Chwała Bogu, wszystko się udało. On był jeden na wszystko. Ja dopiero teraz sobie uświadomiłam, jak mi pani Zosia Panek opowiadała o nim: *Dziecko, ile razy on mdlał, jak go ubierali do mszy... Dlaczego?* – pytam. *Zwyczajnie z głodu...* W tamtych czasach post przed przystąpieniem do komunii świę-



tej trwał 12 godzin! Jak on wracał późno ze szpitala od chorych albo z jakich podlowskich miejscowości, często bez obiadu albo kolacji, to on już nie miał szansy nic zjeść do następnego dnia! A do tego te jego nogi. Kiedy mój teść był w szpitalu, a jego stan był już bardzo poważny, poprosił o księdza. Akurat był to czas rekolekcji, spowiedzi wielkanocnej. I żeby poprosić księdza o wizytę w szpitalu, mąż musiał przystąpić do konfesjonału w katedrze. Nie było innej możliwości. Ale o. Rafał zgodził się i przyszedł, oczywiście ubrany w świeckie ubranie, do szpitala i wyspowiadał go. Na sąsiednim łóżku leżał jakiś Ukrainiec. Chyba zauważył, że nie jest to taka normalna wizyta, a może zauważył, jak ojciec przyjmował komunię świętą. Kiedy ksiądz poszedł, zapytał teścia, kto to był. Teść powiedział, że ksiądz. I on wtedy mówi, że też by chciał. I wie Pan, jeszcze raz poszedł mąż do o. Rafała, poprosił go i on przyszedł raz jeszcze, by wyspowiadać tego starego człowieka?

Zabawa sylwestrowa u pana Jarka Stankiewicza, 1961 r.

Mieszka Pani w Krakowie od 1981 r. Przyjechała Pani z całą rodziną, nawet mama doczekała tego wyjazdu. I teraz jest Pani organizatorem wyjazdów do Lwowa. Dlaczego to Pani robi?

Nie zamierzałam i nie przypuszczałam, że będę się tym zajmowała. To przez męża. Zaangażowałam się w prace TMLiKPW. Kiedy pani Łucja Gedl przestała organizować wyjazdy, mąż namówił mnie, żebym tym się zajęła. I tak zostało do dziś, bo ludziom się to podoba, bo pytają się, kiedy pojedziemy. I po każdej wycieczce mówię, że to ostatni raz. No i co, czy mogę to zostawić? A Lwów także i mnie ciągnie...

Serdecznie dziękuję Pani za rozmowę.

Zbysław Popławski

Lwowscy studenci w Gorganach i Czarnohorze (1934–35)

Czarnohora to niesamowite piękno i ogrom przestrzeni, a Gorgany to dziwość przyrody. Te dwa pasma Wschodnich Karpat przeszliśmy we trójkę: Renat Machalski, Zbyszek Załanowski i ja – było to w czasie kolejnych wakacji w 1934 i 35 roku.

Wszyscy byliśmy członkami tej samej Korporacji Akademickiej, choć różnych uczelni, byliśmy studentami. Na naszych beretach mieliśmy przymocowane tarczki naszej Korporacji „Slavia”, tj. w kolejności od góry: granatowy, złoty i karmazynowy. Zastosowaliśmy podział funkcji: Załanowski, student medycyny UJK, miał ze sobą pistolet browning sześciopistoletowy, 6,35 mm z niezbędnym pozwoleniem na noszenie broni, wystawionym przez starostwo w Drohobyczu. Machalski miał sobie powierzona apteczkę, bo był studentem IV roku Wydziału Medycyny Weterynaryjnej. Ja jeden byłem przyszłym inżynierem, studentem Wydziału Mechanicznego Politechniki Lwowskiej. Miałem komplet stosownych map turystycznych, które sumiennie nakleiliśmy na lnianym płótnie. Miałem więc mapnik, własnoręcznie

wykonany, z obustronnymi okienkami z celuloidu, na którym były nacięte kreski do dwu potrzebnych podziałek, tj. dla map polskich co 1 cm i dla austriackich w specyficznej skali. Do mnie należało wyznaczanie kierunku marszu na podstawie orientacji w terenie oraz

map i kompasu. Drugim moim obowiązkiem było zapisywanie, rysowanie i fotografowanie za pomocą najprostszego aparatu fotograficznego Kodak. Z uwagi na kompas i mapy szedłem jako pierwszy, natomiast na końcu szedł zawsze Załanowski, na własną prośbę, bo... cierpiał na wiatry...

Zjechaliśmy się umówionego dnia w Drohobyczu, gdzie w mieszkaniu Załanowskiego, przy ulicy Mickiewicza, nastąpiło wżenie, kompletowanie ekwipunku i rozdział żywności, jak ryż, mąka, itp. Niektóre zestawy wystaliśmy na poste restante do Rafajłowej i Worochty, aby mniej dźwigać.

Z Drohobycza wyjechaliśmy koleją do miejscowości Dolina, gdzie w miejscowym tartaku firmy Silvinia przenocowaliśmy w jakimś baraku, na trocinach. Rano strasznie bolały odgniecione kości. Stamtąd – wiedzieliśmy, że jeździła kolejka wąskotorowa, co znacznie skracало drogę podejścia. Kolejką, która wyruszyła o świcie, jechała brygada drwali oraz nasze skromne osoby. Bajeczna to była jazda, przy krystalicznym i chłodnym powietrzu, gdy słońce rozjaśniało niebo, lecz jeszcze nie ukazało się spoza urzeźbionej górami linii horyzontu. Opuściliśmy kolejkę na przystanku Prawicz i wtedy ujrzeliśmy po raz pierwszy zachodnie Gorgany – były dla nas uroczce, szmaragdowe. Z ochotą podjęliśmy marsz doliną potoku w kierunku przełęczy Podniżan. Po znacznie dłuższym czasie od przewidywanego osiągnęliśmy tę przełęcz i tam znaleźliśmy dość wygodnie i mocno zbudowany szałas kryty płatanami z kory. Natychmiast, bo zbliżało się południe, ruszyliśmy na szczyt Jajka Iłemskiego (1685 m n.p.m.). Wtedy dopiero okazało się, że szmaragdowa zieleń, która wydawała nam się zielenią łąk pasterskich, była zielonym porostem, omszeniem płaskich kamieni, usuwających się pod każdym stąpieniem. Były to słynne klekoty, luźne kamienie, którymi były pokryte wierzchołki tych gór. Marsz był bardzo uciążliwy i na-

Zbysław Popławski, 1937



Wspomnienia

sze tempo zwolniło, a do szczytu było wciąż daleko. Wtedy podjęliśmy szczęśliwą decyzję zejścia z powrotem do przełęczy. Gdy osiągnęliśmy przełęcz i upatrzone szalas, słońce gdzieś zanikło. Zaledwie starczyło nam czasu na zebranie grubych bierwion i szczytyny (końce gałązek z iglastego drzewa). Zapaliliśmy ognisko po indiańsku na krzyż. Należało sporządzić posiłek po żmudnym dniu. W tym celu nad ogniskiem zawieszono menażkę z zamiarem ugotowania zupy. W międzyczasie zapadł zmierzch i zaczynało kropić, ledwo zdolałszy tę zupę doprowadzić do wrzenia. Znużenie pozwoliło tolerować naganny smak tego jadła. Byłem tak znużony, że nie miałem sił na te specjały. Zmrok zapadał tu o wiele wcześniej w stosunku do Lwowa. Pierwszy dyżur przy ogniu odprawił Machalski, a moja kolej wypadła przed północą. Pniaki powoli się paliły, ogień szedł malutki. Niewiele potem, po północy, wśród bezwzględnej ciszy, usłyszałem zbliżające się łamanie gałązek, a następnie sapanie. Był to niewątpliwie niedźwiedź, który poczuł naszą zupę. Sytuacja mogła być niebezpieczna, więc dorzuciłem do ognia sporo szczytyny i ogień iskrząc, buchnął wysoko. Nasłuchiwałem: usłyszałem po chwili przyspieszone łamanie gałązek i niedźwiedź szczęśliwie się oddalił. Po mnie przejął dyżur Żałowowski, niedźwiedź go już nie niepokoił i gdy wstał dzień, ruszyliśmy głodni i zziębnięci w dalszą zaplanowaną drogę. Całe Gorgany i Czarnohorę przeszedłem z ciupagą mego ojca, z drzewa akacjowego, która oddała mi wielkie usługi, bo wyrąbywałem nią przejście. Zatlukłem nią wiele wężów i żmij wylegujących się na ścieżkach, czego potem często żałowałem...

Rozpoczęliśmy wędrowkę na południowy wschód grzbietem długiego pasma Arszycy. Przez cały ten dzień nie spotkaliśmy ani jednego człowieka; było to bezdroże, wspaniała dzicz, prawdziwa puszcza dziewicza. Wędrowka jednak okazała się niemożliwa, gdyż istniał tam połom drzew, a wszystko było porośnięte wysokim mchem. Nogi wpadały między głązy i spróchniałe pnie, łatwo można było złamać nogę przekraczając drzewa, i cóż byśmy zrobili? Schodzenie w dół zboczem Arszycy było bardzo mozolne i trwało nader długo. Wreszcie u dołu osiągnęliśmy

poprzecznie idącą dolinę, którą następnie posuwaliśmy się dalej w kierunku wschodnim. Po pewnym czasie ścieżyna zamieniła się w ścieżkę, co wskazywało na jej użytkowanie przez ludzi. Na tej ścieżce ukazały się wkrótce ślady po progach i następnie szyny wąskotorówki. Wreszcie doszliśmy do małej osady. Tam była restauracja kolejowa. Wygłodniali, zjedliśmy fantastyczne kotlety. Dalej wędrowaliśmy przez Wysoką (1805 m npm.) i Sywulę (1836 m npm.) aż do Rafajłowej. Zналиśmy tę nazwę z opisu walk żelaznej brygady Legionów. Tam była jakaś gospoda czy karczma i po odpoczynku zasnęliśmy jak kamienie. Spędziliśmy w niej trzy noclegi, bo dokonywaliśmy z Rafajłowej wypadu jednodniowe. Jeden z nich prowadził nas do Krzyża Legionów, przejście od przełęczy Rogodze na szczyt Pantyr i zejście do Rafajłowej. Przy Krzyżu Legionów na przełęczy Rogodze odczytaliśmy: *Młodzieży Polska, patrz na ten Krzyż, Legjony Polski wzniosły go wzwyz, przechodząc góry, doliny i wały – do Ciebie, Polsko, i dla Twej chwały*. Była to pamiątka z kampanii Legionów z października 1914. Stanęliśmy na bacność i odśpiewaliśmy Hymn Młodych, będący Hymnem Stronictwa Narodowego i Obozu Wielkiej Polski, obu organizacji politycznych utworzonych przez Romana Dmowskiego.

Po solidnym wypoczynku ruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku wschodnim, mijając schronisko PTT, pięknie urządzone i zagospodarowane. Potem trafiliśmy na płataninę szlaków, byliśmy zdezorientowani. Nadszedł strażnik graniczny i najpierw zaczął nas legitymować – największe zaufanie wzbudziło pozwolenie na broń Zbyszka Żałowowskiego – a potem uzyskaliśmy dopiero od niego wskazówki. Weszliśmy na przełęcz, z której moi towarzysze spojrzeli na Doboszanekę i zrezygnowali z wchodzenia. Ja jednak miałem ochotę kontynuować i samotnym wejściem zdobyłem Doboszanekę (1754 m npm.). Na zboczach leżały potężne płyty głazów, tak że wejście było dość trudne. Po moim zejściu ruszyliśmy znowu w kierunku wschodnim na szczyt następnego Gorganu, Syniaka (1664 m npm.) i posuwając się dalej grzbietem doszliśmy do Chomiaka (1544 m npm.). Po krótkim odpoczynku nastąpiło żmudne zejście w dolinę i dotar-

cie do stacji kolejowej Tatarów. Po posiłku w restauracji wsiedliśmy do pociągu i po kilkunastu minutach wysiedliśmy na stacji Worochta. Tam miał nam ułatwić pobyt kolega Załanowski, niejaki Jarek, ale okazał się on blagierem i bawidamkiem, zajęty był niewiastą, a dla nas miejsca nie miał. Sami więc zainstalowaliśmy się w schronisku PTT. Po jednodniowym odpoczynku i pobycie w Worochcie, która była licznie odwiedzanym letniskiem, ruszyliśmy o świcie kolejką wąskotorową ze stacji Foreszczenka w głąb masywu górskiego, wysiedliśmy przy posterunku straży granicznej. Tam nasz nocleg stanowiła weranda tej strażnicy i pomimo obolałych kości na następny dzień podjęliśmy dalszy marsz. Pierwszego dnia weszliśmy na małą i następnie na samą Howerlę (2058 m n.p.m.). Zejście z tego najwyższego szczytu Wschodnich Karpat prowadziło po stokach obszernej kotły (kotła) i widzieliśmy miejsce, z którego wypływa Prutec, tworzący siklawy, będący początkiem Prutu, tej ważnej rzeki. Równocześnie zorientowaliśmy się co do marszrutu na następny dzień. Schodziliśmy z Howerli przez połoninę, na której znajdowała się badawcza stacja botaniczna Uniwersytetu Lwowskiego (UJK). Następnego dnia ze wspomnianej strażnicy granicznej podeszliśmy szlakiem, o ile pamiętam niebieskim, do Niesamowitego Jeziorka – taka była rzeczyscie jego nazwa. Wyszliśmy na Turkuł. Przechodząc tamtędy obeszliliśmy Wielkie i Małe Kozły – skalne ostańce. Dopiero po tym przejściu doszliśmy ponownie do grzbietu głównego pasma Czarnohory, widzieliśmy halę i stoki Rebry, by następnie skierować się dalej na południowy wschód w kierunku Pop-Iwana. Idąc tym grzbietem od prawej południowej strony mieliśmy powiew silnego wiatru, który szybko się wzmacniał, aż doszedł do huraganowych porywów. Nic nie pomagało podpieranie się czekaniem, laską czy ciupagą. Wiatr był tak silny, że stwierdziliśmy niemożność dalszego posuwania się. W kierunku północnym był długi stok najeżony skałkami – były to Kizie Ułohy, miejsce zupełnie nieodpowiednie do schodzenia, bo bardzo strome. Pomimo tego musieliśmy zaryzykować zejście, gdyż dalsze posuwanie się w kierunku Pop-Iwana, który całe szczęście już rok wcześniej zdobyliśmy, było niemożliwe. Długo schodziliśmy, aż usłyszeliśmy głos

trombity. Postanowiliśmy pójść w tym kierunku i tak doszliśmy do chaty, a raczej zagrody (grażdy), o której ogrodzenie oparto długą trombitę. Co jakiś czas podchodził do niej Hucuł i dał. Nie znając obyczajów, dopiero po pewnym czasie zrozumieliśmy, że odbywał się tam obrzęd pogrzebowy po jakiejś starej gaździnie. Zaproszono nas do środka. W drewnianej chacie były dwie izby – pierwsza większa, w której się znajdowaliśmy, oraz druga mniejsza, gdzie na środkowym stole spoczywała trumna ze zmarłą babką na marach, otoczona przez zebranych, widocznie sąsiadów. Odprawiali oni następujący obrzęd: starszy z ludu recytował zapytania, a zgromadzeni siedzieli pod ścianami i odpowiadali: *A jeżeli komuś złe oko dała, czy odpuszczacie jej? – Odpuszczamy, odpuszczamy*, była zbiorowa odpowiedź. *A jeżeli komuś coś wykradła? – Odpuszczamy, odpuszczamy*. – *A jeżeli kogoś obmówiła?* I tak się ustawicznie powtarzało. Natomiast w pierwszej, większej izbie była zgromadzona licznie młodzież huculska. My przezornie wyleźliśmy na ogromny, gliniany piec i będąc niejako wyizolowani, woleliśmy oglądać to ciekawe widowisko, niż brać w nim udział, do czego nas wielokrotnie zachęcano. Grano w *dupaka*, na środku izby było ustawione krzesło, na nim siedział młody Hucuł. Przytrzymał on wybranego delikwenta, który musiał kucnąć i wyprężyć tyłek. Wtedy z grona otaczających podchodziła jakaś osoba i waliła go ręką, a delikwent musiał odgadnąć, kto tego klapsa przyłożył. Jeśli nie odgadł, musiał się powtórnie wyprężyć. Przy czym stosowano dla zmylenia różne gesty i klapsy, co przyczyniało się do omyłki i następnej bolesnej próby. Dziewczynę zaś stawiano na zydłu, a od tyłu podchodzili parobcy i łup – pasami, a ona miała zgadnąć kto uderzył. Przezornie więc siedzieliśmy na piecu i oglądaliśmy zabawę. Wreszcie skończyła się ona i mogliśmy na piecu dość wygodnie usnąć.

Następnego dnia ruszyliśmy w dalszą drogę. Dali nam przewodniczkę – Hucułkę, która wolno postępowała na koniku objuczonym bryndzą. Zbędne to było, bo z mapy dobrze znaleźliśmy drogę. U wylotu tej doliny, gdzie Bystrzec wpadał do Czeremoszu, stała karczma żydowska, bo tam też Żyd czuwał nad życiem pieniężnym tej ludności, która



Worochta

popadała w lichwiarskie długi z powodu pijaństwa.

Nad Czeremoszem był ustawiony piękny krzyż z jakimiś ikonami. Tam skręciliśmy w lewo i po ujściu niewielu kilometrów doszliśmy do największej wtedy w Polsce wsi Żabie, która składała się z wielu przysiółków (jak np. Słupiejka). W tej dużej wsi był urząd pocztowy gminy, posterunek policji itp. Najciekawszym jednak ośrodkiem była placówka badawcza kiły. Ponieważ w naszym składzie było dwóch medyków (ludzki – Żałański i zwierzęcy – Machalski), kierownik tego ośrodka pokazał nam wszystkie eksponaty. Pamiętam, że były tam modele woskowe wszystkich następstw syfilisa (rumień czoła, zajęcza warga, brak przegrody między jamą ustną a nosem, itd.). U ludności huculskiej występowała często endemiczna kiła (*lues congenita*) i można było się nią zarazić. Częste były w związku z tym u ludności wady wrodzone. Chorzy na *lues congenita* np. nie mieli podniebienia. W 1848 rząd austriacki dla stłumienia powstania węgierskiego poprosił o pomoc rosyjską i kolumna wojska rosyjskiego przeprowała się przełęczą. Wtedy Rosjanie zarazili kiłą ludność miejscową. Na wycieczce bardzo się pilnowaliśmy. Podchodziły Hucuki i proponowały: *Panie, a hody tu za jednego złotego w krzaki* – nigdy z zaproszenia nie skorzystaliśmy!

Następnego dnia odbyliśmy krótki wypad na Synycię i jeszcze drugi oraz odbyliśmy naradę, co dalej robić. Za Pop-lwanem była grupa gór Czywczyńskich, o innym charakterze, łagodnym. Widać było Alpy Rodniańskie na Bukowinie. Góra Stoh była wtedy górą graniczną między trzema państwami; Polską, Rumunią i Węgrami. Po długiej rozterce przeważało zdanie małostkowe – wracać, a było to skutkiem naszego wyczerpania fizycznego, gdyż żywności mieliśmy jeszcze dosyć.

Tymczasem czekał nas trud: należało bowiem dojść do klauzy. To było takie miejsce, gdzie komasowano wyrąb drewna, który polegał najpierw na ściąganiu pni do dołu, zwykle korytem jakiegoś potoku, dolinę przegradzała sztucznie utworzona przegroda i powstawał tam mały zalew, gdzie formowano tratwy, które następnie spławiano przez otwarcie zalewu i wtedy woda ruszała jak powódź. Flisacy musieli dobrze sterować, a niejednokrotnie kapać się w zimnej wodzie o ostrym prądzie. Nieraz było to groźne, bo potok niósł prosto na skałę i flisak, oprócz sterowania, musiał skakać przy wartkim przepływie wody – nieobliczalnej i zimnej.

W naszej drodze powrotnej musieliśmy pieszo dojść jeszcze 25 kilometrów do Worochty. Tak więc przeszliśmy obok szczytu Kostryca i przez przełęcz, tam dopiero było zejście do Worochty, gdzie wsiedliśmy do

pociągu. Wysiedliśmy jednak zaraz koło Kamienia Dobosza na stacji Jamna, aby zwiedzić jeszcze i to miejsce, gdzie jest skała, a pod nią jaskinia. Według legendy, opryszek – bohater typu Janosika miał ukryć skarby w jaskiniach pod tym Kamieniem: nazywa się to Doboszowe Komory.

Fotografie moje niestety się nie udały i zakupiłem, całe szczęście, w Worochcie zawodowo robione zdjęcia A. Błaża, które mam w swoim albumie. Ta wycieczka była głębokim przeżyciem i wywarła duży wpływ na to, że pokochałem góry. Namiętność do gór w dalszych latach stale się wznawiała. Jednakże często musiałem wędrować już samotnie. Udało mi się ocalić ze Lwowa moją ciupagę, mapnik i kompas, które dalej mi towarzyszyły w górach. Natomiast moi przyjaciele zostali w tamtej ziemi, nie wiem, gdzie spoczywają bez grobu.



(René) **Renat Machalski** pochodził z rodziny polsko-francuskiej, bowiem jego dziadek, Polak, budował mosty na Loarze jako kierownik i ożenił się z Francuzką. Renat był na IV roku weterynarii, a do Korporacji „Slavia” osobiście go wprowadzalem, był więc mým synem korporacyjnym. Ukończył studia przed wojną i był przyjęty jako asystent na Wydziale Weterynarii. Kiedy Niemcy uderzyli

na Sowietarzy w czerwcu 1941 roku, to on był kierownikiem stacji weterynaryjnej w miejscowości Krasne, będącej ważnym rozstajem dróg na wschód od Lwowa. Do Krasnego właśnie wchodziły czołówki frontu, w skład których wchodziły strażnice przednie i oddziały szperaczy, które strzelają do wszystkich. Na szkoleniu obronnym uczono nas, że kiedy idą wrogie szperacze ulicy, trzeba się pochować do piwnic, nawet nie od strony ulicy, bo oni rzucają granaty ręczne przez okienka wychodzące na ulicę. Tymczasem mój Renat bardzo lekkomyślnie się zachował, może wyszkolenia nie miał... Był na stacji weterynaryjnej w białym kitlu, miał bryczesy i buty oficerskie. Niepotrzebnie wyszedł ze stacji i wyglądał. Patrol wylegitymował go natychmiast. Pokazał polski paszport, a tam były pieczętki, że był on we Francji. Wzięli

go za rzekomego szpiega i zaraz zrewidowano, a miał on przy sobie też paszport francuski, okazało się to fatalne, bo na tym rozstaju dróg, bez zastanowienia i tłumaczenia, na miejscu go Niemcy rozstrzelali.

Zbyszek Załanowski – co za zacny dusza-człowiek był! Pochodził z Drohobycza, gdzie jego ojciec był dyrektorem Miejskiej Kasy Oszczędności. Mieszkali w parterowym domu przy ul. Mickiewicza, bodajże pod 30-31 numerem. Matka Zbyszka zmarła, a ojcem opiekowała się siostra matki. Kiedy wybuchła wojna, Zbyszek był już młodym lekarzem w Przemyslanach, które znalazły się po 17 września pod okupacją sowiecką, na południowy wschód od Lwowa. Tam był lekarz Żyd, który go obserwował i doniósł do NKWD, że Zbyszek leczył postrzelonych partyzantów z Armii Krajowej, co było oczywiście prawdą, ale przecież i jego obowiązkiem. Zbyszka za to aresztowano i wywieziono na wschód na Syberię, do obozu karnego gdzieś koło Archangielska... Gdy z kolei Niemcy uderzyli na Rosję, nastąpiło tam rozprężenie w obozie (pakt Sikorski-Majski, formowano armię Andersa) i udało mu się uciec i przez front (!) niemiecko-rosyjski wrócił do Drohobycza. Do wiedział się w Drohobyczu, że ojciec już zmarł, a macocha została wywieziona przez Sowietów do łagru na Syberię. I on ruszył z powrotem (!), przez front, na wschód szukać macochy. Mam relację innego Polaka, który, gdzieś daleko za Donem, na jakiejś stacji kolejowej, widział go umierającego na tyfus. Nikt oczywiście nie mógł wtedy tam mu pomóc i ślad po nim zaginął, został chyba już tylko w mojej pamięci. Wspominała go też Hala Lachowiczówna.



Takie były losy moich przyjaciół, z którymi chodziłem po Gorganach i Czarnohorze. Ilekroć szedłem w góry, które stały się odtąd moją pasją, wracało w myślach tamto pamiętne lato i szedłem, aby wspomnienia ożyły choć chwilę. W Tatrach, Pieninach, w Nowosądeckiem czy Bieszczadach krok moich przyjaciół i wrażenie ich obecności towarzyszyły mi zawsze.

Opracowała w roku 2012 Marzena Zofia Popławska, córka autora wspomnień

ZBYSŁAW POPLAWSKI (1913–2007) – notka biograficzna – w CL 4/07

Stanisław S. Nicieja

CHODORÓW I CHODOROWIANIE

CUKROWE MIASTO I JEGO OBYWATELE

Chodorów leży na przecięciu dwóch ważnych linii kolejowych – ze Lwowa do Stanisławowa i z Tarnopola do Stryja. Ta krzyżówka szlaków komunikacyjnych dała siłę vitalną miasteczku położonemu na bardzo żyznych polach pszenno-buraczanych, w zupełnie bezleśnej okolicy.

Lokalizacja Chodorowa robi wrażenie: miasto jakby leżało na półwyspie, bo od wschodu i południa otaczają go rzeka Ług i rozległy staw, którego południową granicą jest grobla przecięta kilkoma przepustami. W stawie, który bronił od południa przed najeźdźcami, od wieków hodowano ryby. Stąd do dziś w herbie tego miasta jest rybak z siecią na tle wodnego rozlewiska. Według dokumentów historycznych pierwszymi właścicielami miasta byli Chodorowscy. Ostatni z tego rodu, Aleksander Chodorowski, podkomorzy lwowski (zm. 1694) rozpoczął tam budowę dużego kościoła, którą ukończył Franciszek Cetner, prawny spadkobierca tych dóbr. Później miasteczko było własnością Rzewuskich i Lanckorońskich.

Gdy upadła Rzeczpospolita, upadł też Chodorów. Zaborcy – Austriacy – odebrali mu prawa miejskie i dopiero powstanie wspomnianego węzła kolejowego i dużej stacji przeładunkowej na początku XX wieku podniosło Chodorów z upadku. W tym czasie baron Karol de Vaux (mąż Elżbiety Lanckorońskiej) wybudował tam pałac w stylu włoskiej willi, który niestety został spalony przez wojska rosyjskie (carskie) w roku 1915. Ostatnim polskim właścicielem dóbr chodorowskich był usynowiony siostrzeniec Leona de Vaux – Eugeniusz Lubomirski de Vaux, który podczas II wojny światowej był adiutantem gen. Andersa. On to w latach 1932–1933 wybudował w Chodorowie nowy pałac w stylu art deco, który szczęśliwie dotrwał do naszych czasów. W 1939 roku Chodorów liczył 10 tys. mieszkańców, z czego połowę stanowili Żydzi. W czasie wojny wymordowali ich Niemcy.

Polscy mieszkańcy Chodorowa, którzy przeżyli wojnę, wygnani na zachód, rozprzyszyli się po całym świecie. Najwięcej ich osiadło na Śląsku, przeważnie w Chybiu, Raciborzu, Lewinie Brzeskim, Otmuchowie i Baborowie, bo tam były cukrownie, a przedwojenny Chodorów słynął z jednej z największych w Europie cukrowni, produkującej krystalicznie biały, rafinowany cukier w kostkach.

Jak ważny był cukier w dziejach tego miasta, świadczy fakt, że Chodorów był chyba jedynym na świecie miastem, gdzie wzniesiono pomnik... burakowi cukrowemu. Dwa barokowe putta wznoszą do góry potężnego buraka, więcej – tulą się do niego z miłością.

Chodorowianie tęsknili za swym miastem urodzenia, co znalazło odbicie w licznych wspomnieniach i wierszach, które zebrał wybitny chemik, prof. Antoni Mieczysław Dancewicz, autor dwóch świetnych książek o jego mieście rodzinnym. W jednym z cytowanych tam wierszy chodorowianka, poetka Justyna Holm pisała z nostalgią:

*Szukam Chodorowa
Na półkach, na mapach, na zdjęciach...
A znajduję go w sobie
Na rozwidleniu tęskno
Pod wodospadem krain szczęśliwych (...)
Na stacji cukru i chińskich bżów*

ŚLAWNA CUKROWNIA

Stereotyp o polskich kresach sugeruje, że były to obszary rolnicze, a ludność utrzymywała się głównie z uprawy ziemi. Plony były niskie, a ziemiaństwo żyło dostatnio, budowało pałace i dwory tylko dzięki temu, że dysponowało ogromnym arealem oraz bogatymi w drewno lasami. Dochody czerpało głównie z gorzelnii, tartaków i młynów.

Jak każdy stereotyp i ten zawiera uproszczenia i karykaturyzuje rzeczywistość, bowiem na kresach istniały duże zakłady produkcyjne, jak choćby największa i najnowo-

Nasza Ziemia

cześniejsza swego czasu w Europie rafineria ropy naftowej „Polmin” w Drohobyczu, Fabryka Papierosów i Cygar w Zabłotowie, bekoniarnia w Złoczowie (zasypująca swymi wyrobami mięsnymi Anglię) czy wspomniana już cukrownia w Chodorowie.

Winę za wyparcie ze świadomości Polaków istnienia polskiego przemysłu na kreścach ponosi polska historiografia, zajmująca się ciągle – jak mantrą – wojnami, awanturami politycznymi, martyrologią, liczeniem ofiar, blizn i urazów. Pomija się biografie budowniczych oraz kreatorów życia gospodarczego. Może kiedyś nauczymy się cenić ludzi pracy organicznej, codziennego mozolnego budowania swej pozycji materialnej i intelektualnej; pragmatyków, ludzi z wyobraźnią i odpowiedzialnością za swoje czyny, budujących warsztaty pracy oraz fabryki dla siebie i innych. Gdyby nie było takich postaci w naszej historii, naród musiałby wybrać się w całości na emigrację zarobkową.

Takim przykładem mogą być właśnie dzieje jednej z największych w Europie cukrowni w Chodorowie. Historia tego przedsięwzięcia jest nie mniej fascynująca niż potyczka militarna czy jakiś spisek polityczny. Oto krótki rys tego przedsięwzięcia.

W roku 1912 syn księżnej Elżbiety Lancorońskiej oraz austriackiego marszałka de Vaux, hrabia Jan Zamoyski i inżynier Bronisław Albinowski założyli spółkę Towarzystwo Akcyjne Chodorów z zamiarem zbudowania cukrowni. Byli to ludzie z wyobraźnią, przypominający słynną trójkę z *Ziemi obiecanej* (Borowiecki, Baum, Welt). Pomysł przekuli błyskawicznie w czyn. Wzięli kredyt w banku lwowskim, zatrudnili na stanowisku dyrektora Towarzystwa inż. Stanisława Kremera (1876–1935) – zdolnego i doświadczonego cukrownika po studiach technologicznych w Wiedniu i praktykach w cukrowniach Czech, Moraw i Niemiec, a projekt samej cukrowni zamówili u cenionego architekta czeskiego Macieja Blacha, który miał już w swoim dorobku cukrownie wybudowane w Rumunii, Włoszech i Bułgarii.

Maciej Blach wykonał projekt w ciągu dwóch miesięcy. Tempo budowy cukrowni może jeszcze dziś imponować, bo po roku

– jesienią 1913 r. – fabryka była już gotowa i przerabiała buraki z pól wokół Chodorowa na świeży, krystalicznie biały cukier. Produkcja szła bezawaryjnie, bo sprawdziły się nowoczesne maszyny zakupione w zakładach Skody w Pilźnie. Fachowość polskich inżynierów, obfite plony buraków i dobra organizacja produkcji rokowały jak najlepiej nowoczesnej cukrowni. Ale rok później wybuchła I wojna światowa.

We wrześniu 1914 roku Chodorów zajęli Rosjanie i od razu zrabowali cały zapas cukru z magazynów oraz wymontowali urządzenia fabryczne. Gdy kilka miesięcy później w połowie 1915 roku musieli z Chodorowa uciekać, wysadzili w powietrze potężny, dominujący nad miastem, 65-metrowy komin cukrowni i podpálili główne budynki fabryczne.

Mimo tych strat spółka natychmiast po wycofaniu się Rosjan przystąpiła do odbudowy cukrowni. Nie zdążono jej uruchomić, bo fabrykę zajęła armia austriacka i stacjonując tam 15 miesięcy, zamieniła budynki w koszary. Na wiosnę 1918 roku spółka przystąpiła ponownie do odbudowy cukrowni. Ale musiała przerwać prace, bo w listopadzie 1918 r. Chodorów zajęły z kolei wojska ukraińskie, wyparte jednak przez Polaków w połowie 1919 roku. Szybko uruchomiono zakład, ale rok później Chodorów zajęły wojska bolszewickie, które stacjonowały tam dwa miesiące, też grabiąc, co się dało.

Czas spokoju nastał dopiero w latach 1921–1939 i wówczas kierownictwo cukrowni pokazało w całej pełni swe talenty organizacyjne. Czy to nie jest bohaterstwo? Nie załamywać się, nie rezygnować z działania pomimo ekstremalnie trudnych warunków, niepewności jutra i grabieży majątku. Właściciele cukrowni nie zrażali się, mimo że przedsiębiorstwo było przez 6 lat niszczone przez wojska najeźdźcze niczym drzewo, któremu ciągle przycina się wierzchołek i amputuje gałęzie. Należy podziwiać, że w tych niesprzyjających okolicznościach udało się stworzyć w Chodorowie jeden z najnowocześniejszych zakładów cukrowniczych w Europie. Wzniesiono potężne zabudowania o niebanalnej architekturze,



stworzono całą sieć socjalnych udogodnień dla załogi cukrowni, w tym specjalne osiedle mieszkaniowe – od nazwiska pierwszego dyrektora Stanisława Kremera – zwane „Kremerówką”. Dla pracowników stworzono klub towarzyski, salę muzyczną i teatralną, czytelnię, założono orkiestrę fabryczną. Dla dzieci i zatrudnionej młodzieży założono park sportowy z boiskiem, lodowiskiem, strzelnicą i kortami. Cukrownia utrzymywała 10 km własnych dróg bitych. Zakładała szkoły w okolicznych wsiach i budowała tam domy ludowe. Był to jeden z najbardziej rozwiniętych, twórczych ośrodków przemysłowych II Rzeczypospolitej.

Jednym z wybitnie zasłużonych dyrektorów dóbr cukrowni – żywnych pól buraczanych, których areał w 1929 roku liczył ponad 7 tys. hektarów – był inż. Lucjan Rydel, syn poety młodopolskiego, znanego powszechnie dzięki *Weselu* Wyspiańskiego.

CHODOROWSKI SCHINDLER

Dyrektorem cukrowni w Chodorowie w latach 30. XX wieku, który doprowadził ją do rozkwitu, był Adam Korwin-Piotrowski – wizjoner o zadziwiających zdolnościach organizacyjnych i wielkich kompetencjach. On to m.in. wybudował rurociąg o długości 31 km, którym popłynął gaz ziemny z Daszawy do Chodorowa, dzięki czemu przestawił produkcję cukrowni z opatu węglowego na gazowe, chroniąc środowisko naturalne miasta. Jego biografia jest fascynująca, a jego fachowość uszanowali nawet bolszewicy, którzy zajęli cukrownię we wrześniu 1939 r., a później Niemcy, którzy po usunięciu bolszewików wykorzystywali produkcję cukrowni dla swoich potrzeb.

Nawet podczas tych obu okupacji, gdy wokół szalał terror i niszczone wszystko co polskie i żydowskie, Piotrowski był dyrektorem. Ochraniał polską młodzież przed wywózką na przymusowe roboty do Niemiec. Częstokroć zdarzało się, że ratował też Żydów, wydając świadectwa „niezbęd-



ności dla cukrowni”. Spełniał rolę podobną jak Oskar Schindler w Krakowie, spopularyzowany w słynnym filmie Stevena Spielberga. A gdy Niemcy, przeczuwając, że zostaną usunięci przez Armię Czerwoną z Chodorowa, zaczęli w 1944 roku rozmontowywać maszyny z linii produkcyjnej, by wywieźć je na zachód, Piotrowski spowodował, że najcenniejsze elementy, w tym wieże rektyfikacyjne, przetransportowano nie do Niemiec, a w okolicy Kazimierzy Wielkiej na przechowanie. Później, gdy na mocy traktatu poczdamskiego Polska używała Racibórz, spowodował, że maszyny te zawieziono do tamtejszej, ogołoconej przez Sowieców ponemieckiej fabryki Huckla i ruszono z produkcją cukru dla Polski. Wieże rektyfikacyjne instalowano w Raciborzu pod osobistym nadzorem dyrektora Piotrowskiego i jego bliskiego współpracownika, dra Jana Kovacza – szefa produkcji „Butanolu” w Chodorowie. Piotrowski spowodował też, że liczni inżynierowie i pracownicy z Chodorowa osiedli w Raciborzu i tam kontynuowali swą pracę.

Adam Piotrowski na krótko objął też w roku 1946 funkcję dyrektora Zjednoczenia Przemysłu Cukrowniczego i czuwał nad odbudową cukrowni w Chybiu, Otmuchowie, Lewinie Brzeskim, Baborowie oraz Pszenniu pod Świdnicą. Niestety w okresie stalinizmu władze PRL oskarżyły go o szpiegostwo i nie biorąc pod uwagę jego zasług i kompetencji, wtrąciły do więzienia, po wyjściu z którego, złamany psychicznie, nie wrócił już do pracy. Zmarł w zapomnieniu w 1960 roku. [...]

Właściciele cukrowni w Chodorowie, księżstwo Róża, Eugeniusz i Stefan Lubomirscy z dziećmi i bonami na spacerze, rok 1903

Widok zabudowań cukrowni w Chodorowie; lata międzywojenne





Stan przedwojenny. Na pierwszym planie po lewej nieistniejąca już dzwonnica



Kościół po przebudowie przez sowietów po II wojnie na salę gimnastyczną: zniesiono fronton, obniżono dach, zburzono boczną kaplicę i dzwonnice, powiększono okna, całkowicie zniszczono wystrój wnętrz. Przed kościołem stoi śp. dr Jerzy Masior, pochodzący z Chodorowa



Kościół po przywróceniu mu formy zewnętrznej w latach 1990. Zdjęcie wg „Materiały do dziejów sztuki sakralnej” (2003)

Powyższy tekst, tu nieco skrócony, wejdzie – podobnie jak tekst o Jaremczu, Worochcie i Storożce w poprzednich numerach CL – w skład nowej książki, którą przygotowuje prof. Stanisław S. Nicieja. Książka ukaże się niebawem, a tymczasem Autor nadesłał nam kilka rozdziałów z zezwoleniem na ich wykorzystanie w naszym kwartalniku. Bardzo dziękujemy!

Tadeusz Krzyżewski

ZIMNA WODA – RUDNO

Zimna Woda, położona w odległości 9 km na południowy-zachód od Lwowa, wzdłuż magistrali kolejowej Lwów–Kraków, jest najpopularniejszym obok Brzuchowic letniskiem podmiejskim Lwowa. Złożona z kompleksu zabudowań typu willowego, rozmieściła się ta wieś w dolinie potoku Zimna Woda, a jej stała ludność, licząca według ostatniego spisu przed wojną (razem z osadami Konopnice i Kaltwasser) – 3566 mieszkańców na obszarze 12,02 km², ulega w lecie zwiększeniu co najmniej w dwójnasób.

Jako osada znana jest od XV wieku, pierwszym zaś dokumentem odnoszącym się do tej wsi jest akt sprzedaży sołtysostwa Zimna Woda, które w r. 1461 odstąpił dziedzic Jan Gołąbek za 30 grzywien niejakemu Stanisławowi z Kraśnika. Parafię w Zimnej Wodzie założył w r. 1453 również Jan Gołąbek, sędzia ziemi lwowskiej. Po Gołąbkach dobra te należały do rodziny Szarzyńskich, a w r. 1607 zapisał je Stanisław Stadnicki, kasztelan przemyski, jezuitom lwowskim, których kosztem stanął kościół murowany, konsekrowany pod wezwaniem św. Katarzyny w r. 1625 – budowany równocześnie z lwowskim kościołem Jezuitów, prawdopodobnie również przez tych samych artystów.

Sąsiednia osada Zimna Wódka rozwinęła się już przed wojną do rozmiarów wsi o zaludnieniu obejmującym 1288 głów, zaś granicząca z Zimną Wodą 2 km dalej na północ wieś Rudno, liczyła 2497 ludności, przeważnie ukraińskiej.

Potok Zimna Woda, przepływający przez wieś, tworzy na jej północnej granicy staw, do którego wpada także potok Biłohorski. Nad stawem folwark i młyn, zwany Strychowalcem. W XVIII wieku stał tu klasztor bazyliński. Na mocy testamentu Stadnickiego przeszła ta wieś – podobnie jak Zimna Woda – na własność Jezuitów. Po kasacie tego zakonu przyłączono Rudno w roku 1774 do starostwa lwowskiego, a w r. 1884 sprzedano je wraz z Zimną Wodą Michałowi Czackiemu. Należy również wspomnieć, że tu założono w r. 1884 pierwszy w Galicji zakład kumysowy, który jednak wkrótce upadł. (1943)

Miejscowości Wielkiego Lwowa

Nasza Ziemia

Józef Ruffer

Józef Ruffer urodził się w 1878 roku w Żółkwi. We Lwowie ukończył gimnazjum, studiował na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Lwowskiego. Po ukończeniu studiów podjął pracę w jednym z lwowskich gimnazjów jako wykładowca. Po stwierdzeniu przez lekarzy choroby płuc udał się na dłuższy pobyt do Włoch. Powrócił w 1907 roku.

Ruffer to jeden z zapomnianych, niespełnionych, którzy jak mówiono „przedwcześnie połamali skrzydła”. Warto zatem poznać losy tego lirycznego poety z okresu Młodej Polski lwowskiej, który zmagał się z życiem, z chorobą i, jak się zdaje, także ze sobą. Początkowo należał do grona dobrze zapowiadających się młodych literatów; choć podobny w ekspresji do Leopolda Staffa, nie wysunął się przed niego. Przez kilkanaście lat przełomu XIX i XX wieku uczestniczył w poetyckich spotkaniach i dyskusjach grupy, nazywanej przez jej uczestników „Planetnikami”, zbierającej się głównie w willi Maryli Wolskiej „Zaświecie”. Do grupy tej, prócz Wolskiej, Staffa i Ruffera, należeli m.in. Ortwin, Kasprowicz, Mouller, Irzykowski, malarze Pautsch, Sichulski. Dom na Zaświeciu był głównym miejscem spotkań Planetników, latem zaś cała grupa wyjeżdżała w Karpaty do Storożki i Perepelnik, niedaleko Skolego. Związał się z młodzieżą literacką, przyjaźnił się ze Staffem, z którym podróżował po Europie, a także spędzał wakacje w Polsce (w Porębie Wielkiej). Uzdolniony literacko, plastycznie (1907–1909 – studiował rzeźbę na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie), zajmował się również tłumaczeniem poezji i tekstów teoretycznych z zakresu historii sztuki.

Bywały okresy, że Ruffer ulegał pewnym urojeniom, w których przebijał element współzawodnictwa ze Staffem i świadomość człowieka, który w tym porównaniu przegrywa; sprawiał wrażenie niezrównoważonego psychicznie. Z racji wakacyjnych pobytów w Porębie Wielkiej zaprzyjaźnił się z Orkanem. Zbiór listów Ruffera do Orkana jest

pewnego rodzaju świadectwem tamtych lat, przebija w nich smutek, kłopoty materialne, niepewność przyszłości – jakby ból duszy, często pojawiający się u wrażliwych artystów, zwłaszcza w tamtym czasie. Przez swoje delikatne usposobienie i wrażliwość był przez znajomych określany jako „Santo Giuseppe”. Warto tu zacytować fragment ze słowa wstępnego Marty Wyki do *Wyboru poezji*: „Ciekawe: ten poeta programowo „słoneczny” i prężny mówi o przeciwnej tonacji własnej jaźni. Ciemnej, mglistej, bezcelowej, bezwolnej...”

W 1903 roku ukazał się jedyny właściwie tomik poezji Ruffera *Postanie do dusz* (wznowiony w 1922), a w 1917 w Paryżu niewielki druk pt. *Trzy psalmy i hejnał*.

Okres lwowski był jednak dla tego poety najkorzystniejszy pomimo załamań i obniżenia poziomu artystycznego jego twórczości. Jednak niepokój, jaki mu towarzyszył, sprawił, że wciąż zmieniał miejsce zamieszkania, traktując to jako pewnego rodzaju terapię. W latach 1907–1909 przebywał w Krakowie, studiując na ASP, 1912–1920 mieszkał w Paryżu, kontynuując studia rzeźbiarskie. Równocześnie pracował jako bibliotekarz w Bibliotece Polskiej. W tym czasie drukował swoje wiersze w pismach emigracyjnych, m.in. takich jak paryska „Polonia”, „Jeniec Polak”, „Ognisko” i w nowojorskim „Nowym Świecie”.

W czasach krakowskich w 1909 r. ożenił się z Magdaleną Markówną, osobą spoza jego środowiska, niektórzy mówili o służącej, inni o wiejskiej dziewczynie. Osobliwy miał stosunek do swojej żony, którą postrzegał jako gosposię w domu, opiekuna i prostego, ale oddanego przyjaciela. Tak mniej więcej w liście z zaproszeniem ślubnym do Orkana określił rolę swojej wybranki.

Ruffer wrócił z Francji w 1920 roku. Początkowo był nauczycielem gimnazjalnym w Toruniu, potem przeniósł się do Warszawy, gdzie w latach 1922–1924 uczył języka francuskiego w szkole podchorążych. Utrata tej pracy spowodowała kolejny stan gorączki i niechęci do świata, wskutek czego pojawiła się myśl o przeniesieniu się na prowincję i czerpaniu dochodów z uprawy roli, bowiem jako ojciec czworga dzieci musiał zapewnić byt rodzinie. Kolejne jego posady to urzędnicze zajęcia w PKO i w końcu praca koordynatora w „Kurierze Warszawskim”.



POEZJA

Józef Ruffer

Psalm trzeci, niepewność przyszłości

Śpiewa serce:

Wierzę, Ojczy: wyrosną, wyrosną
Chaty polskie, jako kwiaty wiosną,
Chaty kwieciami spośród zgliszcz wyrosną.

Wierzę: rolnik zorze ojcowiznę,
Zazielenią się – cud! – pola żyzne,
A żniwem rozradują żniwiarze Ojczyznę.

Wierzę w słodkie Nadziei orędzie,
Że w miastach pięknych Dzieło i Mądrość
osiędzie,
A sława pójdzie jasna na światła krawędzie.

Dalej śpiewa Serce, obfitością wezbrane:

Wierzę: z obcych krain, tęskne rzesze,
Wrócim zdrowi w rodzinne pielesze,
Życia znój powierzyć polskiej strzesze.

Wierzę: wróci pogoda i radość.
Aniołowie przylecą Wolności
I poległych ciszyć będą kości,
Aż się kościom smutnym stanie zadość.

Wierzę: wróci radość i pogoda.
Aniołowie przylecą Wolności
I kochanie wraz z nimi zagości,
Życiu rękę niezawodną poda!...

– Ach! a przez łan, pszenicy złoty łan,
Widzę: dziecinne płyną główki płowe,
A Ty, nasz Ojciec, dobrotliwy Pan,
Słońcem ten dzieciek błogosławisz wian,
Na Życie Nowe!

O! W sercu nagły przyptyłw grzmi:

WIERZĘ!!
Aż do ostatniej kropli krwi!!

W tym czasie publikuje jeszcze co prawda wiersze, jednak nie przedstawiają one większej wartości i w roku 1936 milknie zupełnie.

Umiera w 1940 roku w wieku 62 lat, według Grzymały-Siedleckiego w Warszawie, według innych w Zakopanem. Jednakże informacje uzyskane przez Martę Wykę (która dokładnie prześledziła losy poety) od córki poety są jednoznaczne – Ruffer zmarł w Warszawie, w mieszkaniu na Filtrowej, z wyczerpania i nędzy. Wiadomo też, że od dawna chorował na gruźlicę.

Ruffer jest jednym z zapomnianych twórców, którego przypomniał współczesnym aktor Michał Żebrowski w wydanym w 2001 albumie *Lubię gdy kobieta*, umieścił tam bowiem utwór tego poety *Obietnice ust*.

Warto wiedzieć, że w 1935 roku Józef Ruffer został odznaczony Złotym Wawrzynem Akademickim Polskiej Akademii Literatury.

Losy poety i analizę twórczości Józefa Ruffera prześledziła i opisała Marta Wyka w słowie wprowadzającym do tomiku *Wybór poezji*, wydanego przez Wydawnictwo Literackie w 1985 roku (Kraków – Wrocław), zatytułowanym „Zapomniana forpoczta – czyli o liryce Józefa Ruffera” i na tym opracowaniu głównie oparto powyższy tekst.

(AS)

Paryż, 21–25 kwietnia 1915

Stanisław Wasylewski

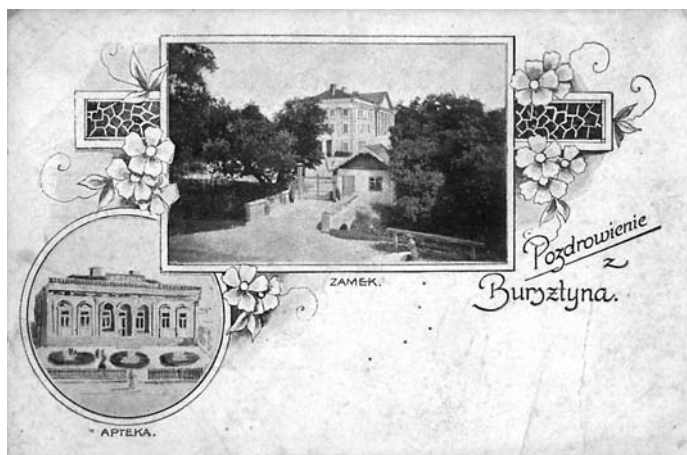
Księżniczka z Bursztyna

Poszukiwałem, myszkowałem po całej Polsce, by odszukać portrety pięknych pań osiemnastowiecznych, malowanych przez głośną artystkę francuską, E. Vigée-Lebrun, z czego później wynikała albumowa monografia opracowana wspólnie z profesorem Jerzym hr. Mycielskim. Na razie pracowałem sam, ambitnie, chcąc, by jak najwięcej zgromadzić wiadomości o dziełach malarskich wymienionych w jej katalogu, a dotyczących Polaków i Polek. I oto dowiedziałem się, że niedaleko, na przedpolu Lwowa, znajdują się jakoby dwa płótna tej artystki, głośnej bardzo kiedyś w całym świecie, dziś zapomnianej nawet w Paryżu. I to gdzie? W Bursztynie.

Kiedyś, ongiś była to znana rezydencja magnackiego dworu książąt Jabłonowskich. W epoce rokoka huczało tu od assambłów¹ i zjazdów, i głupawej rozrzutności. W początkach XIX wieku młodzieńki Stanisław Skarbek, utracusz, lampus i birbant, stawiał pierwsze kroki jako reżyser teatrów amatorskich, gwoli ucieście perukowej society, i ani mu się pewnie śniło, że wyrośnie na znakomitego dyrektora-fundatora sceny polskiej we Lwowie. Dawne czasy, których echa zamarły w spustoszałym pałacu. Do początków stulecia naszego władał nim ostatni, porządnie zramolały degenerat rodu kiedyś prężnego, książę Stanisław Jabłonowski. Oprócz wyczynów przy stołach karcianych Kasyna końskiego i Monte Carlo, które nadszarpaneły fortunę, zmniejszając ją do niewielkiego mająteczku z pałacem, zapisał się ostatni z książęcego rodu romantycznym mezaliansem: wzgardziwszy tużinami oferowanymi mu księżniczek, pojął zwyczajną szlachciankę, ale jakże egzotyczną!

Panna Mineyko urodziła się w Grecji, była córką obrotnego wygnańca polskiego, który na Bałkanach zbilował bajkową fortunę i nie skąpił jej rodakom. Gdy Polska „wybuchła” w roku 1918, zafundował jej kilka czy kilkanaście pociągów z karabinami greckimi i amunicją. Jedyńca owego Mineyki olśniewała pięknnością i z namysłu czy bez takowego przyjęła zaloty księcia z dalekiej Polski. Księżna Jabłonowska osiadła wkrótce w Bursztynie. Książę-degenerat dał pokój podróżom, zajęty przegrywaniem wiana Mineykówny. Gdy mu się to wreszcie udało, przeniósł się w lepsze światy. Opowiadano wiele, jak sobie wdówka uweselała lata wdowieństwa, wskazywano nawet szczęśliwych wybrańców, m.in. lotnika austriackiego, Włocha, który nie martwił się zbytnio, gdy przyszło mu w czasie wojny 1914–1918 usiąść przymusowo na polach bursztyńskich.

Ale to dawne czasy! Urodziwy lotnik już chyba zapomniał o tym incydencie i służy w wojsku polskim. Rok mamy 1923. Siędzę przy herbacie w pałacu, obserwując *les beaux restes*² pięknej kiedyś urzekająco, dziś podletniej, z widocznymi cechami bujnej kiedyś urody południowej. Dwie progenitury książęcego mezaliansu ubawiają mię gorliwie, siłą się, bo byłem wtenczas kimś, o którym się mówiło, którego się czytało itd. Wychodzimy na spacer do rozległego a srodze zaniedbanego parku. Kiedyś był strzyżonym francuskim, potem romantycznie angielskim, a teraz płacze rozwalinami ławek kamiennych, nie wygracowanymi ścieżkami. W parku jest ciasno, wybiegamy na pola. Najmłodsza dziełatka, wcale bystra, niebrzyd-





ka, inteligentna, zorientowawszy się, że nudzą mnie obowiązkowe zachwyty nad moimi pisaninami, proponuje najpierw gonitwy po murawie wiosennej. Zabawna jest i chętnie jej towarzyszę. Dlaczego?

Spotykałem rozmaite mniej

i więcej strupieszate princessy, tak lub inaczej odęte, etykietalne, w klatkach lub bez, ale dziurki z dziewięcioma pałkami, naturalnej, po prostu dziewczęcej – nigdy dotąd. Co prawda krąg widzenia mam niewielki, rozszerzy się on dopiero po kilku latach obracania się w tych kołach w Wielkopolsce. Jakkolwiek bądź pannica nie różni się niczym od moich uczennic na pensji Strzałkowskiej, które od niedawna obuczam i tresuję w znajomości literatury, czyli w sztuce umiejętnego czytania i mówienia o przeczytanych książkach. Bardzo interesująca (na półgodzinną rozmowę) księżniczka.

– A może teraz pójdziemy odwiedzić siostrę Tadeusza Rittnera – proponuje i widząc, że nie oponuję, prowadzi gdzieś poza park i pałac.

Był sobie kiedyś w początkach ubiegłego stulecia felczer małomiasteczkowy w tymże Bursztynie, Rittner. Spieszno mu było wzwyż, więc syna jedyńka posyła do szkół i na uniwersytet, i na pociechę, gdy z jedyńka wyrósł zdolny i ambitny, fenomenalnie utalentowany pracownik. Ochrzczony wczesnie, zasymilował się bez reszty. Szczebłował szybko. Tajny radca, pracownik ministerialny, wreszcie minister oświaty monarchii austriackiej. Niewiele zdołał, bo życia nie starczyło, zmarł w 1885 roku. Najstarszym synem Edwarda był znany w literaturze Tadeusz Rittner, tęgi, choć nie dopowiedziany do końca komediopisarz, autor *Wilków w nocy*, *Głupiego Jakuba* i sztuki *W małym domku*, która była jego debiutem w roku 1904. W odcinkach „Gazety Wieczornej” umieszczałem w numerach świątecznych jego nowele, które mi jego przyjaciel Roger Battaglia przywoził z Wiednia. Pamiętam

też dowcipną pocztówkę, którą mi pokwitował fejleton³ napisany o jego tomie prozy, drukowanym we Lwowie w tym czasie. Był w Rittnerze, też młodo zmarłym (1921), kompleks w rodzaju Conrada. I inne opory działały hamująco. Wychowany w Wiedniu, kraju prawie nie znał, rozwijając się pod skrzydłami bohemy wiedeńskiej. Pisał równie biegle po polsku i po niemiecku, premiery wystawiał w Warszawie, Lwowie i w Burgteatrze. Dręczyła go, dławila niewola przy biurku ministerialnym. I z tej także nie zdołał się wyrwać, szamocąc się nieustannie. Gnębiła go i pognębiła obroża biurokracji, chociaż ministerialnej, prawdziwemu poecie jednakowo nienawistna.

W zakątku jakimś chałupina, mały drewniany, czysto pobielony domek, który ginie, zapada się, osiada w ziemi, widocznie brak mu fundamentów. Pierwszy krok do wnętrza to znaczy spadek poniżej poziomu drogi. Terkocąca wciąż księżniczka objaśnia:

– Namawiamy stale pannę Rittnerównę, żeby się wyprowadziła, ale i słysząc nie chce o porzuceniu rodzinnego domku.

Tu pewno mieszkał małomiasteczkowy felczer, który postanowił wychrzcić swego syna, tu wzrastał ten syn i wraz z innymi dziećmi wyfrunął w świat. Opowiada mi o tym staruszka żwawa i ruchliwa. Myślę sobie, że znalazła się z bratem na przeciwnych krańcach: ona tu, na ojcowskiej grzędzie, dożywa lat swoich, on pognął w świat strojny, kuszący powodzeniem. I nie czuł się wcale szczęśliwszy od tej staruchy, wrastającej w ziemię wraz ze swą chałupinką.

Gdyśmy wrócili do pałacu, księżna z Mińeyków Jabłonowska przyniosła dwa nieduże obrazki, chłopczyk i dziewczynka, dzieci ambasadora Stanisława Augusta w Wiedniu, Woyny. W ujęciu, w sposobie malowania – ciekawe i oryginalne. Stały się ozdobą mojej publikacji *Portrety polskie* p. Vigée-Lebrun. Ale księżniczka z Bursztyna była wśród nich trojga najciekawsza.

¹ ansamble – zebrania (z franc.)

² *les beaux restes* – piękne resztki

³ dziś mówimy: *fejleton*

Tekst zaczerpnięty z książki S. Wasylewskiego pt. „Czterdzieści lat powodzenia. Przebieg mojego życia”, Wrocław 1959.

ZDZISŁAW J. PRĘGOWSKI (1912–1998)

ARCHITEKT

W setną rocznicę urodzin Zdzisława Jerzego Pręgowskiego warto przypomnieć sylwetkę niezwykle lwowianina, architekta, ale także wielkiego patrioty, oddanego społecznika, filantropa, człowieka wielu talentów.

Urodził się we Lwowie i tu, po maturze, w 1933 roku rozpoczął studia na Wydziale Architektonicznym Politechniki Lwowskiej. Prócz architektury wielką jego pasją była muzyka wokalna, wyrazem czego było m.in. związanie się z akademickim Lwowskim Chórem Technickim; był pierwszym uczniem Adama Didura i przez rok odbywał studia wokalne we Włoszech.

Gdy wybuchła wojna, zaraz z początkiem września 1939, jako żołnierz WP opuścił Lwów i w wyniku swej wojennej wędrówki znalazł się na początku 1940 roku we Francji.

Po zgłoszeniu się do formowanego Wojska Polskiego na Zachodzie został przydzielony do 2. Dywizji Strzelców Pieszych (dowodził nią gen. Bronisław Prugar-Ketling). W czerwcu 1940 został internowany w Szwajcarii, gdzie 2. DSP pozostała do końca wojny w 1945 roku. Szwajcaria stała się drugą ojczyzną Zdzisława Pręgowskiego. Wobec zgody władz dla internowanych żołnierzy polskich na pracę i naukę w obozach studenckich, został studentem zuryjskiej ETH (Eidgenoessische Technische Hochschule) i w 1945 roku uzyskał dyplom inżyniera architekta.

Talent wokalny (tenor operowy) i zaangażowanie w życie kulturalne dywizji zaowocowało wieloma występami solowymi (w ciągu 5 lat – 190) i licznymi występami z chórami żołnierskimi. Dochód z koncertów, podczas których propagował polską i światową muzykę operową, ludową i popularno-rozrywkową, przeznaczal na

cele dobroczynne w okupowanej Polsce oraz doraźne potrzeby dywizji w Szwajcarii.

Po wojnie osiadł na stałe w Winterthur w Szwajcarii, tam ożenił się ze Szwajcarką. Otworzył własne biuro architektoniczne i firmę PREWI, której dyrektorem był do późnej starości, stale poszukując nowych rozwiązań technologicznych i technicznych.

Przez 20 lat (1954–1974) był kustoszem Muzeum Polskiego w Rapperswilu.

Ale to, co szczególnie wyróżnia dokonania Zdzisława Pręgowskiego jako patrioty z niezwykłymi cechami charakteru, to jego działalność charytatywna w bardzo szerokim zakresie. Na początku lat osiemdziesiątych pod auspicjami Kościoła, po uzgodnieniu z prymasem Wyszyńskim i przy błogosławieństwie Papieża Jana Pawła II, zainicjował Pręgowski akcję charytatywną POLEN IN NOT (Polska w potrzebie), w ramach której organizowano w Szwajcarii tzw. „witaminowe wakacje” dla polskich dzieci, niesiono pomoc dla „Solidarności”, zwłaszcza w stanie wojennym, oraz pomoc dla Związku Sybiraków, dla których z własnych zasobów stworzył specjalną fundację. Na pomoc dla Sybiraków przeznaczył roczne odsetki od kwoty 100 tysięcy USD ulokowanych na koncie w banku w Szwajcarii, a także od Związku Sybiraków w Kanadzie i od Anny Branickiej-Wolskiej. 269 osób otrzymało skierowania na leczenie



sanatoryjne. Podobnie jak w latach poprzednich rozdzielono odzież, lekarstwa i sprzęt rehabilitacyjny – 16 wózków inwalidzkich, regulatory ułatwiające chodzenie osobom niepełnosprawnym, strzykawki jednorazowe i inne medykamenty (*informacja z I Krajowego Zjazdu Delegatów Związku Sybiraków w 1992 roku*).

Zdzisław Pręgowski pamiętał o Lwowie i utraconych Ziemiach Wschodnich. W latach '80. pomagał w budowie pomnika Orłąt Lwowskich na Sępolnie we Wrocławiu. W 1996 r. utworzył specjalny fundusz stypendialny, z którego korzystają studenci polskiego pochodzenia zza wschodniego kordonu.

W 1992 roku władze Politechniki Wrocławskiej wyróżniły Z. Pręgowskiego doktorem *honoris causa*. Za osiągnięcia twórcze w zakresie architektury i całokształt działań charytatywnych dla Polski był wielokrotnie wyróżniany. Wspomagał wiele akcji, wspierał różne organizacje, miał dobre serce i wielki gest!

Zdzisław Jerzy Pręgowski, żołnierz 2. Dywizji Strzelców Pieszych, architekt, wynalazca, artysta z wieloma talentami, a przede wszystkim wielki patriota, społecznik, wspinały Człowiek, zmarł w wieku 86 lat 17 marca 1998 r. w Winterthur. Spoczął na cmentarzu nieopodal pomnika ku czci towarzyszy broni z 2. DSP zmarłych w okresie internowania w Szwajcarii.



Opracowano na podstawie wspomnienia autorstwa Andrzeja Ostoi-Soleckiego pt. „Zdzisław Jerzy Pręgowski. Architekt” oraz wspomnień osób, które działalność Z. Pręgowskiego znały.

(AS)

Tadeusz Piszczkowski

Zdzisław Stahl

Tekst opublikowany w Biuletynie „Lwów i Kresy”, Londyn 1988.

Ze zmarłym w listopadzie 1987 r. Zdzisławem Stahlem przez szereg lat łączyły mnie bliskie stosunki koleżeńskie i przyjacielskie. Będąc o kilka lat młodszy, w wieku, w którym taka różnica lat odgrywa dużą jeszcze rolę, poddawałem się jego starszeństwu, a wstępując na Uniwersytet traktowałem go jako mojego „przewodnika”. Podziwiałem – i to przez długi czas – jego zdolności polityczne, choćby w skali akademickiej, które w połączeniu z dużą inteligencją, szeroką już wiedzą, bystrością sądu i rozmachem w działaniu pozwalały widzieć w nim, w przyszłości, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli młodszego pokolenia polskiego na arenie politycznej.

W latach tych głównym terenem jego działalności był Lwów. Lwów był miastem, w którym się urodził, chodził do gimnazjum i na uniwersytet. Ze Lwowem łączyły go najściślejsze związki. Ojciec jego, Leonard Stahl, był wieloletnim wiceprezydentem Lwowa, wuj Stanisław Głabiński, parokrotnie minister, był na Uniwersytecie Lwowskim profesorem ekonomii i skarbowości, działów, które w przyszłości miały być głównymi przedmiotami jego studiów. Obaj, ojciec i wuj, należeli do kierowniczych kół Narodowej Demokracji, co miało wpływ na jego poglądy od czasów szkolnych.

Zdzisław Stahl należał do tego pokolenia polskiego, które zanim weszło w obieg życia publicznego niepodległego państwa, dopiero co po ukończeniu szkoły średniej, albo nawet wcześniej, wzięło udział w walce o jego niepodległość i granice. Najpierw więc uczestniczył on w obronie Lwowa, kiedy 1 listopada 1918 r. Lwów i wschodnia Galicja podstępnie wydane zostały przez władze austriackie w ręce Ukraińców.

Przypadek sprawił, że w ostatnich dniach października odbywał się we Lwowie pierwszy ogólnoakademicki zjazd, może dla podkreślenia jego zagrożenia i solidarności z nim. Uczestnicy potrafili ująć w czas

w bezpieczne miejsce (do Domu Techników przy ul. Issakowicza), aby następnie wziąć udział w obronie Lwowa. Obok Zdzisława Stahla i innych ze Lwowa, jako gospodarzy, znaleźli się jako delegaci z Warszawy Tadeusz Katelbach, Stanisław Paprocki i Jan Rembieliński, wszyscy trzej członkowie „Zetu”, znani dobrze z pierwszych lat naszego pobytu na emigracji.

Po uwolnieniu Lwowa Stahl wstąpił jako ochotnik do formującego się Pułku Ułanów im. ks. Józefa Poniatowskiego i w szeregach tego pułku walczył na wschodnim froncie przez całą kampanię 1919/20 roku. Po zakończeniu wojny i odbyciu kursu szkoły oficerskiej ok. r. 1921 rozpoczął studia uniwersyteckie. Odbyta zaprawa wojenna była przedmiotem jego dumy, a później częścią jego programu politycznego.

Studia pod kierunkiem profesorów Głębińskiego i S. Grabskiego nie wyczerpywały jego zajęć. Bardziej bodaj pochłaniała go polityka. Pierwszym jego osiągnięciem w tej dziedzinie, przy którym wykazał wiele energii i pomysłowości, było ugruntowanie na terenie życia akademickiego Lwowa przewagi młodzieży narodowej, którą posiadała tam przed wojną. Posłużyła w tym kierunku szeroka akcja wieców akademickich, którą on wraz z gronem kolegów przeprowadził, głównie w r. 1922. Odbywały się one na rozmaite tematy, niektóre dotyczące spraw uniwersyteckich (jak sprawa *numerus clausus* na wydziale medycznym), inne związane z ogólnymi zagadnieniami polityki polskiej, co właśnie zgodne było z tradycją przedwojenną.

Akcja ta zapoznała uczestników z programem młodzieży narodowej, która już zaczęła występować pod nową nazwą Młodzieży Wszechpolskiej we wszystkich ośrodkach uniwersyteckich. To z kolei przyczyniło się do wzrostu jej popularności i rzeczywiście do wzrostu jej „przewagi” na wyższych uczelniach Lwowa. Stało się to przez opanowanie zarządów głównych organizacji studenckich, więc Bratnich Pomocy i innych stowarzyszeń, z których najważniejszym była słynna od lat Czytelnia Akademicka. Mieściła się ona w Domu Akademickim przy ul. Łozińskiego, w pobliżu Starego Uniwersytetu na ul. św. Mikołaja, niemal przy rogu ul. Akademickiej (Pl. Akademicki). Było to centrum kulturalne i towarzyskie Lwowa.

Po prawej stronie ul. Akademickiej znajdowały się Kasyno Miejskie i Koło Literacko-Artystyczne. Niemal naprzeciw, pod nr 8, było mieszkanie powszechnie poważanego prezydenta Lwowa, Leonarda Stahla. Tutaj mieszkał także i po części urzędował Zdzisław Stahl.

Przez długi jednak czas miejscem jego urzędowania była Czytelnia Akademicka, gdzie znajdował się sekretariat nie tylko Czytelni, ale również Młodzieży Wszechpolskiej, a później także Lwowskiego Komitetu Akademickiego. W dużej sali Czytelni odbywały się odczyty, zebrania dyskusyjne, niekiedy wieczory artystyczne i taneczne.

„Rządy” w Czytelni Akademickiej Młodzież Wszechpolska sprawowała łącznie z „Odrodzeniem”, drugim co do liczebności stowarzyszeniem akademickim we Lwowie, szczególnie akcentującym swój katolicyzm.

Nie pamiętam, żeby Stahl, który z ramienia Młodzieży Wszechpolskiej piastował we Lwowie różne prezesury, miał tam jakichś rywali wśród jej członków. Człowieki działające wśród rówieśników, jak Antoni Deryng, Tadeusz Bertoni, Józef Tyszkowski, Stanisław Starzewski, Mieczysław Piszczkowski, Józef Zieliński („Kułakowski”) byli po prostu współtowarzyszami. Wśród ogółu zaś członków MW we Lwowie, podobnie jak i członków zaprzyjaźnionej korporacji „Leopolia”, do której „dał się zaprosić” – był bardzo popularny i lubiany. W owym czasie był wesoły, dowcipny, umiał sobie zjednywać ludzi. Jeżeli chodzi o przeciwników, umiał zręcznie parować ich ataki, tak jak w tenisie – a był dobrym graczem – odbijał piłki.

O ile Zdzisław miał „rywali”, to znajdowali się oni poza Lwowem: współzawodnicy o względy Romana Dmowskiego. Z Dmowskim Stahl po raz pierwszy zetknął się przypuszczalnie w czasie I Zjazdu Młodzieży Wszechpolskiej w Poznaniu na wiosnę roku 1923, może na poufnym zebraniu poprzedzającym otwarcie Zjazdu. W przemówieniu, które wielki nasz polityk wygłosił następnie „przy czarnej kawie”, wzywał słuchaczy do zerwania z *talmudyzmem zakrzepłych doktryn* i do szukania nowych dróg. Spotkanie z Dmowskim było dla Stahla wielkim i doniosłym przeżyciem, tym bardziej że zapoczątkowało długi okres, w którym cieszył się on sympatią i zaufaniem „Pana Romana” – i nieraz bywał u niego w Chłudowie.



Nie był jednak nigdy jego „sekretarzem”, jak często przypuszczano.

Słowa Dmowskiego o „talmudyzmie” Zdzisław wykorzystał następnie w celu zmiany deklaracji ideowej Młodzieży Wszepolskiej, uchwalonej ok. r. 1921 pod wpływem warszawskich ideologów młodzieżowych (Rembeliński, Chwałewik), pewno za radą ko-

goś ze starszych polityków Narodowej Demokracji. Zaczynała się ona od wstępu, który stwierdzał: *Naród jest naszym największym dobrem. Dobro Narodu jest miarą naszych wartości moralnych, drogowskazem postępowania* (piszę z pamięci).

Wstęp ten był źródłem naszych kłopotów, przynajmniej we Lwowie. Ze strony „Odrodzenia” zapytywano nas podstępnie: *Czy dla dobra narodu można dobijać rannych?* Pamiętam jak Antoni Deryn, później profesor prawa międzynarodowego w Lublinie, a jeszcze później w Madrycie, na pytanie to, po chwili wahania, odpowiedział: „można”. Również duchowieństwo, które nam sprzyjało, krzywiło się. Stahl z inicjatywy własnej lub „starszych panów” postanowił więc deklarację tę zmienić.

Zanim jednak zabrał się do tego, na wiosnę roku 1925, jako prezes Lwowskiego Komitetu Akademickiego, bardzo sprawnie przeprowadził u nas wybory na Zjazd Ogólnoakademicki, po raz pierwszy przeprowadzone w drodze powszechnego głosowania studentów. Zjazd odbył się w Wilnie wybierając Naczelny Komitet Akademicki, a jako jego prezesa, Wojciecha Jaxa-Bąkowskiego, członka Mł. Wszepolskiej. W czasie wspomnianych wyborów we Lwowie przyłączył się do nas Wojciech Zaleski, wówczas młodziutki student, późniejszy redaktor pisma „ABC” w Warszawie.

Z kolei w lecie (?) 1925 przystąpił Stahl do „reformy” deklaracji ideowej. Akcją tę podjął w porozumieniu z niektórymi kolegami z Poznania (Stefan Wyrzykowski) i na Zjeździe Rady Naczelnej Młodzieży Wszepolskiej w Warszawie przeprowadził, nie bez walki, uchwalenie nowej deklaracji. Zaczynała się ona parafrazą ze wstępu do

Myśli nowoczesnego Polaka Dmowskiego (*Jestem Polakiem...*), co zrobiło wrażenie, że wyszła z jego natchnienia. W dalszym ciągu zawierała ona szereg tez, dotyczących głównych zagadnień polityki polskiej zawsze aktualnych. Nie wszystkim się podobała. Klaudiusz Hrabyk w „Gońcu Krakowskim” nazwał ją „deklaracją karłów”.

Niedługo później Stahl uzyskał doktorat prawa i umiejętności politycznych z rąk prof. Głębińskiego, przestając być studentem nawet formalnie, mógł bez wielkiej zwłoki wyjechać do Paryża dla uzupełnienia studiów, może z myślą o docenurze. Powrócił do kraju dopiero przy końcu r. 1926, wstępując zdaje się do Włoch dla zapoznania się z faszyzmem. Mnie pozostawił kierownictwo spraw Młodzieży Wszepolskiej, które dzieliłem z ustępującym prezesem, Marianem Lachowskim. Zmiana deklaracji ideowej była nam pomocna, kiedy po przewrocie majowym 1926 prowadziliśmy akcję polityczną zgodnie z „Odrodzeniem”.

* * *

Zarysowałem tutaj wizerunek „młodego Stahla”, najlepiej jak zachowałem w swojej pamięci i jaki przechował się we wspomnieniach mojej generacji lwowian: Zdzisława – energicznego przywódcy, ale wesołego, skłonnego do żartów (choć czasem wybuchającego) – i dzielącego swój czas na studia, politykę i grę w tenisa.

Stahl w nowym „wcieleniu”, z którym stykałem się od czasu jego przyjazdu do Anglii w r. 1946, to zupełnie inny człowiek. Przeważnie chmurny, czasem tylko wesołszy, skłonny nie do żartów, lecz do irytacji. Główną przyczyną tego były niewątpliwie przeżycia w niewoli sowieckiej i zaznane upokorzenia. Inną jednak przyczyną była dla niego trudność znalezienia dla siebie miejsca w społeczeństwie emigracyjnym. Trzeba tu wspomnieć, że w okresie rozłamów na początku lat 30. Stahl zerwał ze Stronnictwem Narodowym i przystąpił do Związku Młodych Narodowców (ZMN), który poszedł na współpracę z ówczesnym rządem sanacyjnym. Po wojnie do Stronnictwa Narodowego nie chciał wracać. Ostentacyjnie występował jako „piłsudczyk”. Ale to nie wystarczało! Najlepiej czuł się w towarzystwie generałów (nie mówiąc o generale Andersie, który mu zastąpił Dmowskiego) – i wśród bliskich przyjaciół ze Związku b. Więźniów Sowieckich i z Koła

Lwowian. Był niezwykle pracowity, trudno wliczyć wszystkie dziedziny jego zainteresowań, jego artykuły, broszury na wszelkie tematy. Główną jego zasługą było wydanie dzieła *Zbrodnia katyńska w świetle dokumentów*, z przedmową generała Andersa oraz jego praca na Polskim Uniwersytecie Na Obczyźnie (PUNO), zastępująca mu katedrę na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, od której został oderwany.

Od redakcji: Powyższy tekst opublikowaliśmy w CL właśnie teraz, ponieważ staraniem „Kresowej Stanicy” w Krakowie został w czerwcu ’12 pokazany film dokumentalny pt. „Droga do” (reż. Bogusław Dąbrowa-Kostka, 2001), ukazujący losy i postawy inteligencji polskiej na przykładzie Zdzisława Stahla. Jego postać powraca również we wspomnieniach szeregu lwowian, m.in. Władysław Majewskiej.

dokończenie ze s. 20

Nośnikiem pamięci kresowej, tej również zakodowanej w kamieniach, jest młode pokolenie. Bardzo cenna jest wieloletnia aktywność pracowników naukowych z uczelni polskich, wraz z młodzieżą akademicką, w renowacji i konserwacji zabytków na Kresach.

Wśród licznych działaczy młodego pokolenia jest muzykolog-politolog Michał Piekarski, w którym płynie krew kresowa. Zauroczony Kresami i Lwowem organizuje na Kresach koncerty i uczestniczy czynnie w uroczystościach i imprezach związanych z pamięcią narodową. Publikuje w lwowskiej prasie liczne artykuły o bogatej historii muzycznej Kresów.

Od aktywności młodego pokolenia w znacznej mierze zależy pogłębianie procesu koegzystencji z mieszkańcami tamtej ziemi. Torowanie drogi do Unii Europejskiej.

Niedobór młodych następców kresowiaków seniorów w niektórych oddziałach Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich może być zagrożeniem dla zachowania pamięci kresowej w cennych wydawnictwach „Semper Fidelis” i „Cracovia Leopolis”...

* Artur Węgrzynowicz spoczywa w Krakowie na cmentarzu Grębałowskim (przyj. red.).

GDZIE JEST TEN POMNIK?

Wśród zdjęć wykonanych w 1958 r. w drodze na Expo w Brukseli (lub z powrotem) powstało m.in. załączone, niestety nieopisane. Wydaje się, że widoczny na zdjęciu pomnik znajduje się na terenie zachodnich Niemiec (może nad Renem, widać dużą rzekę) – świadczy o tym nazwa Galicji w wersji niemieckiej – *Galizien*. A poniżej widzimy dwie polskie nazwy: **Brzeżany i Husiatyn** – to zapewne czas I wojny światowej. Pomnik upamiętnia zapewne walki armii niemieckiej na wschodzie i zachodzie (jest także Arras we Francji).

Skąd się wzięła ta fotografia? Oto SARP (Stow. Architektów RP) uzyskał zgodę ówczesnych władz PRL – to już było po październiku ’56 – na zorganizowanie wycieczki na Expo. Było nas ok. 40 osób z całego kraju, jechaliśmy autokarem z Wrocławia. Dla większości (także dla niżej podpisanego) była to pierwsza w życiu (i niezapomniana) okazja wyjazdu na Zachód.

Może ktoś z Czytelników wiedziałby coś o tym pomniku? Gdzie się znajduje? Wtedy nie dało się zapisać miejscowości. Ewentualną wiadomość proszę przekazać na adres Oddziału Krakowskiego TMLiKPW. Z góry dziękuję.

Andrzej Chlipalski



Krzysztof Bulzacki

Rosa Bailly

Rosa Bailly. Kto to jest? Nie znam tego nazwiska. Francuska Żydówka, lektor języka francuskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie w latach międzywojennych, przyjaciółka Boya Żeleńskiego. Nic z tych rzeczy, wszystko to nieprawda.

Owszem, Boy Żeleński, z Francją związany był już podczas studiów na medycynie, tłumacz literatury francuskiej, odznaczony Palmami Akademii Francuskiej oraz Krzyżem Oficerskim Legii Honorowej (1927), znał dobrze panią Rosę Bailly, poświęcił jej pięknie napisany felieton, opisując jej działalność i wielkie oddanie dla Polski. Boy Żeleński napisał o Niej: „Różyczka pokochała Polskę”.

Nazwisko „Rosa Bailly” poznałem zupełnie przypadkowo w największej prywatnej bibliotece w Sydney w Australii u pana Henryka Kitaszewskiego. Znalazłem na półce książkę angielską o Lwowie, o walkach z Ukraińcami w 1918 roku. Rosa Bailly „A CITY FIGHTS for FREEDOM”. Nadzwyczajna rzecz, książka tak bogato ilustrowana była dla mnie wielkim zaskoczeniem. Nie znam języka angielskiego, ale z kilku słów i z bogactwa ilustracji dowiedziałem się, że ta książka pisana była sercem, a nie piórem, że oparta jest na bardzo bogatym materiale faktograficznym.

Nie wiem, kiedy Rosa Bailly ją napisała, można sądzić, że było to już po drugiej wojnie światowej, gdy chciała powiedzieć światu o dokonanej zbrodni pozbawienia Polski wspaniałego polskiego miasta Lwowa. Czy jak inne swoje książki wydała ją na własny koszt? Książka została napisana po francusku. Znany jest tylko rok wydania tłumaczenia na język angielski. W 1956 roku książkę wydano po angielsku, aby cały świat poznał walkę Polaków o polski Lwów. Tłumaczenie dokonane przez Samuela S.B. Taylora zostało wydane przez specjalnie powołany PUBLISHING COMMITTEE LEOPOLIS za pieniądze zebrane z całego świata. Pieniądze nadeszło kilkadziesiąt organizacji polskich oraz wielu Polaków, wśród nich znane powszechnie osoby: prof. dr Stanisław Ostrowski – ostatni prezydent wol-

nego miasta Lwowa i Prezydent Polski na Uchodźstwie, Kazimierz Wierzyński – poeta, Wanda Stachiewicz – wdowa po gen. Wacławie Stachiewicz, siostra gen. Romana Abrahama, Jędrzej Giertych – dziadek Romana, ministra któremu nie pozwolono na reformę szkolnictwa w Polsce, gen. Marian Kukiel – historyk, Tadeusz Felsztyn – pochodzenia żydowskiego, jego ojciec w proteście przeciwko antypolskim działaniom organizacji żydowskich zmienił nazwisko, nazywał się Feldstein i ochrzcił siebie oraz swoją rodzinę, brat Romana, poety poległego w Obronie Lwowa, Władysław Pobóg Malinowski – historyk, płk. Kazimierz Rzyziński – autor relacji obrony Lwowa w roku 1939, dr Szczepan Zimmer – pisarz, badacz początków drukarstwa polskiego również na podstawie dokumentów znajdujących się w Bibliotece Kongresu Stanów Zjednoczonych, nauczyciel szkoły handlowej we Lwowie, Józef Witlin – pisarz, miłośnik Lwowa, Józef Wyrwa – pochowany na cmentarzu w Mont Morency pod Paryżem, Bolesław Kitaszewski z Australii oraz wielu darczyńców anonimowych. To był czyn starej polskiej emigracji. Dziś ta książka należy do białych kruków antykwariatów internetowych w Stanach Zjednoczonych. Gdy mój szwagier Waldemar Gross przeczytał tę książkę, został nią urzeczony. Kupił ją za 170 dolarów amerykańskich. Włożył wielką pracę i trud, aby przetłumaczyć 500 stron tej książki. I wtedy zaczęły się trudności. Ponad dwa lata trzymał ją minister Andrzej Przewoźnik, obiecywał jej wydanie na 90 rocznicę odzyskania niepodległości, miała być w księgarniach 11 listopada 2008 roku. Następnie już, już była drukowana w Warszawie przez Społeczną Fundację Pamięci Narodu, ale... Kolejno w Krakowie została oddana Fundacji Centrum Dokumentacji Czynu Niepodległościowego, by w końcu znalazła zainteresowanie Norbertinum w Lublinie. Jednakże trudno wydać ją w wolnej (niby) Polsce!

Do Norbertinum trafiłszy przypadkowo. Norbertinum wydało świętą książkę Tadeusza Edwarda Domańskiego pt. *Rosa Bailly – wielka Francuzka o polskim sercu*. Nakład zaledwie czterysta egzemplarzy w ciągu siedmiu lat nie został całkowicie sprzedany. Dlaczego? Czy w Polsce są jeszcze Polacy? Czy nikt nie jest tak zaangażowany w miłość do Polski jak ta Francuzka?

Rosa Dufour (późniejsza Bailly) urodziła się w Saint-Florent-sur-Cher 14 marca 1890 roku. Ukończyła Ecole Normale Supérieure o statusie uniwersyteckim w Sevres pod Paryżem.

To kobieta wybitna, humanistka, poetka, od najmłodszych lat zaangażowana całym sercem w sprawę niepodległości Polski, ze szczególną troską o przynależność Śląska do Polski. Zapał uwidoczny w jej działalności budził podziw, szacunek i powszechną sympatię w Polsce. Dzisiaj zupełnie zapomniana, zasługuje na przypomnienie i hołd oraz należne jej miejsce w Polskim Pantheonie. Pracę zawodową rozpoczęła na stanowisku nauczycielki w liceum w Valenciennes na północy Francji. Mieszkali tam liczni Polacy, głównie z Westfalii, przybyli do pracy w kopalniach węgla. Być może wtedy zetknęła się po raz pierwszy z językiem polskim, który wkrótce świetnie poznała. Następną placówką jej pracy było liceum w Cahors w środkowych Pirenejach. Tu została inicjatorką pomocy dla polskich sierot, razem z zespołem nauczycieli uczennice tej szkoły rozpoczęły 1 listopada 1916 roku zbierać „grosik polski”, przekazując uzbierane pieniądze do „Francuskiego Komitetu dla Polski Michelet-Mickiewicz”. Akcja ta objęła wiele szkół we Francji. Ideę tę propagowano w piśmie, które szybko rozrosło się do tygodnika „La Pologne”. Już 15 grudnia 1916 roku Rosa Bailly została redaktorem naczelnym i pisała o Polsce, zachęcając młodych czytelników do poznawania Polski, jej historii i przyjaźni polsko-francuskiej. Sama czytała poezję i prozę polską, przygotowywała jej antologię w przekładzie na francuski, wykazując duży talent literacki.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości założyła stowarzyszenie „Przyjaciół Polski” – „Les Amis de la Pologne”, które wydawało pismo o tym samym tytule. Organizowała odczyty, wystawy malarstwa polskiego oraz krajoznawcze, przedstawiające

miasta polskie i regiony: Białowieżę, Tatry, Podole, Śląsk, Wybrzeże Bałtyckie, koncerty – muzykę Chopina, Szymanowskiego, Moniuszki, Wieniawskiego, Lutosławskiego, Paderewskiego, Nowowiejskiego i innych, uroczystości narodowe polskie, pielgrzymki, podróże do Polski, kursy języka polskiego, seanse filmowe, bale i bankiety – wszystko dla Polski. Z inicjatywy Rosy Bailly na Sorbonie wprowadzono naukę języka polskiego. Wciągała do pracy utalentowanych ludzi, dbających o wysoki poziom tłumaczeń. Pozyskała do tej pracy sławnego uczonego Fortunata Strokowskiego, członka Instytutu Francji. W czerwcu 1917 roku rząd francuski podjął decyzję utworzenia Armii Polskiej.

Rosa Bailly uczestniczyła w kampanii na Śląsku przed plebiscytem.

Rosa Bailly pisała artykuły informujące społeczeństwo francuskie o sytuacji politycznej, szczególnie w odniesieniu do Polski oraz dokształcające młodzież francuską w zakresie wiedzy o Polsce, jej historii i geografii, o bohaterskiej dziejnie wielkopolskiej, gnębieniu katolików przez prawosławny carat rosyjski, o kulturze, poetach i nauce polskiej. Tłumaczyła polską poezję i prozę

(Leopolda Staffa, Zofię Nałkowską, Zenona Przesmyckiego-Miriama, Stanisława Przybyszewskiego, Juliusza Kaden-Bandrowskiego, Wacława Berenta, Karola Irzykowskiego, Piotra Choynowskiego, Bolesława Leśmiana, Karola Huberta Roztworowskiego, nie mówiąc o *Dziadach* Mickiewicza, od czego zaczęła tłumaczenia), bo przecież Francuzi muszą poznać literaturę i kulturę polską. Napisała książkę *W sercu Polski*. Pracowała nad metodyką uczenia języka polskiego, tak bardzo trudnego dla Francuzów. Do Polski przyjeżdżała co roku. Poznała Wacława Sieroszewskiego, pisarza, historyka literatury polskiej, przewodniczącego Polskiej Akademii Literatury (założonej w 1933 roku), udekorowanego przez Marszałka Piłsudskiego honorową odznaką Pierwszej Kompanii Kadrowej.



W niepodległej Polsce powstało „Towarzystwo Przyjaciół Francji”, działające do 1939 roku.

Rosa Bailly została udekorowana Krzyżem Komandorskim Orderu Polonia Restituta, Złotym Krzyżem Zasługi, Złotym Wawrzynem Akademickim – Złotym Laurem Polskiej Akademii Literatury, otrzymała nagrodę PEN-Klubu Polskiego.

W Paryżu przy bulwarze Saint Germain Rosa Bailly stworzyła polskie muzeum: 11 pokoi wypełniono pamiątkami historycznymi, strojami regionalnymi, dziełami sztuki. Podczas okupacji Niemcy wszystko zniszczyli.

Jej miesięcznik wychodził do połowy czerwca 1940 roku, do zajęcia Francji przez wojska niemieckie. Rosa Bailly pozostała we Francji, poszukiwana bezskutecznie przez gestapo. W tym czasie dotarła do marszał-

ka Pétaina w Vichy i uzyskała jego zgodę na naukę i studiowanie młodzieży polskiej (internowanych żołnierzy polskich) w szkołach i na uczelniach francuskich.

Portrety Rosy malowali: Nina Alexandrowicz, Zbigniew Więckowski (olej) i Maja Berezowska (akwarela), a popiersie wykonał artysta rzeźbiarz Franciszek Black.

Rosa Bailly zmarła 14 czerwca 1976 roku w Pau, została pochowana na miejskim cmentarzu, trumnę jej okryto biało-czerwoną flagą.

Byłem w Paryżu w Bibliotece Polskiej im. Adama Mickiewicza (na wyspie) w czasie uroczystości 200-lecia Stanów Zjednoczonych. To był chyba 1977 rok. Przemawiał po francusku książę Andrzej Poniatowski. Jakoś wtedy mojej uwadze uszło znajdujące się tam popiersie Rosy Bailly, rzeźbione przez polskiego artystę Franciszka Blacka. [...]

Ostatnio zdarzyło mi się przeglądać stare gazety i w „Dzienniku Polskim” z 28 V '77 natrafiłem na artykuł niejakiego Władysława Błachuta: *O humorze bibliofilskim*. Humor bibliofilski uprawiano od dawna w wielu miastach, nie tylko Krakowie – my pamiętamy doskonale lwowskie grono znakomych prześmiewców z Franciszkiem Biesiadeckim i Mieczysławem Opałkiem* na czele**. W 1994 r. – Roku Lwowskim – gronu temu poświęciliśmy osobną gablotę na wielkiej wystawie w Bibliotece Jagiellońskiej pt. *Kresy Południowo-Wschodnie w zbiorach bibliofilów i kolekcjonerów*. Odybyło się tam też spotkanie z udziałem kilku żyjących jeszcze bibliofilów lwowskich, niestety nie nagraliśmy ich wypowiedzi***.



Mieczysław Opałek

I oto przy końcu artykułu pana Błachuta przeczytałem następujące słowa:

... już tylko krok do opowieści spod znaku „Kobieta, wino i śpiew”, co najpełniejszy wyraz znalazło we wspomnieniach krakowskiego autora Mieczysława Opałka (podkreślenie red.). Między innymi Opałkowi przypisuje się zdobiący kiedyś jeden z krakowskich przybytków Bachusa napis:

*Ktokolwiek tutaj spędzasz miłe chwile,
Wśród dźwięku szklanic, śmiechu i pogwarki,
Wiedz: przy tym stole siedzą bibliofile –
Pogodni chwalcy ksiąg i pełnej czarki...*

No cóż, Lwów jednak miał Opałka, a Kraków Błachuta...

* M. Opałek zmarł w 1964 r. w Nowym Sączu, gdzie zamieszkał po II wojnie.

** Ponadto: z Rudolfem Męckim, Aleksandrem Semkowiczem i innymi.

*** Zob. CL 1/95.

ERRATA

W numerze CL 1/12 na str. 34–35 znalazł się błąd, ściślej niedomówienie. Projektantem wspinających kamiennych wiaduktów zbudowanych nad Prutem w latach 1890–95 nie był osobiście *Stanisław Kosiński*, twórca całej słynnej magistrali kolejowej, lecz znakomity budowniczy mostów z Politechniki Lwowskiej inż. **Zygmunt Kulka**.

Tarnopolanie chcą się spotykać

Byli mieszkańcy dawnego województwa tarnopolskiego spotkali się na swoim dorocznym, już XXVI Zjeździe. Po raz drugi w Krzeszowicach w ośrodku „Vincentinum” należącym do Księży Misjonarzy. Ośrodek ten, położony tuż obok dość zaniedbanego parku Potockich*, kontrastuje z parkiem przy Vincentinum swoim zadbanym otoczeniem, ale nic dziwnego, skoro sam ksiądz Dyrektor chwytą za kosiarkę i zajmuje się pielęgnacją roślinności, która tyle uroku dodaje samemu ośrodkowi.

Tak jak i poprzednie dwa zjazdy, również tegoroczny zorganizował Klub Tarnopolan przy TMLiKPW w Krakowie. Organizatorzy, choć w okrojonym ze względu na wiek i choroby składzie, dali z siebie wszystko, aby i ten Zjazd był udany i dobrze zapisał się w pamięci uczestników. I chyba tak było.

Uczestnicy zaczęli zjeżdżać się w sobotę 2 czerwca – ten pierwszy dzień nie obfitował w atrakcje. Trzeba było pozwolić uczestnikom wypocząć po podróży, a warto zaznaczyć, że Tarnopolanie ciągnęli do Krzeszowic z całej Polski – ze Szczecina i Torunia, z Poznania i Warszawy, z Opolszczyzny, Górnego i Dolnego Śląska, czyli ze wszystkich tych miejsc, które po wygnaniu z ziemi ojców i dziadów stały się ich nową Małą Ojczyzną.

Drugi dzień, niedziela. Rano wyruszamy do Opactwa Ojców Benedyktynów w Tyńcu.

Zaczynamy od cmentarza, gdzie uczestnik Zjazdu i kapelan Tarnopolan, ks. Józef Marfiany odnajduje grób swojego tarnopolskiego katechety – ks. Franciszka Małaczyńskiego, który po ekspatriacji wstąpił do zakonu benedyktynów i zmarł w Tyńcu w 2009 r. Uczestniczymy we mszy św. z udziałem wszystkich zakonników. Ta msza robi wrażenie, szczególnie śpiewy! Po mszy zwiedzanie krużganków i muzeum opactwa. I jeszcze jeden „palec Boży” – uczestniczka naszego Zjazdu, córka tarnopolanina, pianistka Joasia zwierza mi się, że jej kolega ze studiów w warszawskiej Akademii Muzycznej jest tutaj zakonnikiem i że chciałaby się z nim spotkać... No i co się okazuje? Ten jej kolega jest obecnie... opatem! Uwieczniam to spotkanie na zdjęciu.

W niedzielne popołudnie następną atrakcją Zjazdu. Występ filharmoników z Tarnopola. Wśród nich wicedyrektor tarnopolskiej Filharmonii, mający polskie korzenie i należący do Polskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego, Wasyl Irmijczuk. Przedstawia swoich artystów bardzo ciepło. O jednym z nich mówi, że to najlepszy tenor Ukrainy i rzeczywiście młody Ihor Hawryluk zachwyca wszystkich swoim głosem. Wspaniały to był występ, prawdziwa ucztą dla oczu i uszu. Niedzielną wieczór zakończyliśmy wspólnym śpiewaniem (już bez udziału filharmoników) przy akompaniamencie naszej Joasi.

Poniedziałek jest dniem oficjalnie rozpoczynającym nasz Zjazd. Z Tarnopola dociera do nas ks. Andrzej Malig i razem z ks. Józefem w kaplicy Vincentinum koncelebrują dla nas mszę św. Jak co roku modlimy się w intencji tych Tarnopolan, którzy od ostatniego naszego spotkania od nas odeszli, a jest ich ponad dziesięcioro, wśród nich zmarła tuż przed naszym Zjazdem druhna Jolanta Kowalenko, która w Tarnopolu prowadziła harcerstwo, a która jeszcze dwa lata temu była naszym gościem na zjeździe w Dobczycach. Co teraz będzie z osieroconymi harcerzami w Tarnopolu?

Po obiedzie część oficjalna Zjazdu. Ponieważ patronatu honorowego udzielił nam marszałek województwa małopolskiego – pan Marek Sowa, zaszczyca nas swoją obecnością jego przedstawiciel – kierownik Zespołu Współpracy Międzynarodowej, pan Rafał Kocot, z którym nasz tarnopolski gość, prezes PTKO pan Piotr Friz długo rozmawia. Mamy nadzieję, że ta rozmowa przyniesie efekty w postaci konkretnej współpracy.

Drugim naszym patronem honorowym jest burmistrz Krzeszowic, bardzo nam przyjazny pan Czesław Bartł. W krótkiej prezentacji przedstawia nam najnowsze osiągnięcia gminy. Dużo tutaj zrobiono od poprzedniej naszej bytności. My szczególnie podziwialiśmy (wycieczka przed obiadem) nowo, tuż przed naszym Zjazdem otwarty, zrewitalizowany Rynek w Krzeszowicach.

Następują dalsze wystąpienia. Słuchamy z ciekawością wypowiedzi ks. Andrzeja



Oficjalnie Centrum zostało powołane w styczniu 2011 r., ale jego wcześniejsze dokonania są wspaniałe i napawają nadzieją, że dzięki zaangażowaniu tych młodych ludzi zdołamy jeszcze uratować od zapomnienia wiele dokumentów i wspomnień z tragicznych losów tułaczy naszego narodu, a co ważniejsze, że zdołamy tę wiedzę przekazać młodym. Jak można przeczytać na stronie internetowej Centrum: *Celem Centrum jest ochrona przed zapomnieniem losów mieszkańców Rzeczypospolitej (w jej*

o tym, co słychać w parafii w Tarnopolu, i cieszymy się, że otoczenie konsekrowanego w 2008 r. kościoła parafialnego pięknie dzięki stawianemu obecnie ogrodzeniu, że w kościele odbywają się też msze św. w języku angielskim (głównie studenci z Czarnego Łądu), że nastąpiło zacieśnienie współpracy między parafią a Towarzystwem Kultury Polskiej. Potwierdza to następny nasz gość, prezes Towarzystwa – Piotr Friz. Mówi też o bolączkach Towarzystwa, a mianowicie zbyt małym lokalu, w którym Towarzystwu przyszło funkcjonować. Dobrą stroną jest fakt, że siedziba jest w samym centrum miasta, ale to przecież nie wszystko. Jeśli uda się otrzymać większy lokal, to z pewnością będzie to dalej od centrum. Cieszy fakt, że nauka języka polskiego ma miejsce, ale jest to tylko nauka języka (uczy go miejscowa Ukrainka), natomiast nie ma nacisku na historię czy kulturę polską. Może gdyby przyjechała nauczycielka z Polski...?

Na koniec zabierają głos przedstawiciele różnych środowisk tarnopolskich w Polsce. Niestety formalnie istnieją tylko cztery Kluby Tarnopolan działające w ramach TMLiKPW – Opole, Żary (niestety nikt z Żar nie przyjechał, a wiemy, że tam działają bardzo prężnie), Warszawa – Klub Podolan, i Kraków. Z wypowiedzi wynika, że nigdzie nie jest dobrze, naturalną koleją rzeczy zaczyna brakować sił i zdrowia, a młodszy się nie angażują. Dlatego też spotkania często przerażają się w już tylko spotkania towarzyskie.

W poniedziałkowy wieczór następną atrakcją. Tym razem bardzo budująca! Zaprosiliśmy na nasz Zjazd dra Huberta Chudzię i jego zespół z Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń przy Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie.

obecnych i byłych granicach) poddanych zsyłkom, wypędzeniom i przesiedleniom. Zadaniem, które sobie stawiamy, jest rozpowszechnianie wiedzy na ten temat wśród młodzieży szkolnej, studentów, społeczności lokalnych. Cele te będą realizowane poprzez projekty naukowe i edukacyjne oraz kształcenie. Na początku swojej działalności chcemy zebrać jak najwięcej relacji wspomnieniowych od świadków historii, szczególnie sybiraków oraz przymusowo wysiedlonych ze swych domów przez niemieckiego okupanta w czasach II wojny światowej. Docelowo swymi badaniami chcemy objąć okres przymusowych migracji – od konfederacji barskiej po czasy represji komunistycznych.

Podczas spotkania młodzi ludzie nie tylko mówili o swoich dokonaniach, ale też zaprezentowali nam dwa filmy doskonale ilustrujące ich zaangażowanie w to, co robią.

Na jednym z filmów zarejestrowano ich wyprawę do Afryki Wschodniej, gdzie w ciągu trzech tygodni nie tylko wykonali dokumentację fotograficzną, filmową i kartograficzną, ale też wyremontowali trzy polskie cmentarze tych, którzy po tragedii Sybiru czy Kazachstanu i wyjściu z nieludzkiej ziemi znaleźli spoczynek wieczny w ziemi afrykańskiej. Drugi film to wspomnienia sybiraków, którzy swoją tułaczkę zakończyli w Leicester (Anglia). Gdyby wyciszyć głos, mogłoby się wydawać, że ci uśmiechnięci, dobrze ubrani ludzie wspominają swoje dobre dzieciństwo i młodość. Niestety wszystkie ich wspomnienia wstrząsają swoim tragizmem.

To spotkanie na pewno głęboko poruszyło i wzruszyło uczestników Zjazdu. Dziękujemy więc serdecznie panu drowi Chudzi i jego młodym zapaleńcom, a jednocześnie apelujemy do tych z państwa, których udziałem były podobne losy, aby nawiązali kontakt z Centrum (31-005 Kraków, ul. Bracka 13/113 lub Fort Skotniki, 30-397 Kraków,

ul. Kozenicka 24, tel. kom. 512 861 280, 512 243 463) i przekazali swoje wspomnienia lub dokumenty.

Wtorek to dzień wycieczek. O jednej z nich nie trzeba się rozpisywać. Po prostu pojechaliśmy do Krakowa. Atrakcją z pewnością było zwiedzenie Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego, potem był czas wolny i każdy mógł go wypełnić jak chciał. Po obiedzie natomiast pojechaliśmy do pobliskich Radwanowic, żeby zobaczyć i zapoznać się z działalnością Fundacji im. Brata Alberta. Pod nieobecność ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego po schronisku oprowadziła nas pani Barbara Latała. Opowiedziała o historii Fundacji, o budowie poszczególnych domów, o warsztatach terapii zajęciowej, o problemach, które musi pokonywać Fundacja. Największe wrażenie zrobiły na uczestnikach warsztaty terapii zajęciowej, gdzie z podziwem obejrzelśmy to wszystko, co wykonali podopieczni. Niektóre z tych prac zadziwiwały pomysłami, kolorami i niewątpliwie talentem artystycznym. Myślę, że ta wycieczka była równie wzruszająca i pouczająca, jak ważne w naszym życiu jest, by *być dobrym jak chleb*.

Wtorkowy wieczór wypełnił nam krótki występ muzyczny młodzieży z krzeszowickiego Liceum im. Tadeusza Kościuszki. Miło było zobaczyć, że w małych ośrodkach nie brakuje talentów i młodzieży mającej różnorodne zainteresowania i chcącej się nimi pochwalić. Po tym wesołym preludium nastąpił czas trudny dla „zjazdowiczów”. Należało wybrać organizatorów następnego zjazdu. U tarnopolan krakowskich wystąpiło, używając terminologii inżynierskiej, „zmęczenie materiału” (organizowaliśmy trzy ostatnie zjazdy). Dyskusja była długa, ale jej konkluzją było to, że tarnopolanie dalej chcą się spotykać. Dla samego bycia razem! I dlatego postanowiliśmy, że następny zjazd będzie znowu w Vincentinum (przetarte szlaki są ważne!), bez atrakcji artystycznych czy wycieczkowych. **PO PROSTU BĘDZIEMY ZNOWU RAZEM.**

Anna Madej

* Toczy się proces o odzyskanie pałacu i parku przez rodzinę Potockich. Z rezydencji krzeszowickiej pod Krakowem wywodził się Andrzej Potocki (1861–1908), namiestnik Galicji we Lwowie, zamordowany przez Ukraińca M. Siczynskiego.

Archiwum



Kto rozpozna?

Załączona fotografia z 1970 r. przedstawia grono siedmiu absolwentów I Gimnazjum we Lwowie – maturzystów z r. 1930. Uroczystość 40-lecia matury obchodzono w Sopotcie 7 czerwca 1970 r.

Na fotografii rozpoznaliśmy jedynie dra Tadeusza Krzyżewskiego, zmarłego w Krakowie w 2007 r. (po prawej u góry). Z zapisków na odwrocie zdjęcia dowiadujemy się, że wśród pozostałych osób są:

... Hamerski
W. Karocki
St. Kienzler (†1986)
A. Klimek (†1987)
Zb. Kurz (†1979)
A. Kuhnel (†1987)
T. Olańczuk (†1972)
Zb. Papużyński (†1996)
A. Ruczkal (†1993)
(w odczytaniu nazwisk mogły powstać pomyłki)

Kto jest kto? Kogo brakuje na zdjęciu? Będziemy wdzięczni za możliwe wyjaśnienia.

Redakcja CL

W Krakowie i dalej

Nie odeszła z naszej pamięci **HELENA KONOPKOWA** **1932–2012**

6 lutego 2012 na zawsze zatrzymało się serce naszej Przyjaciółki śp. Heleny Jagusz Konopkowej. Serce, które bez mała przez 80 lat pracowało nieustrudzenie, którym przez całe swoje niełatwe życie dzieliła się hojnie i na którego dnie głęboko przechowywała – niczym skarb – kilka szczęśliwych lat dzieciństwa i miłość do Stanisławowa – miasta, gdzie przyszła na świat.

Rodzina Jaguszów przybyła na południowo-wschodnie Kresy w drugiej połowie XIX w. z Pomorza (z zaboru pruskiego), chroniąc się przed germanizacją. Osiedli w okolicy Tłumacza, we wsi Bratyszów, i pracując na roli szybko dorobili się majątku i pozycji, a wieś, która była enklawą polskości, przemianowali na Zagórze Polskie (nb. obecnie nie istnieje).

Przyszły ojciec Heleny (u nas znanej jako Halina, Hala), po przejściu całej kampanii wojny bolszewickiej 1920 r. i po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Lwowskim, został skierowany do urzędu wojewódzkiego w Stanisławowie. W tym kwitującym i dynamicznie rozwijającym się mieście założył rodzinę z Wandą Vogel, tu urodziła się trójka ich dzieci, szybko też awansował i pod koniec lat trzydziestych objął tam stanowisko naczelnika wydziału rolnego.

Tę kresową sielankę w wielokulturowym mieście, z niepowtarzalną atmosferą, trudno uchwytną dla przybysza z zewnątrz, dramatycznie przerywa druga wojna światowa. W 1941 roku ojciec został aresztowany przez gestapo i wywieziony do obozu w Majdanku, gdzie jesienią 1943 r. zmarł.

Wojenny walec nienawiści niszczył brutalnie wszystko co polskie. W maju 1944 roku dwunastoletnia Hala wraz z matką i rodzeństwem opuszcza Stanisławów, zachowując na zawsze w pamięci i sercu emocjonalny

i bardzo intymny związek ze swoim rodzinnym miastem.

W pierwszym etapie rodzina zatrzymała się w Wieliczce, gdzie Hala ukończyła szkołę średnią, zwieńczoną maturą. Następny etap to Kraków. Tu studiuje romanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim, uzyskując w 1956 r. dyplom magisterski i wtedy też wychodzi za mąż.

Po wielu staraniach została zatrudniona jako lektorka j. francuskiego w Studium Praktycznej Nauki Języków Obcych Politechniki Krakowskiej, gdzie z sukcesami zawodowymi pracowała do emerytury. W tym czasie raz do roku wyjeżdżała na miesięczne stypendium do Francji, a szczególnie do Paryża, zawierała znajomości i przyjaźnie, bywała zapraszana też na południe Francji na piękne Wybrzeże Lazururowe, do Nicei, Cannes, Saint Tropez.

W okresie przemian ustrojowych zaangażowała się czynnie w uczelnianej „Solidarności”.

Do końca swego życia zajmowała się różnorakimi tłumaczeniami, w tym trudnych artykułów technicznych, wymagających idealnej ścisłości i leksyki.

Uczyła również u Księży Misjonarzy na Stradomiu. W słowie pożegnalnym na mszy św. żałobnej ks. dr Przemysław Nowakowski, kierownik Katedry Historii Liturgii na Wydziale Teologicznym UPJPII, opowiedział, że uczyła nie tylko języka, ale i kultury francuskiej, a na rok przed śmiercią przetłumaczyła na język starofrancuski *Gorzkie żale*, który to przekład, przesłany do Watykanu, uznano za jedyny obowiązujący i umieszczono w Bibliotece Watykańskiej.

Osobiście poznałam Halę jesienią 1988 roku, w sytuacji igrzysk teatralnej, kiedy to ekspatrianci nielegalnie spotykali się na terenie klasztoru oo. Dominikanów. W lutym 1989 roku oficjalnie powstaje krakowski Oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, a w jego ramach jesienią, w tym samym roku, Koło Stanisławowian. Hala wchodzi do Zarządu z funkcją zastępcy sekretarza, a po 2000 r. nieprze-



rwaniu – sekretarza. Przez 22 lata swoją mądrością, talentem, erudycją, niespotykaną życzliwością i otwartością dla wszystkich, kulturą osobistą i empatią wspierała działania krakowskiego Koła Stanisławowian.

O szerokich zainteresowaniach, nieustannie szukała jasnych stron życia, bardzo lubiła spotkania konwiwalne, bawiąc grono stanisławowskich przyjaciół błyskotliwym intelektem i humorem.

Pożegnaliśmy naszą śp. Przyjaciółkę na cmentarzu w Bronowicach koło Krakowa w mroźny dzień 13 lutego w głębokim przekonaniu, że była to ważna Osoba w naszym życiu.

Droga Halu, tulimy Cię w ramionach naszej wdzięcznej pamięci, dziękując za całe dobro, które czyniłaś.

Krystyna Stafińska
Prezes Koła Stanisławowian w Krakowie

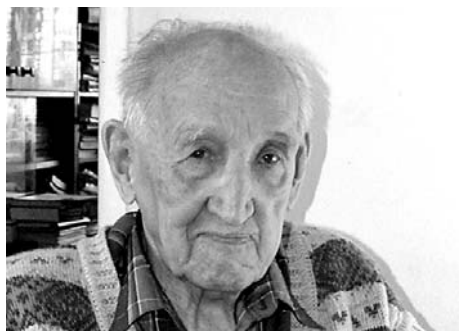
Odszedł Profesor Jerzy Węgierski

W Katowicach zmarł 4 czerwca 2012 r. prof. Jerzy Węgierski. Pochodził ze Lwowa, urodził się 13 lutego 1915 r., kiedy to przez świat przewalała się groza I wojny światowej. Miałem zaszczyt poznać Go kilka lat temu, kiedy przygotowywałem z Nim rozmowę dla kwartalnika „Cracovia–Leopolis” (1/08). Od przesłuchań przez NKWD w czasie II wojny światowej nie słyszał na jedno ucho. W ostatnim czasie ogłuchł niemal zupełnie. Kontakt z Profesorem był bardzo utrudniony, ale zawsze był otwarty i chętny na rozmowy, opowieści o Kresach, Lwowie, Jego pełnym cierpienia i dramatyzmu życiu. Słuchałem z zapartym tchem Jego opowieści o wojnie, aktywnym uczestnictwie w działaniach AK we Lwowie, Jego gehennie podczas przesłuchań przez NKWD, więzieniu przy ul. Łąckiego we Lwowie, obozach katorżniczej pracy, których nie miał prawa przeżyć. A przeżył i w 1955 r. powrócił już nie do polskiego Lwowa, a na Śląsk, gdzie zaczął całkiem nowe życie, rozwinął skrzydła jako naukowiec, sięgając tytułów profesorskich, a przy tym dokumentując okres II wojny światowej we Lwowie, działania AK na terenie Lwowa i okolic. Nie ukrywam, że podczas rozmowy z tym już dochodzącym do 90. mężczyzną, jeszcze pełnym werwy i energii do pracy, to ja czułem się starcem! A przecież w tym samym czasie w obozach sowieckich przebywała też Jego matka! W Kazachstanie, kiedy wypuszczony został z łagru, czekała na niego Jego przyszła żona. Tam – w prowizorycznej kaplicy węzłem małżeńskim połączył ich Sługa Boży ks. Władysław Bukowiński. Świadcstwo ślubu wypisał własnoręcznie na swej fotografii

– dzisiaj stanowiącej nie tylko dokument, ale i swoistą relikwię. Tego dokumentu nie chciał uznać śląski proboszcz...

Profesor Węgierski pozostawił po sobie wiele artykułów i wspaniałe książki, do których badacze dziejów historii Polski i II wojny światowej będą musieli często sięgać. Pozostawił po sobie rzecz niepowtarzalną, którą stworzył w zespole z Grzegorzem Mazurem, Jerzym Skwarą – *Kronikę 2350 dni wojny i okupacji Lwowa 1 IX 1939–5 II 1946*. To dzieło mogło powstać dzięki żmudnej pracy historyka i archiwisty, który dotarł do znanych z konspiracji przyjaciół, ale i do innych nieznanymi mu, którzy mu zaufali. Nie tylko przekazali swą wiedzę o czasach II wojny światowej, akcjach, ale udostępnili też unikatowe zdjęcia i dokumenty. To dzięki prof. Węgierskiemu wiemy dziś tak wiele o przecież nie najodleglejszej przeszłości z dziejów Polski. Zapamiętam Profesora jako rzeczowego, otwartego i przyjaznego człowieka, który jednak nie potrafił funkcjonować bez swej wspaniałej i niezastąpionej żony.

Janusz M. Paluch



Z żałobnej karty

Lipcowe anomalie meteorologiczne nie pozostały bez najbardziej bolesnych skutków. Oto w ciągu dwóch dni (10 i 11 lipca) dowiedzieliśmy się ze smutkiem z prasy krakowskiej o odejściu do wieczności kilkorga znakomych Osób związanych z naszymi wschodnimi stronami bądź to urodzeniem i dorastaniem, bądź wydarzeniami II wojny.

Ogromną stratą jest śmierć Jana Sury (ur. 1923 we Lwowie), AK-owca, dowódcy plutonu w Dzielnicy Lwów-Środmiście, więźnia okresu stalinowskiego, a w latach 1990–2009 prezesa Ogólnopolskiego Okręgu Żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego, ostatnio Honorowego Pre-

zesa Okręgu. Z Janem Surą przeprowadziliśmy rozmowę w CL/05.

Zmarł znakomity profesor AGH w Krakowie Franciszek Nadachowski (ur. 1923), który po wybuchu wojny przedostał się z matką z Kobrynia do Lwowa (ojciec, d-ca pułku piechoty WP, poległ), tu ukończył szkołę i rozpoczął studia na Politechnice Lwowskiej. Fragment Jego wspomnień wojennych zamieściliśmy w CL 4/08.

Bolesną stratą dla środowiska drohobycko-borysławskiego i dla nas wszystkich jest odejście p. Olgi Serwatkowej (92 lata), działaczki w tym środowisku.

Zmarła lwowianka Kazimiera z Warczewskich Klimkowa (90 lat), pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich w Krakowie.

CZEŚĆ ICH PAMIĘCI!

Notatki

◆ W kwietniu br. w Zespole Szkół Zawodowych im. Kard. A.S. Sapiehy w Krakowie odsłonięto tablicę pamiątkową poświęconą życiu i działalności dawnego absolwenta Technikum Geologicznego w tym Zespole, sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa – śp. Andrzeja Przewoźnika. Inicjatorem powstania tablicy było Stowa-

rzenie Rodzin Ofiar Katynia, fundatorem Rada Ochrony Pamięci WiM, a projektantem i wykonawcą art. rzeźbiarz Czesław Dźwigaj.

Uroczystość odbyła się w drugą rocznicę tragicznej śmierci A. Przewoźnika w katastrofie lotniczej w Smoleńsku 10 kwietnia 2010 r.

(DTS)



◆ Z początkiem lipca odsłonięto i poświęcono na Cmentarzu Parafialnym w Oświęcimiu TABLICĘ PAMIĄTKOWĄ ku czci Polaków zamordowanych na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej. Oto treść zamieszczonego tam napisu:

W HOŁDZIE POLAKOM
MIESZKAŃCOM ZIEM WSCHODNICH
II RZECZYPOSPOLITEJ
OFIAROM LUDOBÓJSTWA
DOKONANEGO PRZEZ UKRAIŃSKICH
NACJONALISTÓW
W OKRESIE II WOJNY ŚWIATOWEJ
CZEŚĆ I WIECZNA CHWAŁA
ŚRODOWISKA KRESOWIAN
OŚWIECIMIA I OKOLICY

Wymiar tablicy: 73×55 cm

KULTURA NAUKA

CENTRUM DOKUMENTACJI

◆ Przy Uniwersytecie Pedagogicznym w Krakowie powstało w tym roku Centrum Dokumentacji Zsyłek, Wypędzeń i Przesiedleń*, którego zadaniem jest badanie i utrwalanie prawdy o przymusowych migracjach Polaków w czasie i po II wojnie światowej. W tym celu gromadzone są dokumenty, w tym fotograficzne i filmowe, przeprowadzane rozmowy z żyjącymi jeszcze Polakami, których losy wojenne rozproszyły po krajach Azji, Afryki, Australii i Nowej Zelandii, obu Ameryk, a także Europy. W wielu krajach wschodu i południa zabezpieczane są komentarzyki Polaków, którzy trafili w tamte strony, nie mogąc powrócić do Polski czy w ogóle Europy i tam zmarli. Tak się składa, że w większości są to ofiary deportacji z Ziemi Wschodnich...

Centrum prowadzi dr Hubert Chudzio z gronem młodych współpracowników. Ostatnio Centrum otrzymało do dyspozycji XIX-wieczny fort w Skotnikach pod Krakowem, gdzie urządzone pokoje pracy i muzeum. W Krakowie i innych miastach pracownicy przedstawiają swoją pracę i jej rezultaty – tu spotykali się z publicznością i członkami TMLiKPW w Klubie Pod Gruszką, w Śródmiejskim Ośrodku Kultury, w szkołach.

* * *

Jednym z ciekawych nowych nabytków Centrum jest mundur harcerek (jako część większego zbioru)



Harcerka, Władysława Bagińska.
Afryka, przed 1950 r.

ru) dziewczyny wywiezionej z rodziną 10 lutego 1940 z Przemyślan pod Lwowem na Syberię (do Buriacji). Wydostali się stamtąd po układzie Sikorski-Majski i osiedlono ich w Tanzanii. Stamtąd w 1950 r. przewieziono ich do Australii statkiem, którym płynęło 1200 Polaków. Miejscem nowego osiedlenia było Perth. W większości tam spędzili całe życie. Obecnie owa dziewczyna – harcerka przekazała swoje liczne i cenne pamiątki do krakowskiego muzeum. Przywozły je jej córka i wnuczka – już o niepolskich nazwiskach...

* Po raz pierwszy pisaliśmy o Centrum w CL 1/11 (jeszcze o innej nazwie: Centrum Przymusowych Migracji Polaków).

UL. BRACKA 13/105
31-005 KRAKÓW
tel. 12 421 49 55; 512 861 280
e-mail: zsykiwypedzenia@gmail.com

CENTRUM DOKUMENTACJI ZSYŁEK, WYPĘDZEŃ I PRZESIEDLEŃ

Nowy cykl konferencji kresowych

◆ Muzeum Górnośląskie w Bytomiu, kierowane przez dr. Dominika Abłamowicza, podjęło organizację nowego cyklu ogólnopolskich konferencji *kresowych*, zatytułowanych ZACHOWAĆ PAMIĘĆ. ORGANIZACJE KRESOWE W POLSCE. Pierwsza konferencja odbyła się w Bytomiu w dniach 15–16 czerwca i objęła 14 referatów i prezentacji odnoszących się zarówno do problematyki teoretycznej, jak i wąskich tematów dotyczących ziem wschodnich II Rzeczypospolitej. Współorganizatorem konferencji była p. Danuta Skalska, której aktywność znamy od wielu lat – choćby poprzez słynną „Pacalychę”, lecz nie tylko.

Pomimo zaproszenia nie mieliśmy możliwości wzięcia udziału w tym naukowym spotkaniu – treść referatów spodziewamy się poznać poprzez wydawnictwo, które prędkiej czy później się ukáže. Tymczasem ograniczamy się do przedstawienia autorów i ich referatów, wymienionych w zaproszeniu.

W grupie pierwszej dotyczącej problematyki ogólnoteoretycznej znajdujemy:

- prof. A. Miziołek, *Aspekty edukacyjne wspierania organizacji kresowych przez Senat RP*
- dr D. Abłamowicz, *O potrzebie pamięci Kresów. Co pozostało?*

- T. Kuba Kozłowski, *Sentyment, powinność, inspiracja. Popularyzacja kulturowego i historycznego dziedzictwa Kresów przez Dom Spotkań z Historią w Warszawie w latach 2007–2012*
- dr J. Januszewska-Jurkiewicz, *Bastiony Rzeczypospolitej czy ubogie peryferie? Kresy w publicystyce okresu międzywojennego*
- R. Wyszynski, *Karta Polaka a podobne rozwiązania w Europie Środkowej*

Druga grupa to referaty na temat deportacji i martyrologii:

- dr M. Wieloch, *Kto ginął w dołach ponarskich?*
- Aneta Hoffman, *Fundacja Kresy-Syberia – międzynarodowy projekt dokumentowania losów Kresowian*

Trzecia grupa wymienia dokonania:

- A. Rybicki, *Kresy w zbiorach Muzeum Historii Fotografii* (w Krakowie)
- S.P. Makara, *Muzeum Kresów w Lubaczowie a dziedzictwo kulturowe Archidiecezji Lwowskiej*
- B. Kubit, *Gliwicy Kresowianie, projekt badawczy Muzeum w Gliwicach*
- dr Z. Gładkowski, *„Wspólnota Polska” – Koło Wilno z Warmii*
- M. Dobkowski, *Dział Kresów Muzeum Górnośląskiego w Bytomiu – kolekcja i działalność*

Czwarta grupa – różne:

- M. Dobkowski, *Pierwszy mecz, pierwsza bramka, czyli o początkach piłki nożnej na ziemiach polskich*
- T. Kuba Kozłowski, *Opowieści z Kresów – Polesia czar. Włóczęga po ostępach Słowiańszczyzny.*

KILAR I JASNA GÓRA

◆ 1 maja '12 odbył się w Bazylice Jasnogórskiej 22. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”. W cza-



Wojciech Kilar

sie koncertu inauguracyjnego wykonano trzy utwory Wojciecha Kilara: *Bogurodzica* (skomponowana 1975), *Exodus* (1981) i *Angelus* (1984). Równocześnie obchodzono 80. urodziny Kompozytora, który urodził się we Lwowie, a mieszka od II wojny w Katowicach. Z tej okazji w parkowym pawilonie w Częstochowie otwarto również wystawę zatytułowaną: *Wojciech Kilar teraz, teraz, teraz i... amen.*

Wymienione kompozycje Kilara należą do muzyki filmowej, ale – jak sam twierdzi – nie stanowią głównego nurtu jego twórczości. Są to jednak szczególne dzieła filmu: *Sól ziemi czarnej*, *Pierła w koronie*, *Faustyna*, *Śmierć jak kromka chleba*, *Paciorki jednego różańca*, *Korczak*, *Brat naszego Boga*, *Pan Tadeusz*, *Pianista* i jeszcze sporo innych.

◆ Miła wiadomość: nasz znakomity dyrygent, twórca i wieloletni dyrektor zespołu „Capella Cracoviensis” **Stanisław Gałoński** otrzymał ostatnio prestiżową nagrodę Złotego Orfeusza, przyznaną przez paryską Academie du Disque Lyrique za pierwszą na świecie rejestrację *Opera Omnia* Mikołaja Zieleńskiego. Komplet dzieł naszego kompozytora z XVII/XVII w. obejmuje 6 płyt. Nagrania trwały trzy lata.

Stanisław Gałoński, urodzony koło Trembowli, obchodzi w tym roku 70-lecie swojej pracy artystycznej.

KADET WSPOMINA

◆ Znany już z łamów naszego kwartalnika* p. Zenon Malik, lwowski kadet, ofiarował nam dwa zdjęcia z okresu nauki w Korpusie Kadetów Marszałka Piłsudskiego we Lwowie, gdzie w latach trzydziestych minionego wieku spędził 5 lat.

Na pierwszym zdjęciu kadet Zenon (po prawej) ze swym ojcem i kolegą** w czasie spaceru (na przepustce!) w śródmieściu Lwowa – rok 1937. Ojciec Zenona, Stanisław, był kapitanem Korpusu Ochrony Pogranicza (KOP), dowódcą Kompanii Granicznej na Wileńszczyźnie. W czasie wojny wyjechał z 20 PP przez Rumunię i Francję do W. Brytanii, po latach wrócił do Polski (ówczesnej PRL).

Dругie zdjęcie: kadet Zenon z rodzicami na urlopie w Krakowie (1939). Na tym zdjęciu widzimy letni mundur kadeta: bluza i czapka w kolorze *khaki* do granatowych spodni.

* Z p. Zenonem Malikiem przeprowadziliśmy rozmowę zamieszczoną w CL 1/03.

** Kdt January Rusch; w czasie wojny poległ jako żołnierz AK.



Książki czasopisma

Nowe książki

📖 Wydawnictwa książkowe – naukowe i wspomnieniowe – o tematyce wschodnio-małopolskiej są ciągle bardzo liczne, co cieszy nas niezwykle. Gorzej z możliwościami nabywania, bo – jak wszystko – drożej nieustannie. Nie da się więc wszystkich kupować, trzeba sobie wzajemnie pożyczać. Tak też czynią dziś ci, którzy piszą dla nas omówienia wydanych książek, z jednym wszakże wyjątkiem!

Wyjątkiem tym jest dla autora niniejszego omówienia wielotomowy cykl *Materiałów do dziejów sztuki sakralnej na Ziemiach Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej*, a w szczególności ich część 1 (bo innych jeszcze nie ma): **Kościoły i klasztory rzymskokatolickie dawnego województwa ruskiego*** pod redakcją naukową **Jana K. Ostrowskiego** (wyd. Międzynarodowe Centrum Kultury, Kraków 2010). Otóż tego pożyczać nie można – to trzeba mieć na własność i przekazywać potomnym!

Ostatnio wyszły dwa nowe tomy: 18. i 19. Przypomnijmy: *Materiały* zaczęły się ukazywać w 1993 r., na każdy rok przypada więc mniej więcej jeden tom (format A4). Nasi Czytelnicy dobrze to wiedzą, ponieważ kolejne tomy zawsze omawiamy.

* * *

Tom 18. liczy prawie 400 stron tekstu i ponad 500 zdjęć. Obejmuje dwadzieścia kilka obiektów z dekanatów buczackiego i horodeńskiego (oczywiście wg stanu przedwojennego, bo w ostatnich 2/3 wieku wszystko uległo dezorganizacji), natomiast kilka najważniejszych miejscowości z tego terenu (Kołomyja, Buczacz i parę innych) znalazło się już we wcześniejszych tomach.

Teren opracowywany w omawianym tomie to wschodnia część Pokucia w ziemi halickiej oraz płd.-wschodni kraniec ziemi lwowskiej. Okolice bardzo żyzna i malow-

nicza, przecięta wijącą się wstęgą Dniestru, ale przez wieki niespokojna, narażona na stałe najazdy tatarskie i wołoskie.

Pozwalamy sobie przedrukować kilka fragmentów Wstępu:

W XV i XVI w. główną rolę odgrywali tu przedstawiciele rodu Awdańców z Buczacza i Jazłowca, później, aż do końca istnienia I Rzeczypospolitej – Potoccy. Dzięki najślawniejszemu z nich, Mikołajowi Bazylemu, staroście kaniowskiemu, Buczacz i okolice odegrały pewną rolę w rozwoju sztuki na skalę europejską, jako siedziba i główny, obok Lwowa, teren działania znakomitego rzeźbiarza Jana Jerzego Pinsla.

Stan zachowania zabytków wchodzących w zakres niniejszego opracowania jest zły, nawet na tle pozostałych części przedwojennych województw lwowskiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego. W 1939 r. w ramach obu omawianych dekanatów istniało 31 kościołów parafialnych i zakonnych, z których żaden nie zachował się w stanie nienaruszonym. Całkowitemu zniszczeniu uległo aż 10 obiektów [...]. Do części z nich nie dysponujemy nawet dokumentacją fotograficzną. Kościół w Chocimierzu stanowi niemożliwą już do uratowania ruinę, bardzo zły jest stan kościołów w Czernelicy, Kowalówce i Michalczu. Pozostałe zabytki nie są bezpośrednio zagrożone, warte odnotowania jest przetrwanie drewnianego kościoła w Hucie Nowej. Stosunkowo najwięcej elementów wyposażenia zachowało się w Uściu Zielonym, Buczaczu i Słobódce Dżuryńskiej.

Na omawianym terenie brak kościołów z w. XV i XVI. Najwcześniejsze zabytki to kościoły dominikańskie w Potoku Złotym i Czernelicy. Obydwa stanowią ważne przykłady w ramach charakterystycznego typu świątyni na rzucie krzyżowym, z prezbiterium i kaplicami bocznymi (ramionami transeptu) zamkniętymi wielobocznie, o silnie zaznaczonych cechach gotyckich.

Znacznie bogatsza jest spuścizna XVIII w. [kościół Misjonarzy w Horodence, kościoły w Uściu Zielonym, Monasterzyskach, Gwoźdźcu i Buczaczu]. Dalej mowa o architekturze sakralnej z XIX i XX w., o malarzskich dekoracjach wnętrz, małej architekturze, nielicznych zabytkach malarstwa sztalugowego itd.

Omówiony 18. tom wyczerpuje w zasadzie problematykę wschodniomałopolskich

kościółów i klasztorów, z wyjątkiem lwowskich, które będą tematami ostatnich tomów cyklu (poczynając od poniższego).

* * *

Tom 19. liczy prawie 500 stron tekstu i prawie 900 zdjęć oraz (luzem) fragment planu Lwowa z 1931 r. Tom ten obejmuje – jako pierwszą część – 21 spośród najważniejszych rzymskokatolickich (w tym najstarszych i istniejących) kościołów z terenu miasta Lwowa (nie znalazła się tam jeszcze Katedra łacińska)**.

Historia każdej z omawianych świątyni jest niezwykle bogata, w większości dramatyczna. Kościoły lwowskie, wznoszone od średniowiecza, musiały przeżyć czasy wrogiej polityki austriackiej po I zaborze, kasaty klasztorów i przemianowania kościołów, powstania narodowe, I wojnę światową, walki z bolszewikami i Ukraińcami w latach 1918–20, a wreszcie II wojnę światową z kolejnymi okupacjami i zajęciem większości kościołów rzymskokatolickich na cele pozasakralne lub na rzecz innych wyznań, z równoczesnym pozbawianiem historycznego wystroju i zniekształcaniem, a nawet całkowitym zniszczeniem wnętrz.

Autorzy wymieniają kilka kościołów, które nie zostały już uwzględnione, ponieważ przestały istnieć lub całkowicie straciły swój charakter i formę. Do pierwszych należy np. gotycki kościół oo. Franciszkanów (znany go z dawnych panoram miasta), w którym – po desakralizacji – mieścił się na przełomie XVIII/XIX w. teatr Bogusławskiego; do drugich – pierwszy w Polsce kościół trynitarzy przy ul. Krakowskiej, potem zamieniony na aulę i bibliotekę uniwersytetu, zniszczony po wielkim pożarze w 1848 r., a w końcu ruiny odbudowane na cerkiew Przemienienia. Mimo tych wydarzeń w obecnej budowlu cerkiewnej tkwią mury dawnego kościoła oo. Trynitarzy, niezmienny jest jego zasadniczy plan i bryła. A skoro tak – czy nie należało tego pokazać i bodaj krótko opisać jego dziejów – dla pełni wiedzy o ważnych lwowskich świątyniach? Dodajmy, że rzut i przekrój kościoła Trynitarzy można znaleźć w księdze T. Mańkowskiego *Dawny Lwów, jego sztuka i kultura artystyczna* (Londyn 1974), a obraz fasady po zniszczeniach z 1848 r. – w książce *Lwów na dawnej rycinie i planie* O. Czernerera (Ossolineum, 1997).

Proponujemy, by oba te kościoły uwzględnić w kolejnym tomie *Materiałów*. W tej sprawie zwróciliśmy się do Autorów i Redaktorów, prosząc, by nie zubażać historycznej wiedzy o dawnym Lwowie. Niestety otrzymaliśmy odpowiedź negatywną.

* ... a mówiąc „po naszymu”: *Małopolski Wschodniej* (nazwa ta obowiązuje od r. 1569).

** Wcześniej, w tomie 1. (z 1993 r.) przedstawiono jedynie kościół oo. Reformatów, a w tomie 12. – obiekty z XIX i XX w. Tematyce lwowskiej mają być poświęcone jeszcze dwa następne tomy oraz tom zawierający korekty, uzupełnienia i indeksy.

📖 Dwa lata temu ukazała się gruba księga, dość ładnie zatytułowana: **Lwów, legenda zawsze wierna** (wyd. „Galaktyka”, Łódź 2010). Autorem jest **Ryszard Jan Czarnowski**, nieznany nam dotąd pośród twórców historycznej literatury *kresowej*.

Księga o ponad 450 stronach, z wieloma ilustracjami, podzielona została na dwie, z grubsza, części: pierwsza (ok. 200 stron) dotyczy dziejów miasta; druga, podzielona na 20-kilka rozdziałów o różnej treści, omawia rozmaite instytucje, zabytki i postacie dawnego Lwowa. Nasza subiektywna uwaga: wolelibyśmy, by liczne treści zawarte w jednej grubej księdze zostały rozłożone na dwa tomy.

Dzieło Czarnowskiego jest więc – generalnie rzecz biorąc – wydawnictwem pozytywnym, bo przede wszystkim dotyczy tematu, o którym nigdy za wiele, ponadto napisane jest łatwo i interesująco do odbioru dla mało wprowadzonego czytelnika.

To są wszystko pozytywy książki Czarnowskiego. Trzeba jednak poruszyć parę problemów, które kładą się cieniem na wartości tej książki. Nie poruszamy tu drobnych błędów merytorycznych (kompetentni czytelnicy naliczyli ich kilkadziesiąt), natomiast nie można zwrócić uwagi na istotne błędy i braki.

Szeroka problematyka Ziemi położonej między górnymi biegami

Sanu, Bugu i Horynia oraz Dniestru jest niezwykle ważna dla naszych polskich dziejów, dla polskości, w tym oczywiście dla Lwowa. Nie została jednak dotąd w sposób zadawalający omówiona przez właściwych dla takiej problematyki polskich naukowców (historyków, geografów, archeologów, językoznawców) z pożytkiem dla polskiej nauki i edukacji.

Omawiana książka nie jest dziełem naukowym ani też nie wglębia się w dość trudną problematykę najdawniejszych dziejów miasta i regionu. Na marginesie: region jest tu na ogół, ze szkoda, pomijany we wszystkich okresach historii (jeśli nie dotyczy to np. nawiązań z okazji wojen).

Powiedzmy sobie szczerze, że treści historyczne zawarte w pierwszej części zostały tu przeniesione z innych, dawniejszych opracowań i to zarówno całościowych o historii Lwowa, jak i specjalnych o węższej tematyce, a wreszcie z różnych opowieści wspomnieniowych. Natomiast całkiem pominięto efekty nowych badań historycznych, by – jak napisał autor – nie zannudzić (!) czytelnika (str. 11 – pierwsza strona tekstu).

Jeśli chodzi o wcześniejsze całościowe dzieła (czy kroniki) na temat historii Lwowa, to warto przypomnieć, że było ich wcale nie mało i zawierały to, co każdy z kolejnych autorów mógł napisać wedle współczesnej mu wiedzy. Oto ich lista (może jeszcze niepełna?):

J.B. Zimorowic: napisane w XVII w., wydane w 1836
I. Chodyniecki: pierwsze wydanie w 1828, drugie 1865

F. Papee: pierwsze wydanie 1894, drugie 1928

S. Wasylewski (w serii *Cuda Polski*): lata 1920.

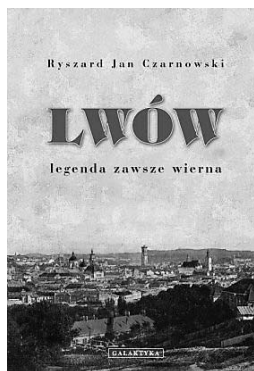
A. Czołowski: 1925

L. Podhorodecki: 1993

R.J. Czarnowski: 2010

Należałoby przeto oczekiwać, że dwaj najbardziej współcześni autorzy uwzględnią to, co naukowo ustalono w ostatnich latach XX wieku. Uczynił to tylko Podhorodecki.

O co chodzi? Oczywiście o to, czego najbardziej nam brakuje: ustalenia historycznej sytuacji ziem, na których powstał Lwów. Brak wiedzy w XIX i początkach XX wieku kazał przyjąć to, co utrwaliło się do tamtego czasu w świadomości Polaków: Lwów powstał jakoby na ziemiach ruskich i ruscy



władcy go założyli – bo w X w. włączył je do Rusi Włodzimierz Wielki (981 r.). Nie zastanawiano się, co było wcześniej, poza czczym stwierdzeniem, że: *zajął ziemie Lachów*. A więc kim byli ci Lachowie, czyli stosując dzisiejsze nazewnictwo – Polacy? Co się z nimi stało? Czy nikt nie słyszał o Lędzianach, plemienu prapolskim (*Lendizi* po grecku*, a do dziś przyjętym jako nazwa Polski: *Lengyel* po węgiersku, *Lenkai* po litewsku)? Żadnych badań wtedy nie prowadzono, żadnych wniosków nie wyciągano. Zgodzono się więc, że Lwów powstał na ziemiach ruskich – przyjęli to polscy historycy, a za nimi politycy, publicyści, pisarze. Z naszej strony nikt nie czuł potrzeby zajęcia się tym tematem, panował całkowity brak wyobraźni, który w przyszłości musiał doprowadzić do klęski.

Dopiero od parudziesięciu lat podjęto badania, co wynotowaliśmy już w CL 1/09. O prapolskości ziem między Sanem a Zbruczem pisali – zapewne nie tylko oni – profesorowie M. Parczewski, J. Nalepa, G. Labuda, J. Kotlarczyk; prof. A. Żaki pisał o Przemyślu, J. Buraczyński o Roztoczu, wcześniej F. Koneczny o Ziemi Chełmskiej. Niestety dotąd badań tych szerzej nie wykorzystano, ponieważ o tamtych ziemiach teraz się nie pisze. Takie czasy...

Dlaczego my o tym wszystkim piszemy? Nie oczekujemy przecież od autora tej książki, by prowadził badania oraz omawiał szczegóły i „nudził czytelników”. Chodzi jednak o to, by w książce napisanej na przełomie XX/XXI wieku napisać to, co już zbadane, a czego nie wiedzieli lub za mało wiedzieli Polacy do połowy XX wieku.

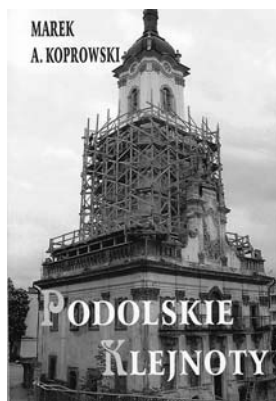
Komu to potrzebne? Najpierw nam samym, bo to nasza historia, więc powinna być wdrożona polskiemu społeczeństwu, znaleźć się w podręcznikach dla młodzieży polskiej. A potem innym, przede wszystkim tym, którzy nie wahają się zakłamywać historycznej prawdy. Służyć im mają takie imprezy jak „Watra Łemkowska” pod Gorlicami, z udziałem byłego pomarańczowego prezydenta – przy pełnej obojętności naszych polityków.

A zaczęło się od Lędzian...

📖 W wydawnictwie „Wołanie z Wołynia” w 2010 r. ukazała się – trzecia z cyklu – książka **Marka A. Koprowskiego** pt. **Podolskie klejnoty**. Autor, znany już z poprzednich książek jako wędrowiec po naszych Kresach II RP, tym razem odwiedził południową część Wołynia i zachodnią Podola (należące obecnie do woj. tarnopolskiego).

Głównym celem wędrowek pisarza jest poznanie życia mieszkających tam Polaków i wiernych skupionych wokół odrodzonych parafii rzymskokatolickich, obsługiwanych w większości przez kapłanów z Polski. Jak zwykle u tego autora reportaże zawierają bardzo dużo rzetelnych informacji historycznych, krajoznawczych, społecznych, a także rozmowy z żyjącymi jeszcze świadkami historii.

W dziewiętnastu, dłuższych lub krótszych, rozdziałach zawarł autor wyniki swych wizyt w ok. 20 miejscowościach, w tym: w Krzemieńcu, Poczajowie, Czortkowie, Zbarażu, Tarnopolu, Trembowli i Zaleszczykach, a także w mniejszych, leżących nieco na uboczu, jak: Lisowce, Szybowce czy Dźwiniaczka. Interesujący jest rozdział o Zarwanicy – ukraińskim sanktuarium Matki Boskiej. Autor podaje dzieje tego miejsca na przestrzeni wieków, w tym najbardziej tragiczne w XX wieku, oraz odbudowę w czasach współczesnych. Przy okazji podaje przykład dobrej współpracy i wzajemnego szacunku obrządków wschodnich i zachodniego. Podobnie jest w Dźwiniaczce, gdzie trwa pamięć o św. Zygmuncie Szczęsnym Felińskim. Niestety na kartach książki bardzo często przewijają się świadectwa tzw. „wydarzeń”, czyli napadów UPA i mordowania ludności polskiej w latach 40. XX wieku, a także niechęci władz miejscowych i państwowych oraz kleru grekokatolickiego do Polaków i katolików łańciskich. Przykładem jest ksiądz grekokatolicki (i jego żona) w Lisowcach koło Czortkowa, który mając wrogi stosunek do Polaków, podburza i szantażuje mieszkańców wsi.



* Geograf Bawarski IX w., Konstanty Porfirogeneta X w.

Autor książki dotarł do wielu zasłużonych osób, dzięki którym na omawianym terenie przetrwała wiara, wspólnota, a obecnie budowane są kościoły. Do takich bohaterek zaliczyć trzeba panie: Irenę Sandecką w Krzemieńcu, Zofię Hurko w Brzeżanach i Irenę Tomaszewską w Czortkowie. Z publikacji dowiadujemy się też o trudnej, czasem wymagającej bohaterstwa, pracy kapłanów z zakonów: dominikanów (Czortków), franciszkanów (Husiatyń), bernardynów (Zbaraż) oraz sióstr dominikanek (Czortków) i niepokalanek (Jazłowiec). Na wschodnich placówkach pracuje zaledwie po kilka osób wydelegowanych przez zakony w Polsce. Pracy mają bardzo dużo; prócz duszpasterstwa – edukacja, kultura, opieka nad starszymi, chorymi i dziećmi, do tego – prace remontowe i budowlane. Istnieją też wspólnoty parafialne w zaniku, jak w Zaleszczykach, obsługiwane przez jednego kapłana, bez widoków na lepszą przyszłość. Duża część tamtejszej młodzieży stara się wyjechać na Zachód.

Publikacja zawiera 144 fotografie i 1 mapkę omawianego terenu. Czekamy na kolejne wiadomości z Kresów. (DTS)

📖 Wydana przez krakowskie wydawnictwo „AA” w 2011 r. **Czarna Księga Kresów** autorstwa **Joanny Wieliczki-Szarkowej** to książka, która powinna należeć do lektur obowiązkowych wszystkich Polaków, nie tylko tych, którzy z tamtych ziem się wywodzą, bo oni mniej lub więcej znają problematykę, ale przede wszystkim powinna trafić do młodych. W momencie gdy w szkołach dąży się do okrojenia godzin lekcji historii, gdy patriotyzm, umiłowanie Ojczyzny, pamięć stają się démodé, ta książka jest bardzo potrzebna.

Nie czyta się jej przyjemnie, bo to lektura pełna tragizmu, czarnych i przynębiających wydarzeń na przestrzeni dziejów, które doprowadziły do tego, że dzisiaj mówi się, że Kresy nie istnieją, że nastąpił bezpowrotny ich kres.

W przedmowie prof. Andrzej Nowak stwierdza: *Tak, tych Kresów, które były, już nie ma. Przynajmniej na żadnej współczesnej ma-*

pie. Zdaje się, że nadszedł ich kres. I pyta: Jak to się stało? Jak się ta tragedia dokonała? Czyja to wina? Czyje zaniedbanie? Czy mogło być inaczej? Autorka stara się znaleźć na te pytania odpowiedź w swojej książce. Dr Paweł Naleźniak słusznie zauważa, że *niewiele jest takich prac, które byłyby historyczną syntezą dramatycznych dziejów Kresów, przystępną dla każdego czytelnika, nieodstrasżającą językiem naukowym ani objętością. Książka dr Joanny Wieliczki-Szarkowej spełnia tę funkcję, stanowiąc klucz, po który może sięgnąć każdy czytelnik: klucz, który inspirowa do dalszego zgłębiania wybranych wątków...*

A wątki te zaczynają się od czasów Kazimierza Wielkiego, czyli włączenia Rusi Halickiej do Królestwa Polskiego na mocy praw dynastycznych, poprzez unię polsko-litewską, najazdy tatarskie, ekspansję Moskwy na zachód, powstania kozackie, Koliszczyznę, okres rozbiorów, powstania listopadowe i styczniowe, pierwszą wojnę światową, odzyskanie niepodległości, wojnę polsko-ukraińską, wojnę polsko-bolszewicką, II Rzeczpospolitą, drugą wojnę światową z pierwszymi i drugimi sowietami i okupacją niemiecką, po powojenne losy Kresowian, niszczącą ślady polskości na Kresach komunę, aż do dzisiejszych spraw Polaków w niepodległych republikach Litwy, Białorusi i Ukrainy.

Kresów nie ma, ale nie oznacza to, że mamy wymazać je z naszej pamięci, że możemy pozwolić coś takiego uczynić. Przecież to sześć wieków polskiej tam obecności, to nasza tam kultura i cywilizacja. Jak można się więc zgodzić na odebranie nam prawa do pamięci o wszystkim, co tam się działo. Przecież nie wszystko tam było czarne. Był to też świat harmonii i piękna, nie tylko przyrody, ale i ludzi tam mieszkających. Ten tygiel narodów właśnie stanowił o wyjątkowości tych ziem, o bogactwie jego kultury, o tolerancji. Kresy to było źródło wody żywej, z którego każdy czerpał dla swojego dobra, rozwoju. Nie dopuścimy więc, żeby to źródło wyschło. Niech przyszłe pokolenia też mogą z niego pić. Książka Joanny Wieliczki-Szarkowej jest przyczynkiem do tego, aby tak się stało. (AM)

📖 **Leszek Kania** (ur. 1959), doktor nauk prawnych, specjalista w zakresie historii prawa, autor kilkudziesięciu publikacji z histo-



rii sądownictwa wojskowego i wojskowych służb specjalnych, napisał powieść historyczną **Na odsiecz Lwowa** (Wydawnictwo „Cytadela”, Leszno 2011). Akcja trwa od jesieni 1918 r. po 1919 r., kiedy do Lwowa wkraczają ułani z Wielkopolski, których waleczność przesądziła o losach wojny polsko-ukraińskiej. Na kartach książki śledzimy, jak doszło do dramatycznego wydarzenia po sławetnej listopadowej obronie Lwowa w 1918 r., do pogromu Żydów. Autor starał się pokazać nie tylko genezę tego dramatu i tragiczne skutki, ale ukazał śledztwo, jakie w tej sprawie prowadzone było przez przybyłego, na polecenie premiera rządu RP (podejrzewam, że Jędrzeja Moraczewskiego), z Warszawy do Lwowa sędziego dra Zygmunta Rymowicza.

Stajemy się świadkami powstawania żandarmerii wojskowej, której zadaniem jest nie tylko uganianie się za dezertarami i rozrabiającymi pijanymi żołnierzami, ale także za *batiami* ze świata przestępczego, którzy w wojennych warunkach czują się najlepiej – powszechny dostęp do broni, deficyt na wszelkiego rodzaju towary, głównie żywność.

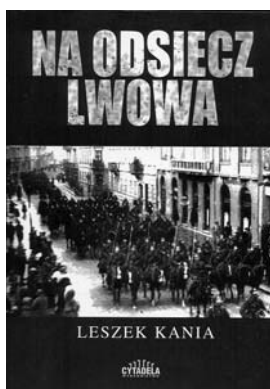
Obserwujemy w tej walce rotmistrza Kazimierza Świąćickiego, który jest wytrawnym śledczym i bezwzględny policjantem odnoszącym sukces. Rotmistrz Świąćicki jest też doskonałym i odważnym żołnierzem prowadzącym swych żandarmów do boju z regularną armią ukraińską. To są chyba najbardziej dramatyczne opisy zawarte na stronach powieści Kani. Bitwa pod Batatowem i batalia w okolicach Gródka Jagiełłońskiego, która w efekcie zwycięska, kosztowała życie wielu anonimowych żołnierzy. O mały włos, a w polu nie zakończyłaby się żołnierska służba rotmistrza Świąćickiego. Ciężka rana, uszkodzenie tętnicy – uratował go duży mróz i w miarę szybka pomoc medyczna... Podczas walk bezradnie patrzymy na bestialskie okrucieństwo żołnierzy ukraińskich. Choć z drugiej strony napotykamy zachowania mówiące o żołnierskiej

solidarności walczących z Polakami Ukraińców. Gdy w szpitalu wojskowym, gdzie leczono także jeńców ukraińskich, kapral Ważyk rozpoznaje żołnierza, który w niewoli roztrzaskał kolbą karabinu głowę rannego rotmistrza Kawińskiego, stwierdzono, że potrzebny jest jeszcze jeden świadek, aby postawić ukraińskiego strzelca przed sądem wojskowym. Kiedy rozsierdzonych Polaków dopada uczucie bezradności, nagle zgłasza się ukraiński oficer oskarżający swego żołnierza. Ile w tym prawdy, ile literatury? Chyba tylko autor mógłby nam wyjawić...

Wojna polsko-ukraińska na stronach książki Leszka Kani toczy się nie tylko na froncie. To również walka wywiadów. Po stronie polskiej obserwujemy poczynania porucznika Adama Staneckiego ze swymi ludźmi prowadzącymi pokrową rozgrywkę w realiach wojennego Przemyśla z trudnym przeciwnikiem z pobliskiego Sambora, chorążym Harakiem na czele. Jak pisze w posłowniu autor książki, tylko w przypadku Adama Staneckiego, na życzenie jego rodziny, w książce zmienione zostało nazwisko. W tle – jak to w szpiegowskich książkach i filmach, rozgrywa się gorąca i piękna miłość, która kończy się tragedią.

Książkę Leszka Kani czyta się szybko, za szybko. Jest to interesujący materiał na scenariusz filmowy, w którym oprócz dobrze napisanych (choć wydają się brzmieć bardzo współcześnie) dialogów, dopełnieniem reszty jest na ekranie wyreżyserowany obraz. Na stronach powieści nie do końca udaje się autorowi wprowadzić czytelnika w dramatyczną atmosferę wynędzniałego i oblężonego Lwowa czy odgrywanego w książce ważną rolę Przemyśla. Ale taka zdaje się być współczesna literatura – szybka, sensacyjna i filmowa. Jakkolwiek ukłon podziękowania należy złożyć Leszkowi Kani za tę książkę, która odkrywa przed literatami olbrzymie pokłady możliwości, jakie niesie okres pierwszej wojny światowej oraz tego, co było po niej na Kresach. (JMP)

📖 Ukazało się już wiele książek przywołujących wspomnienia Sybiraków, o niektórych pisaliśmy w naszym czasopiśmie. Każda z relacji jest inna, osobliwa i osobista, ale wszystkie z nich łączy jedno – zesłanie i związane z tym trudne, często niewyobrażalne przeżycia.



W 2007 roku ukazała się kolejna książka o tej tematyce, autorstwa **ks. Romana Pioterka *Przez Sybir do kapłaństwa. Wspomnienia Sybiraka – kapłana***, wydana w Poznaniu przez „JASART STUDIO”.

Słowo wstępne napisał historyk – ks. profesor z UAM, Bernard Kołodziej TChr, są także liczne ilustracje (zdjęcia, mapy i fotokopie dokumentów); książka obejmuje 5 części (ponad 200 stron), których tytuły mówią wiele o ich treści:

I. Z Wielkopolski i Górnego Śląska na Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej; II. Sybiriada; III. Powrót do Ojczyzny. Z Ukrainy do Polski (na Ziemię Odzyskane) – repatriacja; IV. Na drodze powołania kapłańskiego; V. Znów na Kresach Wschodnich – na „zielonej Ukrainie”.

Ks. Roman Pioterek swoją pierwszą podróż z Nowego Bytomia na Kresy przebył w łonie matki i w 1929 roku urodził się w Zborowie na Podolu (w woj. tarnopolskim). Ojciec – Stefan – Wielkopolanin, hallerczyk, był polskim policjantem najpierw na Górnym Śląsku, potem w wyniku skierowania służbowego – w Tarnopolskiem, matka – Wiktoria Franciszka pochodziła z Górnego Śląska.

Autor opisuje pogodne dzieciństwo, zabawy z kolegami, spacerzy z rodzicami w pięknej scenerii uroczego Podola. Ten czas beztrojski przerwał wybuch wojny i wkroczenie Armii Czerwonej; w jednej chwili zmieniło się życie jego i jego bliskich. Zaczął się czas represji i prześladowania Polaków. Ukraińcy pomogli ukryć się ojcu, jednak nieodnalezienie ojca – policjanta – nie powstrzymało Rosjan od wywózki pozostałej rodziny na Daleki Wschód. Zaczęła się wojenna tułaczka i deportacja do Kazachstanu od Pawłodaru przez Majsak do Ochry, wszystko pomiędzy stepem i Irtyszem. Potem, od 1943 r., kolejna „przeprowadzka” do tzw. Armii Pracy, do Kuszwy na Uralu. Tam w 1944 roku z wycieńczenia zmarła matka Autora – miał wtedy niespełna 14 lat. Stąd, już sam, z innymi Polakami wrócił w rejony Ukrainy Południowo-Wschodniej, gdzie w okolicy Chersonu pracował w sowchozie. Następnie w ramach repatriacji trafił na Śląsk, by ostatecznie osiąść w Wielkopolsce. Tutaj też ukończył seminarium duchowne oraz studia teologiczne i doktoranckie. Do przejścia na emeryturę pełnił posługę duszpasterską.

Ostatnia część omawianej publikacji jest szczególna, jest to bowiem relacja Autora z Jego dwu pielgrzymek – wycieczek na Kresy: powrót do miejsca urodzenia, dzieciństwa, szukanie korzeni, a przede wszystkim śladów ojca i wyjaśnienia przyczyn jego śmierci. Nurtował go bowiem brak wiedzy o losach zaginionego ojca.

Choć był pewny, że ojciec nie żyje, postanowił poznać okoliczności jego śmierci, być może okrutnej. Po wielu krokach, które podejmował, udało mu się dopiero w czasie drugiej pielgrzymki, dzięki pomocy majora milicji Wasila Wiktorowicza, dotrzeć do archiwum we Lwowie, gdzie jego kierowniczką, nie znajdując jakichkolwiek informacji, porozumiała się z archiwum w Kijowie i uzyskała informację, że ojciec, Stefan Pioterek, urodzony w 1899 r., został aresztowany 25 II 1942 roku przez NKWD i oskarżony (nie wiadomo o co – być może o szpiegostwo). Jako oskarżony, w związku z sytuacją wojenną, został „ewakuowany”. Ewakuowani więźniowie byli eskortowani przez NKWD, idąc pieszo często słabli w drodze i z wycieńczenia umierali bądź byli dobijani. Aresztowanego ojca nie zidentyfikowano w żadnym więzieniu, tak więc bardzo prawdopodobne, że zginął on, jak wielu innych, w tej „drodze ewakuacyjnej”.

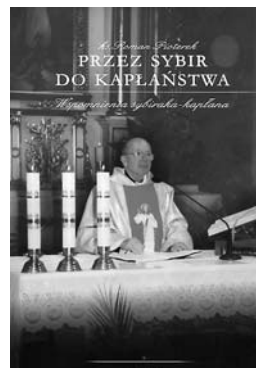
Całość opowieści zamyka *Postowie (fundament pojednania)*, w którym Autor przedstawia fundament pojednania polsko-ukraińskiego i polsko-rosyjskiego; jest też bibliografia – literatura pomocnicza.

Na koniec omówienia trzeba podkreślić, że – jak napisał w omówieniu książki ks. Maciej: *ks. Pioterek mógł jednoznacznie potępić ludzi, którzy zgotowali taki okrutny los jego najbliższym i jemu samemu. Nie robi tego, jakby rozumiał, że to nie jest jego rola. Oddaje sąd Bogu. Wspomnienia są przykładem interpretacji wydarzeń w kategorii wiary. To jest mocny punkt książki. Widzieć Boga i jego miłość wśród chorób, śmierci, wygnania, nędzy i zwątpienia.* (AS)

Danuta Trylska-Siekańska (DTS),

Anna Stengl (AS), Anna Madej (AM)

Janusz Paluch (JMP), Andrzej Chlipalski



Wertując wydawnictwa

➔ Dotarł do nas po raz pierwszy Biuletyn Informacyjny Wrocławskiego Oddziału (nie mylić z Zarządem Głównym) TMLiKPW „Życie Kresowian” – otrzymaliśmy numer 4 z grudnia 2011 (czy to kwartalnik?). Pismo ma format A4 i 20+4 strony, z czego niestety aż 3 strony puste (szkoda), żadnych ilustracji.

Przeczytaliśmy wiersz R. Nawrockiego, kalendarium z życia Oddziału Wrocławskiego z 2010 i 2011 r., kronikę żałobną, z której dowiedzieliśmy się m.in. o śmierci ks. infułata Stanisława Turkowskiego (bez życiorysu). Ponadto: kilka relacji o wydarzeniach kresowo-kulturalnych, rys historii Klubu „Leopolis”, dziewczęcy *Pamiętnik z Kresów z lat 1939–1945*, opowieść o lwowskich klubach sportowych, dwie recenzje z książek.

➔ Od naczelnego redaktora „Biuletynu Stow. Przyjaciół Ziemi Drohobyckiej”, p. Jana Rybotyckiego otrzymaliśmy najnowszy, jubileuszowy, 10. numer tego pisma. Półrocznik, wychodzi od 5 lat (ale jego poprzedniczką była „Ziemia Drohobycka”, redagowana przez M. Pileckiego), jest zawsze bardzo obszerny – ten numer liczy ponad 130 stron (w dużym formacie A4).

Treść numeru jest w formie i treści wielotematyczna: artykuły historyczne, wspomnieniowe, słownik geograficzno-historyczny, sylwetki ludzi związanych z Ziemią Drohobycką, omówienia książek, utwory literackie oraz aktualności.

Z tych ostatnich pozwalamy sobie zacytować dwie wiadomości – złą i dobrą:

... Zaczęło się od tego, że monopolista na rynku usług w Truskawcu w dziedzinie kablowej sieci telewizyjnej – firma *Odeko-Zachid* zaprzestała transmisji jedyne (z 58 w sieci kablowej) polskojęzycznego kanału TVP „Polonia”. Kierownik *Odeko* w Truskawcu tłumaczył się tym, że z nadawcą nie są podpisane wszystkie dokumenty, że dotychczas TVP „Polonia” nie była transmitowana tylko w trybie testowym oraz że program nie cieszy się popularnością.

To, że ostatnie zdanie nie odpowiada rzeczywistości, w *Odeko* odczuli w ciągu kilku dni nieobecności „Polonii” w eterze. Setki telefonów odbieranych codziennie z powodu braku

„Polonii” świadczyły o wielkiej popularności polskojęzycznego kanału wśród mieszkańców Truskawca. W obronie kanału wystąpiło lokalne polskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe im. Rajmunda Jarosza. Poparcie w walce o TVP „Polonia” zadeklarowało też wydanie internetowe Truskawets.

Nie wiemy co dalej, ale skąd my znamy to kręctwo i złośliwość? Są i dobre wiadomości:

Przy nowo utworzonym Drohobyckim Regionalnym Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Drohobyckiej reaktywowano drużyny piłkarskie z okresu przedwojennego pn. *Junak* i *Pogoń*. Prezesem Towarzystwa jest Jerzy Katryniak.

Oprócz imprez sportowych Towarzystwo organizuje prelekcje fachowców z rozmaitych dziedzin, dba o pomniki nagrobne o wartości historycznej i artystycznej na miejskim cmentarzu, organizuje lokalne muzeum przy Ogólnoukraińskim Koordynacyjno-Metodycznym Centrum Nauczania Języka i Kultury Polskiej, a także wycieczki krajoznawcze, m.in. do Lwowa.

Na koniec korzystamy z zamieszczonego w „Biuletynie” spisu wydanych w ostatnich latach książek o tematyce wschodniomałopolskiej, dotąd nam nieznanych.

- Będkowski L. i in., *Borysław w okrucinach wspomnień*, cz. I i II, Warszawa 2004. Wspomnienia odtwarzają losy Borysławia wplątane w pomyślnie i dramatyczne dzieje zagłębia naftowego od zarania do zakończenia II wojny światowej. Tomy bogato ilustrowane.
- Giza S., *Na ekranie życia*, Warszawa 1972. Wspomnienia z Borysławia 1908–1939.
- Held L., *A Tyśmienica dalej płynie*, Warszawa 1991. Wspomnienia borysławskiego Żyda.
- Porembalski T., *Wspomnienia nafcjarza*, Warszawa 1978.
- Tarnawski T., *Kamienny wór i Bunt aniołka*, Świdnica 1992–94. Wspomnienia z dzieciństwa i konspiracji akowskiej w Borysławiu.
- Wróbel T., *Borysławskie retrospekcje*, Warszawa 2000. Wspomnienia związane z międzywojennym Borysławiem.
- Żarski A., *Okupacyjne wspomnienia z Borysławia i opowiadania z ZSRR*, Wrocław 2004.
- Żarski A., *Droga do Ojczyzny*, Wrocław 2004.
- Hass K., *Książka o pięciu tytułach*, Wałbrzych 2011.
- Martynów L. o. Elizeusz, *Karty mego życia. Służba kapucyńska w Polsce i na Ukrainie*, Gdańsk 2011.
- Fudali S. *Osiemdziesiąt miesięcy w kleszczach sierpa i młota*, Szczecin 2004. Losy rodziny zamordowanego przez sowietów sę-

dziego ze Stanisławowa, deportowanej do Kazachstanu.

Zaskakująca wiadomość z ostatniej chwili: dotychczasowy redaktor naczelny „Biuletynu” p. Jan Rybotycki rezygnuje z dalszego prowadzenia pisma. Poszukiwany jest następcą. Do tematu wrócimy.

➔ Z Przemysła z redakcji kwartalnika „Głos znad Sanu” przysłano nam plik numerów tego niezwykle ciekawego czasopisma. Pismo ukazuje się od r. 2006, ma formę gazety, redaktorem naczelnym jest p. Małgorzata Dachnowicz.

W otrzymanych numerach znaleźliśmy wiele tematów, które mogłyby zainteresować naszych Czytelników. Przepisujemy więc ich tytuły i autorów.

Nr 15–16/2010, *numer specjalny* z dwoma dodatkami:

– W. Pankiewicz, *Jeszcze o lwowskim bałaku* (autor pisze o rozpoznawaniu się lwowiaków w różnych sytuacjach życiowych)

– S. Szarzyński, *66. rocznica martyrologii Polaków w Rumnie i na Kresach II RP* (Rumno, wieś k. Komarna, uroczystość odbyła się w Rumnie oraz w Muzeum Narodowym w Przemysłu)

– J. Dachnowicz, *W proteście przeciwko nadaniu przez prezydenta Ukrainy Wiktora Juszczenkę tytułu bohatera Ukrainy Stepanowi Banderze*

– S. Szarzyński, *Uroczystości jubileuszowe w Gródku Jagiellońskim w 590. rocznicę rozpoczęcia kościoła i 20. rocznicy jego odzyskania*

– S. Szarzyński, *Peregrynacja relikwii bł. Jakuba Strzeżmień Sokal-Tartaków-Zółkiew w r. 2009*

Pierwszy dodatek specjalny (8-stronicowy) do nr 15–16/10 zatytułowany *70. rocznica deportacji na Sybir – na nieludzką ziemię – Przemysł 28 II '40* – dotyczy wywózki z Przemysła będącego wtedy pod pierwszą okupacją sowiecką.

Drugi dodatek specjalny (12-stronicowy) pt. *Bitwa krzywiecka* dotyczy bitwy stoczonej pod Krzywczą w dn. 12 września 1939 przez 11. Karpacką Dywizję Piechoty pod wodzą gen. Bronisława Prugar-Ketlinga z armią niemiecką dążącą w kierunku Lwowa.

Nr 18/2011:

– Uroczystości w Żurawicy z okazji 45 rocznicy śmierci ks. Kajetana Amirowicza (1881–1965), Ormianina, który był typowany na następcę abpa Józefa Teodorowicza

Nr 19/2011:

– *Na Nieludzką Ziemię*, wrzesień 2011. Podróż po obszarach, gdzie sowioci wywozili Polaków

Nr 20/2011 przynosi życiorysy dwóch wybitnych księży zaangażowanych w sprawy kresowych dramatów:

– ks. Tadeusz Pater, rodem z Rumna (ur. 1933), po przejściu na emeryturę pisze książki poświęcone przeszłości i teraźniejszości swego rodzinnego Rumna, ale z uogólnieniami, związanymi z Ziemią Wschodnimi

– ks. K. Chowaniec, *Ksiądz harcistrz Zdzisław Jastrzębiec-Peszowski (1918–2007)*, który całe życie poświęcił młodzieży, a po II wojnie również łączności z rozproszonymi po świecie Polakami i ich martyrologią

Nr 21/2012:

– T. Pstrąg, *Dobromil* – historia i II wojna

– *Rocznica zagłady Huty Pieniackiej*

– *Zagłada Borowicy 20 kwietnia 1915 r.*

Wymienione pozycje, dotyczące wielotematycznej problematyki utraconej Małopolski Wschodniej, stanowią jedynie część numerów kwartalnika „Głos znad Sanu”. Jest to bowiem pismo poświęcone Ziemi Przemyskiej, która obejmuje – poza samym Przemysłem – takie miasta położone wzdłuż Sanu (leżące dziś w woj. podkarpackim) jak Jarosław, Przeworsk, Sanok, Lesko czy nieodległy Lubaczów. Pamiętajmy jednak, że historycznie do Ziemi Przemyskiej należą również Sambor i Stary Sambor, Drohobycz z zagłębieniem naftowym, Dobromil, Chyrów, Turka, Mościska i inne, zapewne aż po Gródek Jagielloński. O nich też sporo pisze się w „Głosie”.

Patrząc więc na dobór tematyki wschodniomałopolskiej zawartej w numerach „Głosu znad Sanu”, możemy z satysfakcją uznać to pismo za n a s z e nie mniej niż wiele *kresowych* biuletynów, ukazujących się dziś w RP.

Ucrainica

Z mediów* dowiedzieliśmy się (nie pierwszy raz) o pewnych rozbieżnościach w kwestii głównych języków w państwie ukraińskim. Liczby posługujących się prywatnie językami ukraińskim i rosyjskim są mniej więcej równe (inne mniej się liczą), ale status języka państwowego ma – co może i zrozumiałe – ukraiński. Oznacza to, że szkolnictwo przygotowuje młodzież głównie w tym właśnie języku, ale jest to proces powolny i na wschodzie niepopularny, bo np. na Krymie (po likwidacji Tatarów) językiem rosyjskim posługuje się 97% ludności, a w obwodzie

doneckim 93%. Niektórzy politycy ze wschodu kraju postępują się nawet oficjalnie językiem rosyjskim. W okresie niepodległości liczba uczniów w szkołach ukraińskojęzycznych wzrosła z 45 do 75%.

Opozycja, reprezentująca ludność rosyjskojęzyczną, próbuje ten stan obalić i uczynić rosyjski językiem państwowym (na równi z ukraińskim). Pomagają w tym wielowiekowe przyzwyczajenia ludności na wschodzie, a także obecne wpływy Rosji. Przyjęcie rosyjskiego poprzez zmianę konstytucji jest jednak dziś nierealne. To samo dotyczy nadania statusu języka regionalnego na obszarach, gdzie żyje liczna mniejszość (większość?) rosyjska.

Na tym tle doszło w maju do bójki w parlamencie w Kijowie, co oglądaliśmy w telewizji.

* * *

Dlaczego o tym piszemy? Wiadomo, że na terenie Wschodniej Małopolski panuje dziś język ukraiński i nie ma w zasadzie konfliktów na tym tle. Okazuje się więc (nie od dziś), że państwo ukraińskie dzieli się przynajmniej na dwa obszary językowe, ale to nie jedyna różnica. Podkreśla się odmienny rozwój kulturowy tych obszarów, podanych bardzo zróżnicowanym historycznym układem politycznym oraz tradycjom (Rosja i Polska, wschód i zachód). A może i aktualnym tendencjom?

* „Rzeczpospolita” 26–27 V '12

LISTY DO REDAKCJI



Pan Antoni Dwojak z Opolszczyzny pisze:

Dziękuję za zamieszczenie w „Cracovia-Leopolis” 1/12 moich słów w obronie zachowania polskości na Kresach. W marcu 2011 po raz pierwszy brałem udział w 56. Ogólnopolskim Konkursie Recytatorskim – eliminacje w Legnicy. Z prozy recytowałem *Pogrzeb Wołodyjowskiego...* pióra S.S. Niciei, a na zakończenie swój wiersz, który opublikowaliście w CL oraz wiersz Jerzego Michotka *Moja Ziemia*. Po wierszu dodałem od siebie: Jerzy Michotek ten piękny wiersz

zamieścił w swojej książce *Tylko we Lwowie* (1990). Na stronie 111 J. Michotek pisze: *Grób Nieznanego Żołnierza to najpiękniejszy pomnik Narodu Polskiego, pomnik zwycięskiej walki o wolność i niepodległość narodu. Pomnik, o którego genezie 95% jego obywateli nie ma pojęcia.*

Tu następuje długi i „mocny” wiersz, który przy innej okazji zaprezentujemy. Na koniec Pan Antoni dodaje:

Nieskromnie dodam, że mój występ w konkursie spotkał się z wielkim uznaniem i z wielkim aplauzem słuchaczy. W podsumowaniu konkursu pani aktorka Teatru w Legnicy powiedziała, że występ był piękną, mądrą i bardzo pouczającą lekcją naszej historii.

Bardzo dziękujemy i – gratulujemy!

Niniejszy numer CRACOVIA–LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej

Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa w Warszawie.

Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym.

tych autorów są autonomiczne placówki w całym kraju, jak uniwersytety, muzea, centra kultury (typu krakowskiego Międzynarodowego CK) – i to nie tylko w największych miastach. Owe kontakty ułatwiają konferencje naukowe, o których zawsze z wielką satysfakcją piszemy².

To, co powiedzieliśmy wyżej, daje podstawę działalności dla niezwykle licznych wydawnictw. Stąd ogromna masa kresowej literatury, wydawanej nie tylko w dużych miastach. Dodajmy do tego albumy fotograficzne dotyczące Lwowa, Wilna oraz innych miast, regionów czy tematów: poszczególnych zabytków – zamków, świątyń oraz krajobrazów, przede wszystkim huculskich Karpat.

Nie można pominąć gazet i ich dodatków³ – celuje tu „Uważam Rze” z nowym znakomitym dodatkiem „Uważam Rze – Historia” (jego nr 4 poświęcono w całości Ziemiom Wschodnim). Często znajdujemy ciekawe artykuły w krakowskim „Dzienniku Polskim”, a szczególnie usatysfakcjonował nas niedawny felieton J.M. Rokity⁴ (na którego dotąd nie liczyliśmy w tej materii).

Wreszcie ważny przejaw oddolnych inicjatyw. Do Lwowa (i zapewne nie tylko) organizowane są w całym kraju wycieczki: z Krakowa, Warszawy, Wrocławia, Katowic, Opola i wielu, wielu innych miast, nawet daleko położonych od jałtańskiego kordonu. Obok wycieczek rodzinnych (często trójpokoleniowych) wyróżniają się wyjazdy dla młodzieży szkolnej, zarówno te planowe, edukacyjne, jak i te okazjonalne – na uroczystości, na ratowanie cmentarzy i podobne. W Krakowie – o czym pisaliśmy – samorząd utworzył specjalny fundusz na ten cel. Chwała osobom, które się do tego przyczyniły.

A więc jednak Naród, Samorząd, Ludzie. To jest Polska właśnie.

Przypisy

- 1 Ukraina głosi wszem i wobec (nawet na EURO-2012), że Polska przez kilkaset lat była okupantem Ukrainy. Teraz podobno zamierza wznieść we Lwowie pomnik cesarza Franciszka Józefa, bo Austria wcale nie była okupantem... Taka to logika.
- 2 W niniejszym numerze CL informujemy o kolejnej inicjatywie: w Muzeum Górnolśląskim w Bytomiu.
- 3 Dodatki te opiszemy w następnym numerze CL.
- 4 Wakacje we Lwowie, „Dziennik Polski” 20 VII 2012.

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Anna Madej, Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska, Janusz Paluch, Ireneusz Kasprzysiak, Andrzej Chlipalski (red. nac.)
Zasłużeni członkowie redakcji w stanie spoczynku: Romana Machowska, Maria Taszycka, Barbara Kościak

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: Barbara Szumska, tel. (12) 633 45 23, kom. 695 334 523

Anna Stengl, tel. (12) 632 44 72, kom. 669 969 809

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, e-mail: fall@fall.pl

Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzielskiego 1, tel. (12) 413 76 51

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Słowo od redakcji To jest Polska właśnie	Proza II Stanisław Wasylewski KSIĘŻNICZKA Z BURSZTYNA	41
Archiwum KAZIMIERZ GÓRSKI	1 Sylwetki ZDZISŁAW PRĘGOWSKI, ARCHITEKT	43
Stanisław Dziedzic O. RAFAŁ KIERNICKI	Tadeusz Piszczkowski 2 ZDZISŁAW STAHL	44
Teresa i Feliks Budziszowie 11 LIPCA 1943	Krzysztof Bulzacki ROSA BAILLY	48
Historia Wanda Majchrzycka ŁAGIER NOWA IWANOWKA...	5 Archiwum GDZIE JEST TEN POMNIK?	47
Zbigniew Wawszczak JAK POLACY Z KALIFORNII POMAGALI...	9 Anna Madej TARNOPOLANIE CHCĄ SIĘ SPOTYKAĆ	51
Łukasz Heyman LWOWSKA SZKOŁA ARCHITEKTURY	11 Archiwum KTO ROZPOZNA?	53
Wspomnienia Remigiusz Węgrzynowicz KRESOWA PAMIĘĆ	14 W Krakowie i dalej Krystyna Stafieńska HELENA KONOPKOWA	54
Zbysław Popławski LWOWSCY STUDENCI W GORGANACH I CZARNOHORZE	19 Janusz Paluch ODSZEDEŁ PROFESOR WĘGIERSKI	55
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z ROMANĄ ŻUKOWĄ	30 Z żalobnej karty NOTATKI	56
Nasza Ziemia Stanisław S. Nicieja CHODORÓW I CHODOROWIANIE	21 Kultura ♦ Nauka CENTRUM DOKUMENTACJI ZSYŁEK...	57
Tadeusz Krzyżewski ZIMNA WODA – RUDNO	35 NOWY CYKL KONFERENCJI KRESOWYCH KILAR I JASNA GÓRA	58
Poeci zapomniani JÓZEF RUFFER	38 KADET WSPOMINA	59
Poezja Józef Ruffer WYBÓR POEZJI	39 Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	59 66
	40 Listy	68
	40 Errata	50